cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #217 10/2024

Piotr Lisiewicz
WYKUPIŁ SYNA SIENKIEWICZA Z RĄK NIEMCÓW. HISTORIA IGNACEGO MOSIA

Tomasz Gromadka
NADZIEJA WŚRÓD RUIN – MOSUL SIEDEM LAT PO WOJNIE

Tomasz Łysiak
KAZIMIERZ SOSNKOWSKI – SZEF, OJCIEC NIEPODLEGŁOŚCI, GENERAŁ CHWAŁY I GORYCZY

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

Anatomia katastrofy polskiej oświaty



OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI FOT. ADOBE STOCK(4)

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 87cb269c4d

TEMAT NUMERU ▼ 4–13



Anatomia katastrofy polskiej oświaty... / 4

IDEE ▼ 14–28



„Idź do źródła i napij się wody!" / 14

HISTORIA ▼ 30–55



Wykupił syna Sienkiewicza z rąk Niemców... / 30

KULTURA ▼ 56–64



Legendarni ronini / 50

ŚWIAT ▼ 70–98



Przed wyborami. Chińczycy ostrzegają USA przed marksizmem / 70

Spis treści

TEMAT NUMERU

Robert Czyżewski
Anatomia katastrofy polskiej oświaty. Młodzi ignoranci z wielkich miast /4

IDEE

Ewa Polak-Pałkiewicz
„Idź do źródła i napij się wody!" /14

Jakub A. Maciejewski
Skrzywdzona scholastyka /22

Małgorzata Matuszak
Człowiek w obliczu katastrofy /26

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Wykupił syna Sienkiewicza z rąk Niemców. Niesamowita historia Ignacego Mosia /30

Agnieszka Kowalczyk
Literatura kontra reżim. Przypadek Borysa Pasternaka i Olgi Iwińskiej /36

Dariusz Jarosiński
Upiory znad Jeziora Kortowskiego /42

Tomasz Łysiak
Kazimierz Sosnkowski – Szef, ojciec niepodległości, generał chwały i goryczy /48

Henryk Sienkiewicz
List otwarty do Wilhelma II króla pruskiego /52

List otwarty Polaka do Ministra rosyjskiego /54

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Legendarni ronini /56

Krzysztof Karnkowski
Francuska uczta wietnamskiego mistrza /62

ŚWIAT

Hanna Shen
Przed wyborami. Chińczycy ostrzegają USA przed marksizmem /70

Antoni Rybczyński
Oś Zła. Jak azjatyckie mocarstwa pomagają Rosji w wojnie z Ukrainą /74

Tomasz Gromadka
Nadzieja wśród ruin – Mosul siedem lat po wojnie /79

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /84

Stefan Czerniecki
Bezcenna lekcja od indiańskiego górala /86

oprac. Antoni Rybczyński
Twórca Gorbaczowa, idol Putina. Czy Andropow mógł uratować Związek Sowiecki? /94

eprasa.pl 87cb269c4d

Stałe **rubryki**


Katarzyna Gójska
Tylko dumny naród będzie korzystał z sojuszy
NA POCZĄTEK 3


Małgorzata Matuszak
Czym jest... odbudowywanie
KATECHIZM INTELIGENTA 21


Marcin Wolski
Wychować durnia!
PAPKULTURA 29


Marek Kalinowski
Gdy wraca radość
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 65


Krzysztof Wołodźko
Opowieść o dawnej Warszawie
DZIENNIK LEKTUR 66


Tomasz Sakiewicz
Polacy znowu wybiorą prezydenta USA
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Stefan Czerniecki, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bišta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska

Tylko dumny naród będzie korzystał z sojuszy

Musimy mieć świadomość, iż odpowiedzialność za ojczyznę, umiejętność właściwego wyodrębnienia tego, co dla niej najlepsze, i w końcu poczucie dumy ze swojego pochodzenia bierze się w ogromnej mierze z wychowania oraz z edukacji.

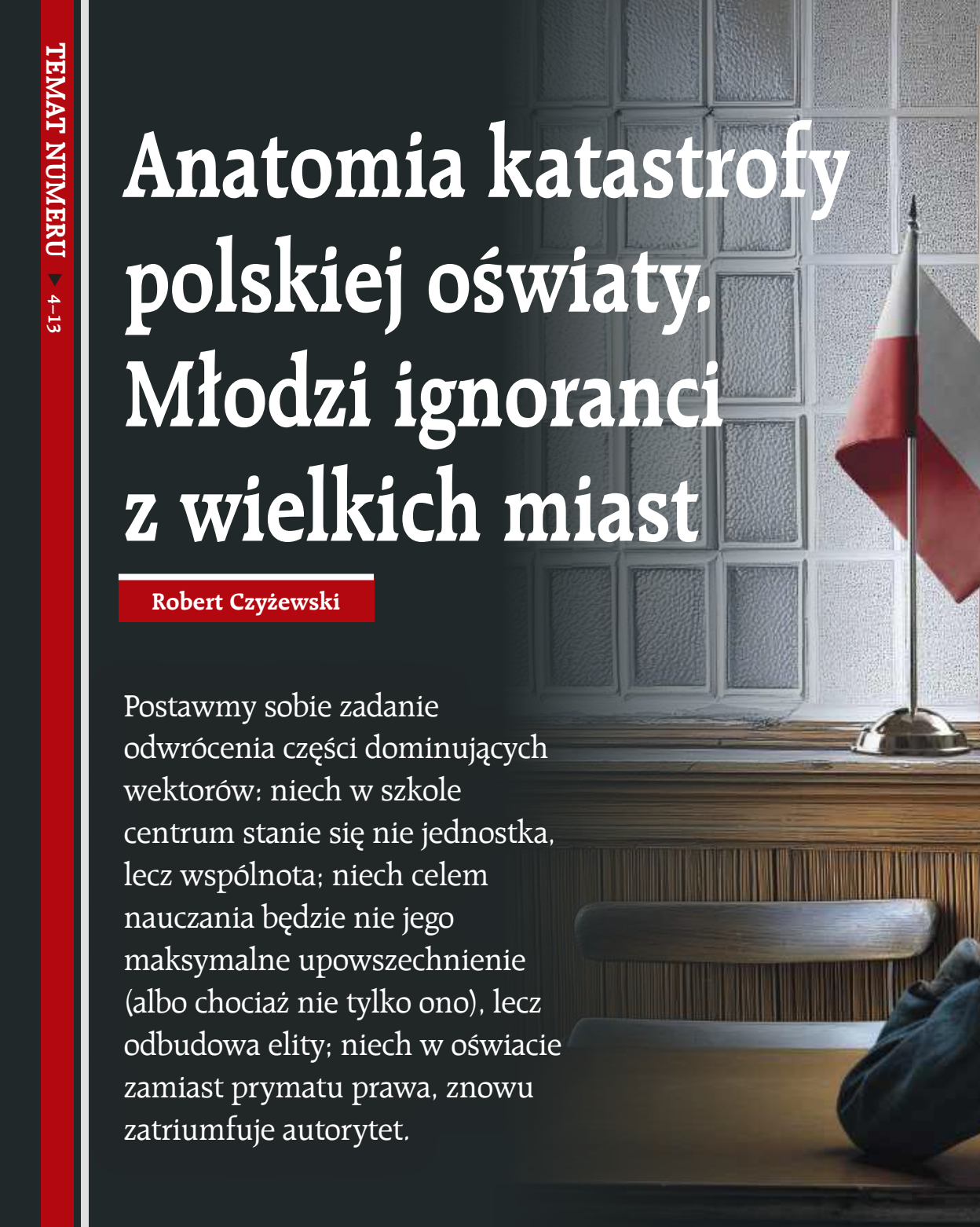
Edukacja i polityka historyczna to nie peryferie aktywności państwa, a jej ścisłe jądro. Ani jednego, ani drugiego nie miało komunistyczne państwo, bo z oczywistych względów centrum zarządzania Polską w Moskwie zainteresowane było jedynie eksploatacją, a nie rozwojem naszego państwa. Niestety po 1989 roku pojawiły się nowe ograniczenia – edukacja jest w stanie permanentnego kryzysu, uczelnie wyższe nie są w stanie jako całość (nie mówię o pojedynczych geniuszach, którym udaje się przebić) konkurować z pierwszą setką najlepszych szkół wyższych na świecie. Polityka historyczna przez całe lata była w zasadzie szkodzeniem naszemu krajowi, a nie budowaniem jego pozycji i marki, a przecież temu w dużej mierze ma ona służyć. Trudno się zatem dziwić, iż podręczniki do historii XX wieku pisane są zgodnie z niemiecką wersją naszych wspólnych nieodległych i tragicznych dziejów. Trzeba zadać siebie jednak pytanie, gdzie nas to zaprowadzi? Czy w społeczeństwie polskim byłoby tyle determinacji, co choćby w ukraińskim, do obrony swojej ojczyzny, gdyby – miejmy nadzieję, że nigdy takiej potrzeby nie będzie – trzeba by się z mierzyć z napaścią? Czy młode pokolenia naszych rodaków uczonych, że historia nie ma znaczenia, że zdrajca może być czczony jak bohater, a bohater może żyć w biedzie i zapomnieniu, znajdą w sobie siłę, by podjąć ryzyko i niedolę walki? To nie są pytania bez znaczenia – przeciwnie – ich znaczenie ma wymiar praktyczny i dotyczy wprost zasobności każdego z nas. Kraj, którego obywatele nie mają w sobie determinacji działania na rzecz utrzymania jego istnienia, nigdy nie będzie zamożny. Żaden sojusz wojskowy nie zadziała, jeśli najpierw państwo, a potem jego obywatele w momencie zagrożenia nie przekonają sojuszników, że będą walczyć do upadłego. Jesteśmy bezpieczni w NATO nie przez samą obecność, lecz dzięki swej sile militarnej i hartowi ducha, które dają innym pewność, że obrona nas nie jest marnowaniem środków i zasobów. Musimy mieć świadomość, iż odpowiedzialność za ojczyznę, umiejętność właściwego wyodrębnienia tego, co dla niej najlepsze, i w końcu poczucie dumy ze swojego pochodzenia bierze się w ogromnej mierze z wychowania oraz z edukacji. Tylko świadomość własnej historii, osiągnięć dziesiątków poprzednich pokoleń daje moc, dzięki której obywatel decyduje się zaryzykować własne dobro, by bronić dobra wspólnego. Szkoła nie może być narzędziem wynarodowiania – a właśnie taką ma zostać. To zaowocuje prawdziwym tożsamościowym armagedonem. Oddajemy w Państwa ręce najnowszy numer naszego miesięcznika, którego tematem okładkowym jest głęboka analiza polskiego systemu edukacyjnego. Być może jedna z najbardziej przemyślanych i rzetelnych, jakie były prezentowane opinii publicznej w ciągu ostatnich lat. ■

SZKOŁA NIE MOŻE BYĆ NARZĘDZIEM WYNARODOWIANIA – A WŁAŚNIE TAKĄ MA ZOSTAĆ. TO ZAOWOCUJE PRAWDZIWYM TOŻSAMOŚCIOWYM ARMAGEDONEM.

eprasa.pl 87cb269c4d

Anatomia katastrofy polskiej oświaty. Młodzi ignoranci z wielkich miast

Robert Czyżewski



Postawmy sobie zadanie odwrócenia części dominujących wektorów: niech w szkole centrum stanie się nie jednostka, lecz wspólnota; niech celem nauczania będzie nie jego maksymalne upowszechnienie (albo chociaż nie tylko ono), lecz odbudowa elity; niech w oświacie zamiast prymatu prawa, znowu zatriumfuje autorytet.

eprasa.pl 87cb269c4d



ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI FOT. ADOBE STOCK (4)

Wybory polityczne dokonywane przez każdego z nas rzadko są skutkiem głębokich przemyśleń ideowych – najczęściej rządzą tu proste emocje. Oddanie głosu, aby tym samym stać się częścią lepszej, wybranej, elitarnej grupy, jest motywacją typową. Co ciekawe, w Polsce było to stosowane w zasadzie jednostronnie: obraz wyborców obecnej władzy jako „młodych, wykształconych z wielkich miast" jest po stronie obecnie rządzących powodem do dumy. Po drugiej stronie rzadko słychać negację tego stereotypu. Zjednoczona Prawica przyjęła na siebie (prawie z podobną dumą) stereotyp „Polski powiatowej" i ochronę emerytów – to á propos „wielkich miast" i „młodych" – z trzecim elementem („wykształceni") w ogóle nie dyskutujemy – a byłoby o czym.

Ukraiński model tożsamości

Już po wyborach, w budynku Ministerstwa Klimatu i Środowiska usunięto patriotyczne tablice upamiętniające żołnierzy podziemia antykomunistycznego. Po prawej stronie sceny politycznej zapanowało oburzenie połączone z nadzieją, że „teraz Polacy zobaczą prawdziwy charakter tej władzy". I co? Nic się nie stało. Słupki poparcia rządzącej koalicji nawet nie drgnęły. Czy jest to świadoma obojętność wynikająca z innej interpretacji historii? Nie, to niewiedza tak głęboka, że godna nazwania ignorancją. Trudno bez dokładnych badań socjologicznych wyrokować, ale zaryzykuję twierdzenie, że podobna niewiedza dotyczy innych elementów humanistyki czy po prostu kulturowego obycia (innych okresów historycznych i nie tylko narodowych bohaterów, lecz także luminarzy polskiej, a pewnie i światowej kultury).

Co więc ukrywa się pod słowem „wykształceni"? Oznacza ono że: mają oni odpowiedni dyplom czy inny rodzaj zaświadczenia potwierdzający, że przeszli pewien etap oświaty. Kiedy dziś patrzymy na stan świadomości znacznej części młodego pokolenia, to nie sposób pominąć więc pytania o polską edukację – przecież pomimo zmian cywilizacyjno-kulturowych wciąż pozostaje ona jednym z ważniejszych elementów w kształtowaniu postaw człowieka. Po ponad trzech dekadach niepodległej Polski mamy w poważnym stopniu takie społeczeństwo, jakie „wychowała" oświata niepoległej Polski, i to jest przerażająca konstatacja. Dziś warto spojrzeć na kształcenie polskich obywateli z perspektywy nieco szerszej niż rozpętane właśnie ideologicznie spory oraz permanentne dyskusje nad wysokością nauczycielskich zarobków.

W rozważaniach nad polską oświatą chciałbym odwołać się do przykładu ukraińskiego – jako tego pozytywnego. Ukraina jako wzorzec? To może wydawać się dziwne, ale kluczowe jest tutaj „sprawdzenie w boju" (i to dosłownie) wygenerowanego przez ukraińską szkołę modelu tożsamości. Nie wykluczam, że świadomość fińska oparta na Kalevali i pamięci o wojnie zimowej (1939–1940) czy też estońska bazująca na Kalevipoegu i Leśnych Braciach (estońskie podziemie antysowieckie) są równie silne, ale ta ukraińska już przeszła próbę.

To oczywiście tylko licentia poetica, ale w ukraińskim filmie opowiadającym o współczesnej wojnie żołnierze podczas odpoczynku, dla rozrywki i żartu, rapują „Testament" Tarasa Szewczenki. Ten wiersz to odpowiednik naszej „Reduty Ordona"; rapują wszyscy, bez względu na pochodzenie i wykształcenie – musieli nauczyć się go w szkole. Śmiem twierdzić, że obecny dokonany przez Ukraińców wybór (niepodległościowo-demokratycznej drogi), to następstwo konsekwentnych działań oświatowych. W kraju naszego południowo-wschodniego sąsiada uczeń zdając tamtejszy odpowiednik matury wybierał (tak jak i nasz) różne przedmioty, ale między nielicznymi obowiązkowymi była historia Ukrainy (dla każdego, i to po ukraińsku – nawet w rejonach rosyjskojęzycznych). Myślę, że to właśnie w tych działaniach należy doszukiwać się różnicy między społecznościami współczesnych Ukrainy i Białorusi. Wyrastały one na podobnym sowieckim ściernisku, a jednak dziś są w zupełnie innym miejscu, i piszę to z żalem, bo jednocześnie gorąco kibicuję dziewczętom i chłopcom wiernym białoruskiej Pogoni i biało-czerwono-białym barwom; pragnę tutaj jedynie zaznaczyć, że Ukraina budowała patriotyzm świadomą i konsekwentną (pomimo różnych zawirowań) oświatową polityką. Powtórzę: stworzony przez tę oświatę model tożsamości przechodzi właśnie z sukcesem najtwardszą z możliwych prób i dlatego może być w naszych rozważaniach istotnym argumentem.

W naszym polskim współczesnym świecie wielu starało się ograniczyć patriotyzm wyłącznie do zawodów sportowych. Jednak stadionowe emocje nie są bazą patriotyzmu, lecz w najlepszym przypadku skutkiem jego istnienia. Współczesne, lewicowo-liberalne myślenie o Ojczyźnie jest też pochodną wyobrażeń o „końcu historii" – marzeń o świecie, gdzie zbędny jest nie tylko ojczyźniany heroizm, lecz także sam naród. Agresywna polityka Rosji na naszych oczach brutalnie falsyfikuje te rojenia; wojna w jej klasycznym wydaniu stała się już dzisiejszą realnością. Jeśli obrońców Ojczyzny wychowują patriotyczne mity, to powinniśmy zadbać o ich trwanie – musimy to robić, bo nikt nie będzie umierał w imię hedonistycznego liberalizmu. W ramach takiej postawy w czasie wojny możemy jedynie wszyscy uciec na zachód.

eprasa.pl 87cb269c4d

Nie chcę nikogo obrażać, ale jakoś nie wyobrażam sobie, aby w razie tragicznej konieczności młodzi Polacy w mundurach radośnie rapowali… osiem gwiazdek; ci od tej wulgarnej przyśpiewki pewnie czmychną – chociaż chciałbym się mylić, bo to przecież 50 proc. moich współobywateli… Mam jednak nadzieję, że może kiedyś i oni uznają, że nauka na pamięć „Synkowie moi poszedłem w bój, jako wasz dziadek, a ojciec mój …" ma głęboki sens. Chyba nawet z ich punktu widzenia dobrze by było, żeby w razie konieczności jeśli już nie oni sami, to ktoś inny bronił pozostawionego przez nich w kraju nad Wisłą majątku – aby bronił ich domy przed zniszczeniem i rabunkiem, przed losem budynków Buczy, Irpienia czy Borodzianki.

Fundament republiki i jazda bez kierowcy

„Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie"– to mające ponad 400 lat zdanie Jana Zamoyskiego jest aż wytarte od zbyt częstego powtarzania podczas różnych szkolnych akademii. Zazwyczaj kładzie się w nim akcent na słowo „takie", mając na uwadze, że ten czy inny charakter republiki decyduje się podczas wychowania przyszłych jej obywateli; ja bym ten akcent przeniósł na słowo „będą" – bo jeśli oświata nie spełni swojego zadania, to może w ogóle nie stworzyć obywateli i wtedy zniknie i republika („Rzeczpospolita"), a „obywatele" staną się tylko „poddanymi" lub w najlepszym wypadku „mieszkańcami". Taka funkcja oświaty jest niesiona głównie przez przedmioty humanistyczne, i to na nich (a głównie na nauczaniu historii) pragnę się skoncentrować. Oczywiście poza wychowaniem młodzieży na obywateli ma też oświata inne zadania, takie jak modernizacja kraju przez tworzenie adekwatnego grona specjalistów albo też wspieranie indywidualno-rodzinnej ścieżki dojrzewania młodego człowieka, ale te perspektywy świadomie ominę; nie są one sprzeczne z „obywatelskim" punktem widzenia, a wymagają innego typu refleksji.

W dosyć jednoznacznym tytule nie mam na myśli jedynie działań obecnego kierownictwa ministerstwa. Powiem więcej, uważam że „Pani Ministra" (której być może nawet wydaje się, że realnie kieruje wykształceniem polskiej młodzieży) tak naprawdę najgorsze co robi, to wygłaszanie niemądrych deklaracji. Za takimi deklaracjami jednak nie idą (bo iść nie mogą) zdecydowane działania zmieniające szkołę realnie. Minister w MEN ma swoje biurko, sekretarkę i służbowy samochód, ale polską oświatą rządzi urzędniczo-nauczycielska inercja – od dekad ta sytuacja pozostaje bez zmian. Ten czy inny minister może być bardziej lub mniej sympatyczny czy też bardziej lub mniej inteligentny, ale MEN pozostaje jedynie elementem jego politycznego cursus honorum – ministrowie mijają, a oświata i tak stacza się coraz niżej w podobnym tempie. Od dawna przełożenie ministerialnych decyzji na jej prawdziwe oblicze jest niewielkie, więc trudno coś naprawić, ale też nie tak łatwo narobić wielkiej szkody. Nawet sprawy tak silnie przebijające się do świadomości publicznej jak polsko-niemiecki podręcznik do historii nie mają praktycznego znaczenia w działaniu poszczególnych szkół, bo użycie tego podręcznika lub niekorzystanie z niego jest ostatecznie… lokalną, szkolną decyzją.

Oświata i ogólny kulturowy stan Polski

Stan oświaty zawsze jest powiązany z ogólnym stanem kulturowym społeczeństwa i stanowi on nie tylko jego przyczynę, lecz także sam jest tego stanu skutkiem. Taka perspektywa może napawać optymizmem, bo polskość wypada (na tle innych europejskich tożsamości) bardzo dobrze; zdaje się ona ugruntowana i silna swoimi tradycjami. To jednak złuda wyniesiona z przeszłości. Było tak kiedyś dlatego, że pomimo długiego braku państwowości, polskość była niesiona i przekazywana domowo przez samopowielające się polskie elity. W XX wieku ta grupa doznała prawdziwie apokaliptycznej katastrofy. Zarówno Rosja, jak i Niemcy (w różnych tych obu państw wariantach) zdawały sobie sprawę z tego, że ich problemem nie są wszyscy mieszkańcy kraju nad Wisłą, lecz jedynie głęboko świadoma swojej polskości wyraźna mniejszość. W konsekwencji II wojna światowa przyniosła planową zagładę naszej inteligencji, metodycznie realizowaną przez obu okupantów.

Pytanie, jakie powinniśmy sobie postawić, brzmi: czy jako narodowi udało się nam wyjść z katyńskich dołów? Spontanicznie zakładamy, że tak. Ja jednak mam tu poważne wątpliwości. Postawmy więc inne, pomocnicze pytanie: jak wyglądałaby Polska, gdyby te 4 tys. mężczyzn przeżyło i wychowało swoje dzieci i wnuki? Pytajmy, pamiętając też, że Katyń to symbol, i to nie tylko sowieckiej zbrodni na około 22 tys. wojskowych, lecz także na setkach tysięcy ofiar represjonowanych za czasów „pierwszych Sowietów" (lata 1939–1941). To przecież niezliczeni lekarze, aptekarze, inżynierowie, prawnicy, nauczyciele… To wszystko to dopiero połowa problemu, bo przecież Niemcy prowadzili bliźniaczą do swojego sowieckiego sojusznika politykę nastawioną na fizyczną likwidację kulturonośnej warstwy polskiej inteligencji. Kilka lat trwała zaplanowana eksterminacja nie tyle Polaków, co polskości. Po wojnie w poważnym stopniu polskość pozostała więc ciałem bez głowy. Proszę mi wybaczyć krwawe porównanie, ale kura z odciętą głową

eprasa.pl 87cb269c4d

też może jeszcze przez jakiś czas chaotycznie biegać po podwórku. W takiej sytuacji powojenny wysiłek powinien być skierowany na odbudowę tej elity, ale tak się nie stało. Zjawiła się nowa „elita", niekryjąca zresztą swojej antypatii do tradycyjnej polskości. Zdziesiątkowani przedstawiciele tej dawnej byli tropieni, a ich dzieci miały utrudniony (przez „nieodpowiednie pochodzenie") dostęp na studia. Nie do przecenienia był też czynnik społeczno-ekonomiczny: po setkach lat, pełnej zagładzie uległ dwór szlachecki, będący w okresie braku państwa jednym z przetrwalników polskiego patriotyzmu.

Jednak paradoksalnie niemal pół wieku PRL nie pogrzebało polskości ostatecznie. Stalin zdecydował (wbrew zdaniu kosmopolitycznej części polskich komunistów), że budowana „Polska" będzie kulturowo upodobniona do niepodległej. Zamiast frontalnej walki z wielkimi dziełami polskiej literatury i całą tradycją historyczną, spróbowano ją przejąć i jedynie obok tego lansować „cepeliowską" ludowość. Co prawda zakłamywano i przemilczano niewygodne fakty historyczne, a tam gdzie się dało, punktowo atakowano: a to „warcholstwo polskiej szlachty", a to „bezmyślną bohaterszczyznę", a to „sanacyjną dyktaturę", jednak nawet w takich sytuacjach próbowano nie wychodzić poza ramy szeroko rozumianego „patriotyzmu". Dla oświaty miało to znaczenie kapitalne, bo polscy uczniowie w komunistycznej szkole otrzymywali bogate spektrum tradycyjnej polskości, a historyczne kłamstwa i luki (dotyczące najczęściej wydarzeń względnie świeżych) wypełniała i prostowała rodzinna pamięć. Polska młodzież nie przeszła też przez rujnującą kontrkulturową rewolucję lat 60. (tak istotną przecież na Zachodzie), a dzięki temu, że w Polsce rządziła ustanowiona zewnętrznie dyktatura, pragnienie buntu (tak typowe w środowisku ludzi młodych) świetnie wpisywało się w wolnościowe tradycje polskiej konspiracji. Ze współczesnego dystansu wydaje się, że komunizm był zanadto siermiężny i ubogi, aby frontalnie wygrać konkurencję z polskością – nawet tak osłabioną. To paradoks, ale to co z polskości zostało po II wojnie światowej, przeszło przez okres komunizmu i dotrwało do III RP.

Ta sytuacja zmieniła się po 1989 roku, kiedy doszło do spotkania postkomunizmu z liberalnym postmodernizmem. Mówiąc w największym skrócie: lewicowy świat Zachodu dostarczył dawnym politrukom i ich potomstwu odpowiednich intelektualnych narzędzi do rozprawy ze znienawidzoną polskością. Zmiany w kulturze, a dalej i w oświacie, odbywały się już nie pod hasłami wulgarnej wersji marksizmu, lecz „dostosowywania się do europejskich (czytaj: nowoczesnych) wzorców", do których tradycyjna polskość „nie przystawała".

Brzemienny w skutki gimnazjalny chaos

Rujnującą „reformę" przyniósł przełom tysiącleci, jednak nie wynikała ona z zadekretowanej wojny z polskością, tradycją czy patriotyzmem. Miała ona mieć charakter technicznych usprawnień, a jej autorzy wydawali się pełni dobrej woli. W praktyce (niczym uczeń czarnoksiężnika) uruchomili oni jednak szereg procesów, jakie oświatę zdewastowały. Wprowadzona w 1999 roku przez rząd Jerzego Buzka reforma jest symbolizowana przez stworzone właśnie wtedy trzyletnie gimnazja – oświatę w systemie 8+4 (szkoła podstawowa i zależnie od typu szkoły – licea, technika, szkoły zawodowe) zastąpiono wtedy systemem 6+3+3 (szkoły podstawowe, gimnazja, licea). W czasie rządów Zjednoczonej Prawicy gimnazja zlikwidowano, powracając do starego układu kształcenia, jednak pewne szkody były już nie do odrobienia, a inne (kluczowe) elementy owej reformy rządy PiS pozostawiły bez zmian. Powróćmy jednak do przełomu wieków.

Nauczanie podlegało i podlega zrozumiałej inercji. To co dla ucznia jest i powinno być nowością, jest dla nauczyciela rutyną. Corocznie w kilku klasach uczy on tego samego i nawet będąc „zaangażowanym" i „innowacyjnym", jest skazany na autocytaty. Ten mechanizm dotyczy nie tylko przebiegu lekcji, lecz także ich następstwa po sobie. Wprowadzając gimnazja, zburzono te nawyki. Samo w sobie takie wyrwanie nauczycieli z opartej na przyzwyczajeniach intelektualnej drzemki nie byłoby może i najgorsze, gdyby razem z tym nie poszły sygnały wymuszające ograniczanie materiału.

Mechanizm był bardzo prosty. Gimnazja powstawały w oparciu o już obecne szkoły i kadrę. Były dwie możliwości: albo bazą dla nowej szkoły stawało się dawne liceum, albo szkoła podstawowa. Dla zobrazowania posłużę się najbliższym mi przedmiotem – historią. W systemie 8+4 była ona nauczana w dwóch czteroletnich kursach (od starożytności do współczesności w szkole podstawowej i od starożytności do współczesności w szkolnictwie średnim). Faktycznie, w liceum nawet jeśli młody człowiek zjawiał się z zerową wiedzą z historii, to przechodził od nowa pełen kurs. Dodajmy, że starsze o cztery lata dziecko, wyposażone w bogatsze słownictwo, przyjmowało dzieje inaczej i nawet ci, którzy nie zmarnowali czasu na lekcjach historii w szkole podstawowej i przyszli z bogatą wiedzą, nie nudzili się w liceum.

Już na pierwszy rzut oka widać, że po reformie, przy tej samej liczbie godzin tygodniowo (z młodzieżą w innym wieku – dla nauczycieli licealnych z młodszą) nie można było przeprowadzić kursu historii tak, jak był on prowadzony dotychczas; dawne cztery lata

eprasa.pl 87cb269c4d

trzeba było zmieścić w nowe trzy. Brakowało minimum jednego roku. Jeśli nauczyciel desperacko próbował poruszyć te same tematy (oczywiście w sposób dostosowany do potrzeb młodszego audytorium), to w ostatniej klasie gimnazjalnej na dotarcie do współczesności zaczynało mu brakować godzin. Błędne byłoby mniemanie, że przecież to nie koniec edukacji. Po pierwsze (przynajmniej teoretycznie), nie każdy uczeń musiał kształcić się dalej, jednak po drugie, ważniejsze było to, że kurs historii w liceum miał się chronologicznie znowu rozpocząć od początku. Przyznam, że z satysfakcją odnotowałem swoistą kapitulację reformatorów, którzy po kilku latach eksperymentu na żywym ciele szkoły uznali, że kurs musi pozostać czteroletni i… przenieśli XX wiek do pierwszej klasy liceum (pozostawiając klasę drugą i trzecią kolejnemu jeszcze bardziej ograniczonemu kursowi). Co się stało z kilkoma rocznikami idącymi wcześniej? Pozostawię to pytanie retorycznym, ale aby owe roczniki mogły ukończyć szkołę, musiano od nich mniej wymagać. A historia nie była przecież jedynym przedmiotem…

Rozum na wojnie ze scholastyką

Oczywiście nie jest tak, że autorzy reformy nie mieli (w swoim mniemaniu) czarodziejskiej różdżki do rozwiązania wspomnianych problemów. Było nią hasło przeciwstawienia nauczania pamięciowego „rozumieniu" – najmodniejszym pojęciem stały się wtedy „umiejętności" w pewien sposób zastępujące klasyczną „wiedzę". Owo „rozumienie" zamiast „bezmyślnego wkuwania" przemawiało do wyobraźni wielu – nauczycieli również. Trzeba jednak pamiętać o przedmiotowej specyfice. Przedmioty ścisłe powinny być bezwzględnie na tym oparte, w nieco mniejszym stopniu biologiczno-chemiczne czy geografia – w nich podstawą jest operowanie wyuczonym i nowym dla ucznia pojęciem. Języki obce są zupełnie innym przykładem, ale wyczuwamy, że pamięciowa i klasyczna nauka jest tu najważniejsza. Z historią, ojczystą literaturą i elementami narodowej sztuki jest jeszcze inaczej i problem jest jeszcze głębszy.

Polski patriotyzm to przeżywany powszechnie emocjonalny sentyment do Ojczyzny. Oparty jest on na strofach Mickiewicza i Słowackiego, na prozie Sienkiewicza i Żeromskiego, na wizjach Kossaków, Malczewskiego czy Matejki, na pamięci chwały Wiednia i Somosierry. Jest on de facto wpajanym w głowy młodych ludzi patriotycznym mitem – mam tu na myśli jego funkcję, a nie bajkowość wydarzeń. To nie przypadek, że w czasach braku państwa to ta część kształcenia była najsilniej tępiona przez zaborców i okupantów. Argumenty o tym, że we współczesnym świecie cytat czy fakt historyczny można szybko odnaleźć w smartfonie, były i są akurat w tej dziedzinie wyjątkowo bałamutne. Ta wiedza jest indywidualnie nieprzydatna – po co więc ktoś ma po nią samodzielnie sięgać? Ma ona jedynie sens kolektywny, ponieważ buduje wspólnotę. Jej indywidualną potrzebę dostrzegamy ex post, kiedy już staniemy się patriotami. Jest ona w rzeczywistości patriotyczną propagandą w pozytywnym sensie tego słowa. Wyżej przywołałem przykłady fundamentalne (Mickiewicz, Matejko, Somosierra…), ale polski mit wymaga szczegółów – bez nich traci swój „powab", a „szczegóły" odrzucano z pogardą dla „scholastycznej" nauki pamięciowej.

Triumfowi „umiejętności" nad „wiedzą" wtórowało (i wciąż tak jest) coś jeszcze – praktycyzm; szkolna nauka musiała się stać praktyczna we współczesnym świecie. Samo w sobie wezwanie do tego, aby włączyła się ona w techniczną modernizację z (na przykład) informatyką, nie jest błędne, ale klasyczne zajęcia formacyjne na pewno nie mieszczą się w kategorii „praktycznych" i również z tego względu schodzą na boczny plan.

Demiurg

Wszystkie modernistyczne pomysły grzęzłyby jednak (i na szczęście) we wspomnianej wyżej inercji, gdyby nie pojawienie się nowej matury, wzbogaconej o egzaminy kończące wcześniejsze etapy kształcenia; to one stały się jedynym realnie działającym, centralnym mechanizmem. Warto przypomnieć, że w początkach III RP egzaminy maturalne były organizowane w szkołach i przez szkoły, a ich weryfikacją były egzaminy na studia – samodzielnie tworzone i przeprowadzane przez uczelnie. Wprowadzając obecny model, MEN najpierw wymusił na wyższych uczelniach rezygnację z własnych egzaminów wstępnych, i to właśnie usunęło zewnętrzny miernik poziomu MEN-owskiej matury. Co prawda przez pierwsze lata XXI wieku regularnie pojawiały się alarmujące wieści o spadającym poziomie nowych studentów, ale mechanizm został już uruchomiony.

Najważniejszą – chociaż pozostającą w cieniu – komórką MEN jest Centralna Komisja Egzaminacyjna i jej okręgowe oddziały. Szkoła – chcąc zająć lepsze miejsce w rankingach – musi mieć absolwentów z lepiej zdaną maturą lub egzaminem, taka presja przenosi się z kolei na nauczycieli przedmiotowych. Aby sprostać tym wyzwaniom, nauczyciele prowadzą zajęcia nie zgodnie z tym czy innym programem, lecz „pod egzaminy". Analiza egzaminacyjnych arkuszy z poprzednich lat staje się wyznacznikiem nauczania w roku bieżącym. To właśnie sterując egzaminami, sankcjonowano zaniżanie poziomu. Pod pozorem

eprasa.pl 87cb269c4d

sprawdzania „umiejętności" pytano o banały. Symbolem takiego pytania stało się dla mnie zadanie z historii, w którym zdający otrzymali wykres kołowy pokazujący mniejszości narodowe II RP; umiejętność miała polegać na przeanalizowaniu tego wykresu. Czy rozumienie zapisu informacji na wykresie kołowym to ważna umiejętność? Oczywiście tak – chociaż chyba na niższym etapie kształcenia. Najważniejsze jednak jest pytanie: jak się to ma do wiedzy historycznej? Czy gdyby na takim samym wykresie pokazać różne gatunki warzyw w ogrodzie, to czy byłaby to biologia…?

Owa trywializacja pytań doprowadziła do tego, że ważniejszy stał się rodzaj wyćwiczonego „egzaminacyjnego sprytu" niż dogłębna wiedza. Obecny typ matury na pewno nie promuje przyszłego wybitnego, kreatywnego humanisty. Zbyt wielka kreatywność może się po prostu nie mieścić w kluczu, zgodnie z którym egzaminy są sprawdzane. To wszystko to jednak dopiero pierwsza część problemu powiązanego z wprowadzoną wtedy maturą. To, że pozycja szkoły w rankingach jest w pełni zależna od jej wyniku, ma jeszcze pewien dodatkowy skutek.

Poza dosyć wąską maturą podstawową każdy uczeń zdaje egzamin jedynie z wybranych przedmiotów (zależy to od jego planów dalszego kształcenia). Oczywiście w dobrze rozumianym interesie szkoły leży, aby przedmioty maturalne były zdawane jak najlepiej, ale to odbywa się kosztem pozostałych przedmiotów (oczywiście innych dla każdego ucznia). Szkoły, jakie plasują się wysoko w rankingach, bardzo wąsko profilują absolwentów i najczęściej pozwalają swoim wychowankom na praktyczne lekceważenie wszystkiego poza przedmiotami ich własnego egzaminu maturalnego. O skutkach chyba nie muszę pisać…

Przygotowywane centralnie i rozsyłane do szkół arkusze są po egzaminie komisyjnie pakowane i odsyłane. Kosztów przeprowadzania tej operacji nie sprawdzałem, ale konieczność utrzymania tajemnicy, druk arkuszy, produkcja „bezpiecznych kopert", a następnie sprawdzanie i procedury odwoławcze muszą generować bardzo duże wydatki. Kluczowe jest jednak coś innego: matura jest wyrwą w życiu szkoły. Aby przeprowadzić egzaminy, szkoła powołuje komisje, a przedmiotów bywa wiele… W komisjach zasiadają nauczyciele, których najważniejszą kompetencją jest brak kompetencji z danego przedmiotu (w ramach mentalności podejrzeń uznano, że nauczyciele nie mogą być członkami komisji podczas egzaminu z przedmiotu własnego). Mało tego, w komisji ma być przedstawiciel innej szkoły – też nauczyciel oczywiście. Bywają sytuacje, kiedy cała nauczycielska komisja nadzoruje egzamin jednego ucznia; oczywiście nie można połączyć egzaminów z różnych przedmiotów, bo terminy są wyznaczone sztywno. Zaangażowanie nauczycieli podczas egzaminu skutkuje z kolei niemożnością prowadzenia wszystkich zajęć dla młodszych klas. Konieczność zapewnienia wszystkich formalnych warunków, a w tym ciszy (bywa, że rzeczywiście dla pojedynczych osób) wymusza w placówkach, jakie nie mają dużych budynków, wyprowadzanie uczniów młodszych klas ze szkoły na zewnątrz: na wycieczki, do kina, do muzeum, aby tylko któryś z piszących, jakiemu nie najlepiej poszedł egzamin, nie zarzucił potem placówce, że „nie miał odpowiednich warunków". W tym ogólnym marnotrawstwie, w jakim góra rodzi mysz, najważniejsze jest więc, że corocznie przez kilka wiosennych tygodni nauka spowalnia, bo szkoła ma „ważniejsze zadanie". Gdyby to zsumować w procesie kształcenia jednego ucznia, to przez cały okres edukacji uzbiera się rok – rok w większości stracony. Demontaż klasycznego funkcjonowania polskich szkół jest w poważnym stopniu skutkiem „nowej" matury i działań CKE.

▶ Złudna wizja awansu

W sensie społecznym chyba najbardziej rujnująca okazała się wizja upowszechnienia oświaty średniej i wyższej. W cieniu chaosu związanego z przenoszeniem nauczania z 8+4 na 6+3+3 i w ogniu nowej matury rozpoczęto realne obniżanie wymagań. Usatysfakcjonowanych było wielu. Nobilitujący niegdyś tytuł absolwenta liceum, a następnie posiadacza dyplomu wyższej uczelni nie od razu utracił swój powab. Rodzice, dbając o przyszłość swoich dzieci i nauczeni własnym doświadczeniem, przyjmowali za dobrą monetę to, że ich potomstwo zdobywa maturę, a następnie trafia na studia. To zadowolenie przekładało się na polityczny błogostan rządzących, nie niepokojonych przez potencjalnie niezadowolonych matki i ojców. Od samej młodzieży wymagano mniej – ku jej satysfakcji. Powstające jak grzyby po deszczu nowe uczelnie miały „klientów" na swoją usługę (dodajmy, że często usługę na wątpliwym poziomie i w wielu przypadkach płatną), a dla grona pracowników naukowych raptem pojawiły się miejsca pracy. Szczególną popularnością cieszyły się różnej maści „zarządzania". Problem był jednak zasadniczy; w tym pędzie chyba nikt na serio nie obliczył, po co w kraju tylu „zarządzających". Zgodnie z filozofią tamtych czasów miał to wyregulować rynek. I wyregulował, a efektem tego były wielkie frustracje. Ci, którzy nie znaleźli dla siebie „odpowiednich" stanowisk, wyjeżdżali z Polski z gorzkim przekonaniem, że „ten kraj" nie dał im szansy na rozwój. Za granicą podejmowali się często prac prostych, ale cóż: skoro Ojczyzna okazała się „tak niewdzięczna"… W tej fascynacji pseudooświatą, a właściwie coraz mniej wartymi tytułami,

eprasa.pl 87cb269c4d

całkowicie spostponowano kształcenie zawodowe. W powszechnym mniemaniu stało się ono czymś gorszym. Do dziś widać tego skutki – deficyt fachowców na rynku pracy odczuwa się do teraz, a o ich zarobkach wielu absolwentów różnych „zarządzań" może tylko pomarzyć. Podsumowując, powiedzmy wprost: całemu pokoleniu ufundowano złudną wizję awansu, jednak realnie oparte to było na „inflacji tytułów", względnie łatwo uzyskiwanych w przechodzonych kolejno poziomach kształcenia.

Ponad 20 lat temu podczas poświęconego nowej maturze spotkania nauczycieli z przedstawicielką MEN (nie pamiętam, czy z samego ministerstwa, z kuratorium, czy z CKE) po dłuższej dyskusji wprost zaprotestowałem wobec zaniżania poziomu na egzaminach próbnych. Od zniecierpliwionej pani usłyszałem, że „nie rozumiem społeczno-politycznych uwarunkowań". Owszem, zrozumiałem – ówczesny minister chciał mieć święty spokój, bo pokazanie prawdy ściągnęłoby na jego głowę protesty rodziców i młodzieży – gwałtownie wyrywanych z mylnego poczucia edukacyjnego rozwoju. Ale zrozumiałem też więcej. W pierwszych latach XXI wieku matura sprawdzała nie tyle uczniów, ile samą reformę – mówiono to niemal wprost. Dobrze zdana dowodziła ona sukcesu reformatorów, a przecież to oni tę maturę tworzyli – konstruowali narzędzie weryfikacji… własnej pracy. Przez kilka lat „wąż łykał własny ogon" i można było usłyszeć o „sukcesie reformy" – bo matura jest dobrze zdana. Z drugiej strony brzmiało, że nawet jeśli naprawdę są problemy, to uczniowie nie mogą być przecież ich ofiarą, więc… należy „dostosować" poziom do ich aktualnej wiedzy.

▶ Zadekretowana pajdokracja i triumf współczesności

Demokracja i państwo prawa są wartościami stojącymi bardzo wysoko w zdrowych społeczeństwach, ale ich trwanie i odnawianie jest oparte na szeregu instytucji z definicji niedemokratycznych i hierarchicznych – można tu wskazać: Kościół, rodzinę i właśnie szkołę. Opresywne działanie tych instytucji jest czasowo ograniczone do dzieci i młodzieży (rodzina i szkoła) albo jest opresji w ogóle pozbawione (Kościół). Kiedy spróbujemy w funkcjonowanie tych instytucji włączyć świat, w którym w relacjach między ludźmi dominuje język prawa, to tracą one swój charakter i przestają właściwie funkcjonować.

Rodzic (z definicji) wie lepiej od dziecka, co temu ostatniemu jest potrzebne i na czym polega jego dobro. Nauczyciel ma swoje prawa scedowane przez rodzica pod sankcją przymusu państwa – tak być powinno, jednak w polskiej szkole mamy włączenie tej ostatniej w mechanizm „prymatu prawa", co polega na mnożeniu przepisów ograniczających szkołę wobec ucznia. Są to różnego rodzaju „prawa ucznia", jakie powodują, że pod pewnymi warunkami może on kwestionować kluczowe decyzje – w tym te najważniejsze, dotyczące oceniania własnego zachowania oraz ocen przedmiotowych; niestety, akurat w tej dziedzinie radosna twórczość MEN-owskich urzędników ma znaczenie.

Szkoła, w której uczeń i nauczyciel zostają w prawach zrównani i postawieni przed sobą niczym dwie strony na sali sądowej, traci swój charakter, a proces przebudowy w tym kierunku polskiej oświaty nabiera rozpędu. Rozumiem obawy rodziców dotyczące stosunku nauczycieli do ich dzieci, ale na tym właśnie powinna polegać specyfika pedagogicznego zawodu, że dobro ucznia (z jego rozwojem intelektualno-osobowościowym na czele) są najważniejsze – ta cecha pedagogów powinna być szczególnie pielęgnowana. Nauczycielstwo nie jest „pracą" w sensie klasycznym, jednak etosu nie wygenerujemy, ograniczając nauczycieli w ich prawach wobec ucznia. W sytuacji dominacji w szkole specyficznie rozumianego „prymatu prawa", to co z nauczycielskiej profesji pozostaje, jest rzeczywiście godne marnych pieniędzy wypłacanych co miesiąc… Wiele się dziś pisze o nadmiernej prawno-urzędniczej ingerencji niektórych państw w życie rodziny – dołączajmy do tych refleksji i szkołę.

Budowa obecnych egzaminów, w jakich z góry zakładamy, że nauczyciele będą nieuczciwi, jeśli tylko im na to pozwolić, stanowiła i stanowi do dziś czynnik walnie miażdżący szkolny autorytet. Przyjrzyjmy się temu bliżej: obecność przedstawiciela uczniów na różnych etapach przygotowywania do egzaminu i jego zakończenia (od otwarcia kopert z arkuszami do ich zamknięcia i opieczętowania), uniemożliwienie nauczycielom przedmiotowym obecności na egzaminach z własnego przedmiotu, obecność pedagoga z innej szkoły – to wszystko czynniki mające „uniemożliwić nieuczciwość i oszustwa", a więc z góry zakładające, że jeśli tylko pojawi się taka szansa, to nauczyciel nieuczciwy będzie. Czy wobec tych mechanizmów ma on szanse na bycie autorytetem? Czy sam, wewnętrznie, nie poczuje się niejako zwalniany z obowiązku przestrzegania norm moralnych NIEZALEŻNIE od zewnętrznej kontroli? Jaką lekcją dla kończących szkołę uczniów jest takie podejście do człowieka? Że nieuczciwość – jeśli tylko pojawi się taka możliwość – to norma? Wspaniałe, prawda? Tylko nie dziwmy się później dominacji takich postaw w dorosłym polskim społeczeństwie.

Opisana wyżej filozofia podejścia do szkoły trwa już ponad 20 lat, i jest wciąż pogłębiana. Gdzieś na marginesie pozostaje pytanie dotyczące samej możli-

eprasa.pl 87cb269c4d

wości organizacji życia społecznego (w tym wypadku szkoły) wokół szczegółowych przepisów, a nie wokół autorytetu. Wielokrotnie byłem świadkiem prób zdefiniowania w szkolnych dokumentach „odpowiedniego i schludnego wyglądu ucznia"; zawsze miało to efekt żałosny – zresztą jak każda próba definiowania estetyki językiem prawa. Pamiętajmy jednak, że we współczesnej szkole jeśli nie ma odpowiedniego zapisu, to nauczyciel nie może reagować na ubiór i wygląd niechlujny (to częściej u chłopców) lub zanadto „odważny" (to u dziewcząt).

Przyczółkiem nauczycielskiego autorytetu pozostaje jego wiedza (wciąż w wielu przypadkach naprawdę ona jest), ale właśnie to ona w dzisiejszej szkole ma coraz mniejsze znaczenie. Wspominane tu już wielokrotnie obniżanie poziomu kształcenia, zatapia i tę ostatnią już wyspę.

Uczniowie słabi i dysfunkcyjni jako element równania w dół

W pracy szkoły występuje pewien paradoks. Chociaż nauczyciel powinien pochylać się nad każdym uczniem z osobna, to pracuje on z zespołem i w ostateczności dobro pojedynczego ucznia powinno mieć zawsze mniejsze znaczenie od dobra ogółu klasy (jeśli tylko z nim koliduje) – reszta klasy to przecież suma innych jednostek, jakie też mają prawa.

Dobrze prowadzona lekcja powinna być stałą reakcją nauczyciela na zainteresowanie i uwagę uczniów, a te są zróżnicowane. Stale grozi nam znudzenie uczniów lepszych (jeśli przerabiany materiał jest zbyt oczywisty) lub podobna reakcja słabych (jeśli treści są niezrozumiałe). Z powyższych względów jeśli uczniowie mają pełniej korzystać z lekcji, to ich poziom musi być zbliżony. Praktyczne stosowanie tej zasady w naturalny sposób wyłania lepsze i gorsze klasy i szkoły – a w perspektywie ogólnej tworzy intelektualną elitę. Jest oczywiście ciemna strona tego procesu; raz zaklasyfikowany gorszy uczeń jest w słabszej grupie i ma kłopoty, aby awansować. Jednak nie unikniemy tego mechanizmu; ze swojej zasady przynależność do elity nie jest egalitarna. Pocieszający jest jednak fakt, że w walce o pozycję „lepszego ucznia" liczą się nie tylko zdolności, lecz także praca – a to jest otwarte dla wszystkich. Fundamentalne jest również uświadomienie sobie, że mechanizm selekcji uczniów jest jednoczesnym otwarciem dróg awansu dla tych z nich, którzy pochodzą z domów biedniejszych. Uzależnienie pozycji w społeczeństwie od kompetencji intelektualnych jest udrożnieniem najpewniejszego kanału społecznego awansu. Taka możliwość rozbija oligarchiczność społeczeństw, a bez tego mechanizmu społeczna pozycja staje się niemal dziedziczna.

W ostatnich latach lawinowo rośnie też liczba uczniów ze zdiagnozowanymi dysfunkcjami, takimi jak dysleksja czy ADHD. Trudno określić przyczynę wzrastania ich liczby; możliwe, że wcześniej nie było to diagnozowane, ale też możliwe, że czasy współczesne generują większą liczbę takich przypadków. Jedno jest jednak pewne – ulgi, jakie dysfunkcyjni uczniowie dostają na egzaminach (specjalne warunki pracy, wydłużony czas), są zachętą, aby otrzymać odpowiednie zaświadczenie. Za plagą dysfunkcji postępuje mechanizm rujnujący szkolną dyscyplinę, bo na przykład zachowania będące wcześniej godnymi nauczycielskiego potępienia są teraz niejako usankcjonowane odpowiednią opinią o na przykład ADHD. Stosując zaproponowaną przeze mnie wcześniej filozofię, zapytajmy, jak się mają prawa innych uczniów (choćby prawa do maksymalnie efektywnego skorzystania z lekcji) do prawa mniejszości albo i jednego z nich, jaki swoim zachowaniem rozsadza szkolną pracę?

W dorosłym życiu już nie jesteśmy tak wyrozumiali i stykając się z innymi ludźmi, żądamy od nich odpowiedniej kultury i kompetentnie wykonywanej pracy. Jeśli ktoś ma na przykład kłopoty z koncentracją, to jego marzenie o tym, żeby zostać pilotem samolotu pasażerskiego albo i kierowcą autobusu musi ustąpić wobec prawa pasażerów do bezpiecznej podróży. Nieważny staje się na przykład fakt, że ktoś ma wrodzoną dyskalkulię, bo jeśli jest inżynierem, to zaprojektowany przez niego most musi stać pewnie i więcej nas nie obchodzi. Przykłady można mnożyć i dotyczą one całego życia. Dlaczego więc czynimy wyjątki w szkole?

Podsumowując: destrukcyjny mechanizm polega na nadmiernej koncentracji szkoły na uczniach słabych i dysfunkcyjnych. Oczywiście dla ich dobra lepsze jest włączenie do grupy silniejszej intelektualnie i do grupy młodzieży bez dysfunkcji, ale miejmy świadomość, że odbywa się to ze szkodą dla uczniów lepszych. Uruchamiany jest kolejny mechanizm równania w dół, bo wymagania i system oceniania uczniów w tej samej klasie nie mogą być kompletnie różne. Skutkiem tego jest fakt, że już nie tylko uczniowie najzdolniejsi, ale i ci bardziej przeciętni nie są zmuszani do wytężonej pracy. Ubocznym skutkiem jest więc uwolnienie czasu młodzieży oraz to, że ten czas jest następnie „pożerany" przez smartfony i komputery, a tak naprawdę przez kosmopolityzujące siły cywilizacji Zachodu – influencerzy zamiast „Reduty Ordona" – to prawdziwa współczesna alternatywa.

Próba wystawienia recepty

Nie odważę się na przedstawienie jednego prostego rozwiązania. Niesterowność całego systemu pol-

eprasa.pl 87cb269c4d

skiej oświaty czyni jej naprawę problem bardzo złożonym, jednak spróbujmy wskazać na kilka elementów, w jakich działania naprawcze byłyby potencjalnie możliwe.

Postawmy sobie zadanie odwrócenia części dominujących wektorów: niech w szkole centrum stanie się nie jednostka, lecz wspólnota; niech celem nauczania będzie nie jego maksymalne upowszechnienie (albo chociaż nie tylko ono), lecz odbudowa elity; niech w oświacie zamiast prymatu prawa, znowu zatriumfuje autorytet.

Pierwszym i prostym ruchem byłaby zgoda na przywrócenie egzaminów na studia, tam gdzie tylko uczelnie sobie życzą. Takie działanie powinno też być powiązane ze stopniowym ograniczaniem egzaminu maturalnego – niech świadectwo zakończenia szkoły (a nie matura) stanie się podsumowaniem dokonań ucznia. Ograniczona matura powinna pozostać nie jako miernik przydatności na poszczególne kierunki studiów, ale jako ta część wiedzy, jaka jest ważna dla funkcjonowania państwa i obywatela w nim. Dogłębny sprawdzian wiedzy ściślej sprofilowanej powinien się odbyć na uczelniach, i to ich egzaminy powinny stać się drogowskazem dla nauczycieli; prawdziwe doskonalenie zawodowe nauczyciela to kontakt z ze środowiskiem naukowym z jego dziedziny.

O problemie oświaty pamiętajmy na poziomie „makrokultury" – na świadomość polskiej młodzieży ma wpływ polska szkoła, ale nie tylko ona. Pomiędzy stanem kulturowym społeczeństwa a oświatą występuje sprzężenie zwrotne i jest oczywiste, że potężne trendy kulturowe Zachodu są silniejsze niż nawet najsprawniejsze ministerstwo pojedynczego kraju. Znaczna część naszych problemów jest jednocześnie problemami całej euro-atlantyckiej cywilizacji. Skrajny indywidualistyczny hedonizm zabija wszelkie patriotyzmy i postawy obywatelskie – nie tylko nasze. Umysły dzieci i młodzieży tkwią dziś w świecie elektronicznym, a – wbrew naszym marzeniom – przeniesienie się do tej przestrzeni przyniosło ograniczanie wolności zamiast jej rozbudowę. Cenzura stosowana przez najsilniejsze, ponadnarodowe, obecne w tym świecie podmioty jest dziś wyraźnie widoczna. Z powyższych względów nie liczmy na cud… Stać nas tylko na korektę i wyłagodzenie najbardziej szkodliwych elementów, bo frontalna wojna z globalnymi gigantami jest przepisem na pełną porażkę. To wszystko nie są dobre perspektywy, można jednak spróbować na nieco dłużej oderwać młodzież od ekranów, pod hasłem: „szkoła bez smartfona". Wraz ze zwiększeniem presji na pracę domową może to być elementem „życia wiedzą" (a w tym polskim mitem narodowym) w porządku dziennym młodych ludzi.

W podejściu do szkoły musimy komplementarnie objąć także oświatę wyższą. To właśnie masowe upowszechnienie licencjatu i dyplomu magisterskiego jest de facto odpowiedzialne za zaniżenie poziomu kształcenia. Nie widzę możliwości odbierania istniejącym uczelniom uprawnień, można natomiast (godząc się z zaistniałą inflacją tytułów) wskazać uczelnie w randze na przykład „akademii", w których zarobki wykładowców byłyby KILKAKROTNIE wyższe niż na innych uczelniach, ale jednocześnie mieliby oni zakaz zarobkowania w innych miejscach. To ostatnie byłoby kluczowe dla kierunków humanistycznych, jakie są obecnie zalewane pseudonaukowymi, zewnętrznymi programami i grantami (to właśnie one w poważnym stopniu kształtują humanistyczną kadrę naukową naszych uczelni i kulturowy „klimat" całego kraju). W następnym kroku to te wspomniane „akademie" mogłyby stać się placówkami, w których byłaby formowana na przykład państwowa administracja, a na poziomie szkół średnich mogłyby one obejmować „patronatem" poszczególne licea.

Na koniec powrócę do tak wzgardzonej przeze mnie na wstępie sprawy nauczycielskich zarobków. Nie będzie prawdziwej naprawy oświaty bez dbałości o jakość nauczycieli. To prawda, że ta profesja jest misyjna, ale musi też być lepiej wynagradzana. Szczególnie tragiczna jest nauczycielska perspektywa; nawet największy zawodowy sukces po wielu latach pracy jest dziś finansowo niczym w porównaniu z innymi zawodami. Nauczyciel pracuje nie tylko na lekcji. On wcześniej te lekcje przygotowuje, a potem ocenia uczniowskie prace. Ci nauczyciele, którzy właściwie traktują swój zawód, mają kontakt z uczniem (choćby elektroniczny) także po pracy i w dni wolne. Tego wszystkiego nie wlicza się do nauczycielskich godzin. Tych, którzy twierdzą, że (za co prawda nędzne pieniądze, ale jednak) nauczyciele pracują mało, należałoby zapytać: czy wspomniane przeze mnie pozalekcyjne nauczycielskie działania powinny mieć miejsce? Niska płaca jest dziś dla słabych nauczycieli argumentem: „Za takie pieniądze więcej ode mnie nie wymagajcie"; a przecież takie będą szkoły, jaka będzie kadra nauczycielska. Należałoby więc rozważyć zróżnicowanie nauczycielskich pensji przez na przykład bardzo wysokie nagrody wypłacane bezpośrednio przez MEN lub powiązane z odznaczeniami dla najlepszych nauczycieli – tak aby stworzyć zawodową perspektywę i stymulować innych.

To, czy „Rzeczpospolita będzie", zależy od tego, jakie podejmiemy ruchy w sprawie „jej młodzieży chowania". Czy wychowamy nową elitę godną tej, jaka legła w katyńskich dołach, czy też dalej będziemy produkowali „młodych, wykształconych z wielkich miast"? Wybór jest w naszych rękach. ■

eprasa.pl 87cb269c4d

„Idź do źródła i napij się wody!”

Ewa Polak-Pałkiewicz



„Nie smućcie się, bo ja zawsze będę przy was” – to słowa Matki Bożej wypowiedziane w Gietrzwałdzie do wiejskich dziewczynek, Barbary i Justyny, 8 września 1877 roku. 7 października 2024 roku, w dzień Matki Boskiej Różańcowej, warto je powtórzyć wszędzie tam, gdzie są Polacy. W naszym kraju i w świecie.

Przed 147 laty, na zakończenie trzymiesięcznych objawień, Matka Boża poprosiła: „Odmawiajcie gorliwie różaniec”. Tylko tyle. Jej prośby zawsze były proste, oszczędne. Ale dziś rzeczy najprostsze są dla ludzkiego umysłu często najmniej dostępne. Najczęściej odrzucane, lekceważone. Przychodzi jednak czas, gdy Polacy rozumieją, że nie da się niczego trwałego i wielkiego osiągnąć w naszym państwie bez modlitwy i wyrzeczenia. Bez poważnego potraktowania próśb Matki Bożej – z Lourdes, Fatimy i Gietrzwałdu.

Polska nie jest dziś miejscem spokojnym i dla wszystkich szczęśliwym, choć niektórym obcokrajowcom jawi się jeszcze jako oaza bezpieczeństwa i ładu. Nasz kraj ma jednak mocny fundament. Nie jest to tylko przenośnia literac-



Cudowne Objawienie Matki Boskiej w Gietrzwałdzie w 1877 roku.

eprasa.pl 87cb269c4d



eprasa.pl 87cb269c4d

ka. To stwierdzenie oparte na faktach historycznych. Nawet wtedy, gdy wydaje nam się, że Polska się chwieje, trzyma ją silna podbudowa, związana z obietnicą złożoną Bogu, jaką uczynił nasz pierwszy polityczny władca Mieszko I. Przyjmując chrzest, oddał swoją własność, ziemie polskie – niewiele wtedy mniejsze od dzisiejszego terytorium naszego kraju – w lenno papieżowi. A potem akt lojalności i oddania powtórzył król Jan Kazimierz – darowując we Lwowie podczas uroczystych ślubów swoje królestwo Maryi. Król Jan III Sobieski imię Maryi obrał za hasło wojenne podczas odsieczy wiedeńskiej. Gdy byliśmy w komunistycznej niewoli, prymas Polski, Interrex, raz jeszcze oddał Rzeczpospolitą Pani Jasnogórskiej, inicjując uroczyste Śluby Narodu. Kilka lat temu w Krakowie uczynił to samo, uznając Jezusa Chrystusa jako Władcę i Pana, prezydent Polski Andrzej Duda.

Fundament i jego obrońcy

Kiedy stajemy z różańcem w dłoni, to choć daleko nam do twierdzenia, że Polska jest dziś spokojna i bezpieczna, że każdy Polak czuje się tu szczęśliwy, opieramy się na tym fundamencie, bronimy go. Pojmujemy Polskę we właściwych kategoriach, widzimy ją jako „scenę duchowego dramatu, miejsce, w którym rozgrywają się różne rzeczy, zwłaszcza rzeczy najistotniejsze", jak mawiał Gilbert K. Chesterton. Owszem, bywa tak, i bywało nie jeden raz, że Polak zabijał Polaka. Ale może się zdarzyć również, że nie zabije. I to nawet mimo że wcześniej zdradził, że otrzymał taki rozkaz, mimo że tego człowieka się zastrasza i okłamuje. A nawet może się zdarzyć, że obroni tego Polaka, narażając własne życie. I to jest właśnie czymś niesłychanym, a w Polsce nierzadkim. Czyż nie taka była historia pułkownika Ryszarda Kuklińskiego?

Gdy mówimy dziś o potrzebie jedności Polaków, to często umyka naszym oczom fakt niezaprzeczalny: ta jedność już istnieje. Jedyną bowiem jednością godną tego miana jest jedność wyznawców Chrystusa w wierze i miłości Boga. Każdy inny rodzaj „jedności" jest jedynie przejawem humanistycznej utopii. Nie ma i nie może być prawdziwej jedności między ludźmi różnych wiar. Nie ma i nie może być jedności między tymi, którzy są w prawdzie, i tymi, którzy żyją w błędzie; tymi, którzy kochają, i tymi, którzy nienawidzą. Przywoływanie tego rodzaju „jedności" to czysty surrealizm. Ta prawdziwa jedność została więc już osiągnięta, w takim zakresie, w jakim było to i jest w Polsce możliwe. Jej widzialnym znakiem jest modlitwa różańcowa milionów Polaków.

Czym jest ta modlitwa? Jest ona wyrazem przekonania, że tylko niezmienna, nieskażona wiara buduje Królestwo Chrystusa. Królestwo nie z tego świata. Jest ona też zawsze wyrazem nadziei, która nie jest oparta na ludzkich kalkulacjach. Gdybyśmy poprzestali tylko na tych ostatnich, pogrzebalibyśmy na zawsze wszelką nadzieję. Miliony wyszeptanych „Zdrowaś Maryjo…" to wyraz prawdziwej, czyli nadprzyrodzonej nadziei. W historii państw chrześcijańskich, w historii Kościoła nie ma ani jednego faktu, który udowodniłby, że gdy Matka Boża była wzywana z wiarą, sprawa Boża poniosła klęskę. Katolicy nigdy się nie mylą, gdy wołają do Niej, w Niej pokładają całą swoją nadzieję.

Graniczący z Niemcami i Rosją

Żyjący w naszym kraju Polacy wciąż przekonują się, że wolna Polska nigdy nie jest sielanką, że życie w niej dalekie bywa od ideału. A mimo to każdy człowiek elementarnie uczciwy potrafi dostrzec i nazwać różnicę między dniem dzisiejszym a stanem – nie tylko politycznym i gospodarczym, przede wszystkim moralnym – w jakim znajdowaliśmy się jeszcze rok temu – i przez poprzednie osiem lat. Zdarzały się kryzysy, niesnaski, nieporozumienia i polityczne kłótnie. Nie jest to niczym gorszącym, jest to coś najzupełniej normalnego. Tak wygląda rzeczywistość – we wszystkich rodzinach i w każdym społeczeństwie, nawet tak, wydawałoby się jeszcze do niedawna, jednolitym religijnie, kulturowe, językowo jak nasze. Słyszeliśmy nieraz (za rządów Prawa i Sprawiedliwości): „Och, gdyby nasi rządzący nie mieli tych wad!" Albo: „Gdyby mój współmałżonek nie był tak przykry!" A przecież jest akurat na odwrót. To przyjęcie trudu, to ofiara, wyrzeczenie czyni nas szczęśliwymi – w społeczeństwie, w każdej rodzinie. Przecząca zdrowemu rozsądkowi, wizja braku wszelkich konfliktów w małżeństwie i rodzinie jest utopią. Utopie zawsze są niebezpieczne. Na potrzeby ludzkiego serca i na wygórowane marzenia idealistów najlepszym lekarstwem jest realizm.

Gdy mówimy o dobrych owocach ponadtysiącletniej historii państwa w środku Europy, pomiędzy Niemcami a Rosją, która jest historią upadków i wzlotów ludzi, którzy chcą być wierni Bogu, to możemy przywołać wiele wspaniałych, ale często tragicznych faktów. Tym najbardziej chyba dojrzałym owocem tej dramatycznej historii jest fakt, że tak wielu Polaków zdolnych jest wybrać prawdziwe dobro, dobro nadprzyrodzone. Odrzucając to, co jest dobrem tylko naturalnym. Podjąć trud pielgrzymki,

eprasa.pl 87cb269c4d

by modlić się za Polaków, za nieznanych sobie, a wręcz obcych i nienawistnych ludzi. Wesprzeć ciężko zarobionym groszem powodzian, wolne media, prześladowaną partię polityczną. Miłość do Polski, tak jak miłość rodzinna, małżeńska, wymaga wyrzeczeń, które nigdy nie są rzeczą łatwą.

Miłość ojczyzny, jak miłość męża i żony, potrzebuje oczyszczenia, zanim będzie się mogła wznieść na szczyty. Czasem oczyszczenia był w naszej polskiej historii okres rozbiorów, obydwu światowych wojen, wojny bolszewickiej, komunizmu, a potem zakłamanej „transformacji ustrojowej". Dzień dzisiejszy przynosi go także. Rozumieją to ci, którzy nie są oderwani od rzeczywistości.

Tak warto patrzeć na historię własnego życia i naszego państwa. Ufając Matce Bożej, która zapowiedziała w Gietrzwałdzie opiekę nad nami. Ufając Bożej Opatrzności. Patrząc, bez podejrzliwości i uprzedzeń, na sukcesy władz politycznych poprzedniej kadencji. A trzymając w ręku różaniec, nie możemy zapomnieć, że właśnie Niepokalanie Poczęta – i tylko Ona – otrzymała obietnicę starcia głowy szatana. Pan Bóg jednak zechciał, by w Jej triumfie, zapowiedzianym wyraźnie w Fatimie, mieli udział ludzie. Tak jak sukcesy państwa zależne są zarówno od mądrości politycznej, jak i od moralnej postawy rządzących, tak los rządzonych zależy od tego, czy potrafimy – jako zwykli ludzie – wznieść się ponad przyziemność. To nigdy nie jest łatwe. Różaniec jest modlitwą trudną, bo łączy nas, istoty stworzone z tym, co niestworzone, nadprzyrodzone, do czego nie mamy dostępu przez nasze uczucia i zmysły.

W scenerii tak zaskakującej

Ubóstwienie stworzeń, umieszczenie na piedestale własnej osoby, oczekiwanie dla niej „boskiej" czci wraz z hasłami o idealnej sprawiedliwości i władzy mas ludowych tworzyły w XIX wieku mieszankę, której zwieńczeniem po latach miał się okazać bolszewizm i przetransponowane, w tej wersji istotnie prorocze, słowa Engelsa: „Opium to religia ludu". Władza państwowa w Rosji korzystała z tego obficie, utrwalając swój „religijny" charakter. Coś podobnego działo się w Niemczech w drugiej połowie XIX wieku. Idee Hegla, który „filozoficznie" dowodził, że państwo jest bogiem, rozprzestrzeniły się szeroko. Friedrich Nietsche, twórca idei „śmierci Boga", przeczuwał, że człowiek tej epoki nie zamierzał się już kryć z tym, że aspiruje do tego, by we własnych oczach być absolutem. Osiągnięciami nauki napędzał swoją pychę, której rozwój utożsamił ze swoją omnipotencją.

I wtedy, daleko od centrów, gdzie rozgrywają się najważniejsze wydarzenia polityczne, ukazuje się – nie żadnym przedstawicielom oświeconych elit, ale oczom wiejskich dzieci – „Piękna Pani", Maryja Niepokalanie Poczęta. Niezwykle wyrazista, wspaniała niczym najpiękniejszy posąg, majestatyczna, a zarazem pełna uroku, a przede wszystkim żywa.

„[…] ludzie potrzebują obrazu, wyróżniającego się, barwnego i wyrazistego. Wizerunku, który natychmiast będzie mógł być przywołany w wyobraźni, skoro to, co jest katolickie, ma być możliwe do odróżnienia od tego, co uważa się za chrześcijańskie, a nawet od tego, co w pewnym sensie jest chrześcijańskie, ale tylko w pewnym sensie" – zauważa G.K. Chesterton, wspominając moment swojego nawrócenia. „[…] nigdy nie wątpiłem, że ta postać była postacią wiary… W chwili, gdy przypominałem sobie o Kościele katolickim, przypominałem sobie Ją, kiedy starałem się zapomnieć o Kościele katolickim, starałem się zapomnieć o Niej…" („The Well and the Shallows", tłum. Mariusz Krzewina).

Zjawisko – zarówno w Gietrzwałdzie, jak i dziewiętnaście lat wcześniej w Lourdes – jest nie tylko nieoczekiwane, sceneria zaskakująca (skalna grota w Lourdes, klon nieopodal kościoła w Gietrzwałdzie), lecz jeszcze bardziej zdumiewające są słowa, które Maryja wypowiada, przychodząc na ziemię: „Jestem Niepokalane Poczęcie", „Jestem Niepokalanie Poczęta…". Zagadkowe są Jej prośby. Niepojęte towarzyszące objawieniom wydarzenia. Wszystko jest zupełnie inne niż umysł człowieka, wyćwiczony w rozwiązywaniu najwymyślniejszych łamigłówek i tworzeniu śmiałych projektów na szczęśliwą przyszłość ludzkości, mógłby się spodziewać.

„Gdy więc ideologia racjonalizmu [tak usilnie wpychana w II połowie XIX wieku do głów w niemieckich i rosyjskich szkołach polskim uczniom – przyp. E.P.P.] skutecznie zaatakowała uniwersytety i szkoły, instytuty naukowe i redakcje, gdy zdominowała niemal wszystkie środowiska uczonych, prowadząc do szybkiego zanikania wiary, trysnęło w grocie Massabielle źródło. Stało się to w miejscu, gdzie według praw natury woda nie miała prawa się pojawić" – jak pisze współczesny ksiądz.

W Gietrzwałdzie parafianie natychmiast pojęli, że skoro klon jest miejscem wybranym przez Matkę Boga, trzeba jak najszybciej rozwiesić na nim białe lniane płótno, by chorzy mogli go dotykać i odzyskiwać zdrowie. Maryja poleciła jednak, żeby płótno zostało rozłożone u stóp klonu. Wkrótce pojawił się także tutaj motyw źródła niosącego

eprasa.pl 87cb269c4d

uzdrowienie. Znajdujące się nieopodal gietrzwałdzkiego kościoła źródło zostało pobłogosławione przez Maryję.

Symbolika wody ze źródła jest mocna i bogata w znaczenia. „Obmyjcie się w wodzie!" – to wezwanie zawsze ma głęboką duchową treść. Także w miejscach mniej znanych objawień Matki Bożej w Polsce są liczne sanktuaria i prawie przy każdym z nich jest źródło. W kronikach parafialnych zapisane są przypadki uzdrowień po napiciu się lub obmyciu w jego wodzie. Gdy więc „zaślepiony człowiek orzekł triumfalnie: Bóg nie jest mi potrzebny, uszczęśliwić mogę się sam, prawdę sformułuję sobie sam i dobro zdefiniuję sobie sam", Matka Boża w Lourdes wydała małej, zabiedzonej dziewczynce imieniem Bernadeta polecenie: „A teraz idź do źródła, napij się z niego i obmyj się w nim".

Kronika Lourdes pod datą 25 lutego 1858 roku odnotowuje: „Bernadeta, usłyszawszy słowo »źródło«, rozejrzała się dookoła, bo przecież nie było żadnego źródła w grocie. Więc sądziła, że Ona miała może na myśli rzekę Gave, i zaczęła posuwać się na kolanach w stronę rzeki. Ale Ta zatrzymała ją ruchem dłoni. »Nie. Nie w tę stronę. Nie powiedziałam, abyś napiła się wody z Gave, ale ze źródła. Ono jest tu«. Bernadeta zawróciła więc i na klęczkach posunęła się w tamtym kierunku. Nie było jednak śladu jakiegokolwiek źródła, a tylko mała kępka rosnącej na skalach trawy – doryny".

To co nastąpiło potem, znane jest czcicielom Lourdes. Bernadeta posuwająca się na kamieniach jakby bez sensu, a następnie drapiąca trawę, grzebiąca w płytkim zagłębieniu swoją chudą ręką i wydobywająca z niego odrobinę błota, wprawia w konsternację tłum pielgrzymów śledzący z dołu w napięciu jej każdy ruch. „Jeszcze gorzej było, gdy w tym błocie »umyła« twarz na polecenie Pani, a następnie podniosła ją i wszyscy ujrzeli z przerażeniem jak bardzo jest ubrudzona. Szok pogłębił się, gdy dziewczynka, cały czas na kolanach zerwała kępki ziela rosnącego na stoku i włożyła sobie do ust. Pani poleciła jej bowiem: »Zjedz to ziele, które tam znajdziesz«. Okrzyki: »Szalona!«, tłumione, nerwowe śmiechy i paniczny strach zarazem przetaczały się falami przez tłum, którego napięcie osiągnęło zenit. Wstyd ogarnął wszystkich, oprócz wizjonerki, którą pytano potem, czemu tak zrobiła. Odpowiedziała, że tak Pani kazała. Ludzie byli sceptyczni, lecz fakt powstania źródła pozostał niepodważalny. Szczeliną skalną, skąd źródło bije, woda wzniosła się w sposób po ludzku niewytłumaczalny, poprzez kamienie, piaski i żwir aż do delikatnej rączki dziecka".

Polskie dziewczynki z Gietrzwałdu, Barbara i Justyna, musiały wiedzieć już coś niecoś o wydarzeniach w Lourdes, w ciągu tych dziewiętnastu lat najważniejsze objawienie XIX wieku opowiedziane zostało z pewnością w każdej parafii. Dlatego poprosiły Matkę Bożą, by pobłogosławiła źródełko znajdujące się w niewielkiej odległości od kościoła. Symbol wody jest potężny. Cudowna „bajka" rozgrywająca się na starym klonie traci swe naiwne oblicze, przemienia się w opowieść, która zmusza człowieka, by choć na chwilę wstał, przerwał swoje zajęcia, oderwał się od przyziemności. „Obmyć się w źródle" – to jeden z najbardziej wymownych i symbolicznych gestów, jedna z najpiękniejszych ludzkich czynności. Woda ze źródła, obmycie się symbolizują dojście do prawdy, do sedna, do czegoś po ludzku nieogarnionego, większego niż możemy kiedykolwiek pojąć, niż moglibyśmy się kiedykolwiek spodziewać.

Gdy zaćmione są źródła prawdy

W Gietrzwałdzie, tak jak w Lourdes, chorzy odzyskiwali zdrowie, niewierzący – wiarę, niezliczone rzesze ludzi udręczonych i strapionych odchodziły pocieszone. A tak samo jak wydarzenia w Lourdes, w La Salette i w Fatimie (1917 rok) są one „żywą apologetyką naszych czasów, o których w Apokalipsie czytamy, że biegną pod znakiem apostazji narodów…". Wiele cudów w Lourdes zostało starannie udokumentowanych podczas kolejnych dziesięcioleci; wśród lekarzy badających je byli i są niekatolicy i ateiści, ich świadectwa nie mogą być stronnicze. Cuda z Gietrzwałdu nie były badane z tak wielką dokładnością, ale zostały w dokumentach kościelnych również utrwalone jako prawdziwe. Jeśli więc wydarza się tak wielka liczba rzeczy niewytłumaczalnych z punktu widzenia ludzkiego pojmowania i wiedzy, musi to być jakiś znak. Znak, który powinien zostać odczytany. Pamiętając, że w czasie, w którym nastąpiły objawienia w Lourdes, La Sallette, Gietrzwałdzie i Fatimie, doszło w świecie chrześcijańskim do „całkowitego zaćmienia źródła prawdziwej wiary". Cudowne zdarzenia w miejscach objawień są antidotum na pseudoracjonalizm, który w centrum stawia nie Boga, lecz człowieka, ale są także czymś, co przynosi „wyrok potępienia dla całego nowego porządku świata, który ignoruje Boga i Boże prawa", jak napisał cytowany autor.

Można mieć pewną dozę pewności, że jeden z najinteligentniejszych ludzi tamtych czasów, Otto von Bismarck, potrafił – choć nie od razu i nie bez wewnętrznego oporu – ten znak odczytać.

eprasa.pl 87cb269c4d

W Gietrzwałdzie, tak jak w Lourdes, chorzy odzyskiwali zdrowie, niewierzący – wiarę, niezliczone rzesze ludzi udręczonych i strapionych odchodziły pocieszone.

Tęsknota ludzkiego serca

Mówiąc o potrzebie obrazu Kobiety, Chesterton mimochodem tworzy historię tęsknoty ludzkiego serca, najczęściej głęboko ukrytej, która mogłaby być prawdziwą historią wielu jego współczesnych. Artystów, intelektualistów, przywódców wojskowych, polityków, dyplomatów. Jednym z takich ludzi był kanclerz Rzeszy niemieckiej Otto von Bismarck. Postać jego matki Wilhelminy Mencken wywodzącej się z rodziny bliskich dworowi cesarskiemu uczonych i dyplomatów, jest jednym z kluczy do zrozumienia drogi, jaką wybrał ten wyznawca pruskiego drylu. Jako 17-latka poślubiła dużo starszego od siebie Ferdynanda von Bismarcka. Otto pisał o matce we wspomnieniach: „[…] była piękną kobietą, lubiącą zewnętrzny przepych, z jasnym, żywym rozsądkiem, ale mało miała tego, co berlińczycy nazywają uczuciem. Pragnęła, abym wiele się uczył i stał się kimś, i wydaje mi się, że była twarda i zimna w stosunku do mnie".

Wielką niespełnioną miłością Bismarcka była Maria von Thadden-Trieglaff, córka sąsiadów jego posiadłości Konarzewo. „Spotkanie z Thaddenami zmusiło Bismarcka do przemyślenia swojej postawy religijnej. Wychowany był w środowisku przesiąkniętym ideałami Oświecenia i nigdy do tej pory nie odczuwał potrzeby praktyk religijnych, uważał się, jeśli nie za ateistę, to za agnostyka. […] Piękna Maria, […] romantyczna dziewczyna o wielkiej sile woli, niezależnym sposobie myślenia, dostrzegła w Bismarcku człowieka, który »cierpiał tak bardzo z powodu niewiary«. […] Niestety, poznał ją za późno. Maria była narzeczoną jego przyjaciela, Moritza von Blanckenburga" – pisze Joanna A. Kościelna (fragmenty tekstu jej autorstwa pochodzą z cyklu „Szczecin w biografii", który ukazywał się w latach 2010–2011 na stronach portalu stetinum.pl).

To inicjatywa Marii zaważyła na decyzji Bismarcka o poślubieniu Johanny von Puttkamer, jej przyjaciółki. Pochodziła ona ze starego pomorskiego rodu, któremu początek dali polscy Święcowie (z gałęzi inflanckiej rodu pochodził Wawrzyniec Puttkamer, mąż Maryli Wereszczakówny). Kronikarze podkreślają lojalność Johanny wobec męża i fakt, że była znacznie bardziej od niego nieprzejednana wobec jego wrogów.

Tymczasem na „Świętej Warmii"…

Oto w tym samym czasie, gdy żelazny kanclerz uzgadniał i zatwierdzał zastosowanie najskuteczniejszych jego zdaniem brutalnych środków przeciw wierze i kulturze Polaków, w małej wiosce na terenie Prus Wschodnich dwóm dziewczynkom z ubogich chłopskich rodzin 160 razy ukazywała się Matka Boża, w całym swym majestacie i królewskim splendorze. Przychodziła jako Królowa Aniołów. Głosiła niewykształconym istotom z odległego krańca cesarstwa, które dla pruskich junkrów były po prostu śmieciem, orędzie w języku polskim, oficjalnie przez władze zakazanym. Mówiła o konieczności odmawiania różańca, o błogosławionych skutkach wytrwałej modlitwy, o tym, że o ile kapłani będą Jej wierni, będzie zawsze przy nich.

Władze pruskie na wieść o szerzących się „niepokojach" związanych z objawieniami Matki Bożej w podolsztyńskiej wiosce, dokąd zaczęły napływać tysiące ludzi, gdy gruchnęła wieść o cudach i uzdrowieniach, zgodnie z typowo pruską i oświeceniową zarazem logiką aresztowały nie tylko proboszcza Gietrzwałdu, ks. Weichsela, lecz także dręczyły brutalnym śledztwem dziewczynki, które widziały Maryję i rozmawiały z Nią, Justynę i Barbarę. Nakazały także „aresztować" słynący łaskami obraz Matki Boskiej z głównego ołtarza w gietrzwałdzkiej świątyni, bowiem z kultem Matki Bożej przedstawionej na tym XVI-wiecznym wizerunku łączyły – jak najsłuszniej – niebywałą popularność wydarzeń gietrzwałdzkich. Obraz musiał być przeniesiony w ciemne miejsce, gdzie nie mógł odbierać należnej czci.

Wszystko to było niczym kalka z postępowania policji we Francji, zaledwie 19 lat wcześniej. Ta sama brutalna presja, by Bernardeta odwołała „kłamstwa", straszenie, szantaż. Władza była w najwyższym stopniu zaniepokojona. Masy ludzi prowadzone zbiorowym uniesieniem, jakby nagle przebudzonym instynktem religijnym, waliły na łąkę pod grotą Massabielle, by modlić się razem z 14-letnią analfabetką, córką nędzarzy,

eprasa.pl 87cb269c4d

której ojca oskarżano o kradzież. To nie mogło przynieść nic dobrego, to hańba cywilizacji, kpina z postępu.

Matka Boża przychodząc do wiejskich dzieci w epoce, gdy warstwy wyższe w Europie, zwłaszcza burżuazja, kręgi finansjery, administracji państwowej miały o sobie wyjątkowo wysokie mniemanie, przychodzi więc w istocie do wyrzutków społecznych. Fakt ten mącił spokój nie tylko zdeklarowanych ateistów i wyrafinowanych sceptyków. Był wyzwaniem czy nawet publicznym zgorszeniem zwłaszcza dla ludzi, którzy cały wysiłek swojego życia włożyli w to, by „być naprawdę kimś". Olśnić świat, wzbogacić się, zasłużyć na to, by bliźni oddawali im pokłon... Wilhelmina Bismarck zadbała, by jej sześcioletni Otto znalazł się w szkole z internatem, gdzie panowała wojskowa dyscyplina, a którą on sam po latach wspominał jako więzienie karne. Miał zrobić karierę i nie było tu żadnej taryfy ulgowej.

„Wydarzenia odbiły się szerokim echem w całej ówczesnej Europie, odświeżając zarazem niewygodną sprawę polską. Do Gietrzwałdu zaczęli masowo napływać pielgrzymi. Już w trakcie trwania pielgrzymek miejscowość nawiedziło około trzystu tysięcy osób, w tym około dwustu księży" – odnotowuje kronikarz wydarzeń, ks. prof. Krzysztof Łatak.

Można sądzić, że Matka Boża chciała ukazywać się i rozmawiać z tymi, których wiara była najbardziej szczera, choć nie znaczy to, że naiwna i płytka. Przeciwnie. Właśnie logiczna, spójna, czysta. Gietrzwałd, tak samo jak Lourdes i Fatima, przekreśla racjonalistyczne oczarowanie ludzkiego umysłu, ukazuje, że nonsensem jest pojmowanie prawdy obiektywnej jako wymysłu ludzkiej wyobraźni, przejawu wybujałej religijności. „Każdy krok postawiony w Lourdes [w Fatimie, w Gietrzwałdzie – przyp. E.P.P.] kieruje nas ku rzeczywistości istniejącej niezależnie od wewnętrznych uczuć. [...] Lourdes [Fatima, Gietrzwałd] jest obiektywnym zjawiskiem, przed którym stoją miliony ludzi, nieskorych, by cokolwiek sobie wymyślać, a już szczególnie, by wymyślać sobie religię" – pisze ów cytowany ksiądz.

Bismarck chciał uporządkować rzeczywistość polityczną według planu, który nosił w głowie, który nieustannie poprawiał i ulepszał. Ziemie polskie miały się stać niemieckimi – nie tylko administracyjnie, lecz także dogłębnie, gruntownie. Żadna cena nie mogła być zbyt wygórowana, by cel ten osiągnąć, a wielu w Europie pamiętało, że nie były one w istocie ziemiami niemieckimi. A przede wszystkim odsuwał od siebie myśl, że oprócz jego władzy istnieje jeszcze inna, zupełnie inna, „do niczego nie podobna" władza. Jego przekonania podpowiadały mu, że kult Boga, kult Matki Najświętszej u polskich – i niemieckich – katolików to coś subiektywnego, wynik fantazji, nawyków, intelektualnego prostactwa. Nie obowiązują tu żelazne prawa natury i solidne, stałe reguły, jakimi rządzą się społeczności ludzkie. A Bóg jest jedynie produktem ludzkich uczuć. Uczuć ludzi słabych, nieradzących sobie z trudami życia, a przy tym nadmiernie pobudliwych, uczuciowych, egzaltowanych... Kimś takim był przecież on sam, gdy po sąsiedzku widywał nadzwyczaj uroczą i o dobrym sercu młodą kobietę, która jednak nie mogła zostać jego żoną.

Kardynał John Henry Newman, wielki teolog, nawrócony z anglikanizmu, w jednym z kazań wygłoszonym na cztery lata przed ogłoszeniem dogmatu o Niepokalanym Poczęciu Matki Najświętszej uświadomił słuchaczom strategię Maryi, która nie ma odpowiedników w żadnym ludzkim działaniu. Walczyła o sprawę swojego Syna, a zarazem pozostawała zawsze w cieniu. I dopiero w naszych czasach „Maryja otrzyma swą najjaśniejszą koronę – [...] będzie sławiona jako niepokalanie poczęta". Kardynał Newman nazywa Maryję obrończynią prawdy, na Jej delikatny, kobiecy, ale nieugięty zarazem sposób. Wszystko co Ona mówi i czyni, jest opowieścią o Nim – i o niebie, które przychodząc na ziemię, Ona uosabia. Syn i Matka muszą być zawsze razem. „[...] jeżeli raz uda się przekonać świat, aby zlekceważył Matkę, bardzo szybko pojawi się też brak czci dla Syna. Kościół i Szatan w tym jednym byli zgodni, że Syn i Matka są zawsze razem. Doświadczenie trzech ostatnich stuleci potwierdziło ich świadectwo: katolicy, którzy czcili Matkę, nadal czczą i Syna, podczas gdy protestanci, którzy teraz przestali oddawać cześć Synowi, zaczęli od szyderstw z Jego Matki" („The Glories of Mary for the Sake of Her Son", tłum. Paweł K. Długosz).

Może dlatego Matka Boża, która w Gietrzwałdzie objawiła się jako Królowa, w chwale, na wspaniałym tronie, otoczona Aniołami oddającymi Jej hołd, wyraziła któregoś dnia – jeden jedyny raz – smutek, gdy zgromadzeni ludzie nie okazali Jej należnego szacunku. Objawiła się na ziemi, która zawsze należała do Niej. Nigdy nie skaził jej protestancki błąd i nonszalancja ignorantów religijnych przeradzająca się we wzgardę.

Dziwne, że objawienia w Gietrzwałdzie – jedyne uznane oficjalnie przez Kościół objawienia Maryjne na ziemiach polskich – były właściwie w Polsce, aż do dzisiejszych dni, gdy minęło od nich prawie 150 lat, prawie nieznane. ■

eprasa.pl 87cb269c4d

Małgorzata Matuszak

Czym jest... odbudowywanie

Pewne procesy w naszym życiu są nieodwracalne, a inne odwracalne. Odbudowywanie jest procesem, w wyniku którego odwracamy proces niszczenia czegoś – budujemy na nowo lub odrestaurowujemy coś, co zostało zniszczone, przywracamy do uprzedniego stanu to, czego funkcjonowanie zostało zaburzone, bądź powodujemy powrót czegoś do poprzedniej wielkości.

Nie wszystko da się odbudować i wraz z tym, co odbudowane, dowiadujemy się – jako ludzie – że są rzeczy, których odbudować się nie da i które na zawsze zostały zniszczone. Nieodwracalne są zarówno narodziny, jak i śmierć, jednak odbudowanie jest czymś pośrodku nich. Nie jest to stworzenie z niczego, nie jest to również nieodwracalne odejście z tego świata. Odbudowanie sytuuje się między tym, co niszczone, a tym, co możliwe do stworzenia. Jest stworzeniem, ale tego, co już było. Na nowo, na powrót.

Tam, gdzie odbudowanie trwa, tam zwykle coś wcześniej uległo zniszczeniu. Zniszczeniu mogą zaś podlegać różnego rodzaju dobra – tak materialne, jak i niematerialne.

Odbudowywanie w najprostszym sensie dotyczy domów i mieszkań, które uległy zburzeniu w wyniku naturalnych procesów, na przykład trzęsień ziemi, powodzi, pożarów, czy w wyniku upływu czasu. Odbudowanie zachodzi wtedy, gdy w miejscu zniszczenia nie tyle chcemy stworzyć coś nowego, ile pragniemy przywrócić, zrekonstruować dawny porządek bądź dawny budynek. Wtedy odbudowanie jest ruchem wstecz, do miejsca świetności danego obiektu, który podlega rekonstrukcji. Nie zawsze jest to możliwe, niektóre zniszczone dobra materialne, dobra kultury, tracimy bezpowrotnie – odbudowane nawet, nigdy nie będą tym, czym były kiedyś. Często jednak zniszczony obiekt po odbudowaniu może być jeszcze lepszy niż kiedyś. Istnienie na nowo czegoś, co uległo zburzeniu, nosić może w sobie nowy, lepszy, czasem trwalszy wymiar, gdyż zniszczenie spowodowało, że to, co odbudowujemy, budujemy już na nowych, lepszych zasadach, pouczeni błędami, które doprowadziły do zniszczenia czy upadku czegoś.

Odbudować można również to, co niematerialne. Na przykład zniszczoną nadzieję, osobowość, która w wyniku kryzysu uległa dezintegracji, a nawet państwo czy całą cywilizację, która chyliła się ku upadkowi. Odbudowane dobra ludzkie często po tym, jak przeżyły katastrofę, stają się bardziej odporne na kolejne wstrząsy. Tak na przykład zawiedziona nadzieja może ponownie zostać odbudowana, gdy pojawią się inne, bardziej sprzyjające okoliczności, które obudzą wiarę w lepsze jutro. Państwo po wojnie można odbudować, tak jak to się działo w naszym kraju po II wojnie światowej, kiedy wszystkie siły ludzkie zmobilizowały się, aby podnieść ze zgliszcz na nowo stolicę naszego kraju, a ta nowa stała się jeszcze piękniejsza niż zburzona, gdyż zbudowały ją zapał i serce całego narodu polskiego. Podobnie cywilizacje chyląc się ku upadkowi, po przemyśleniu własnych błędów oraz przyjęciu nowych zasad własnego istnienia, mogą się niekiedy odbudować.

ODBUDOWUJĄC, WYKONUJEMY CZĘSTO MOZOLNĄ I DŁUGOTRWAŁĄ PRACĘ, ABY ODWRÓCIĆ PŁYNĄCY CZAS I WRÓCIĆ DO TEGO, CO BYŁO DOBRE W PRZESZŁOŚCI, ABY ZBUDOWAĆ NA NOWO TO, CO MAMY W PAMIĘCI, I CO DAWAŁO NAM KIEDYŚ OPARCIE.

Po upadku japońskiej, feudalnej cywilizacji samurajów, na Dalekim Wschodzie zaczął panować duch nowoczesnej kultury zrodzony ze spotkania wschodniej cywilizacji z zachodnią nauką i techniką. Również zerwane więzi między ludźmi czasem daje się odbudować w nowych sytuacjach, gdy ludzie, którzy zerwali ze sobą więź, przemyślą na nowo swoje stanowiska oraz własne błędy i ponownie sobie zaufają, gdy przekonają się, że przeżyty kryzys i zniszczenie relacji czegoś ich nauczyło i pozwoliło stać się innym człowiekiem.

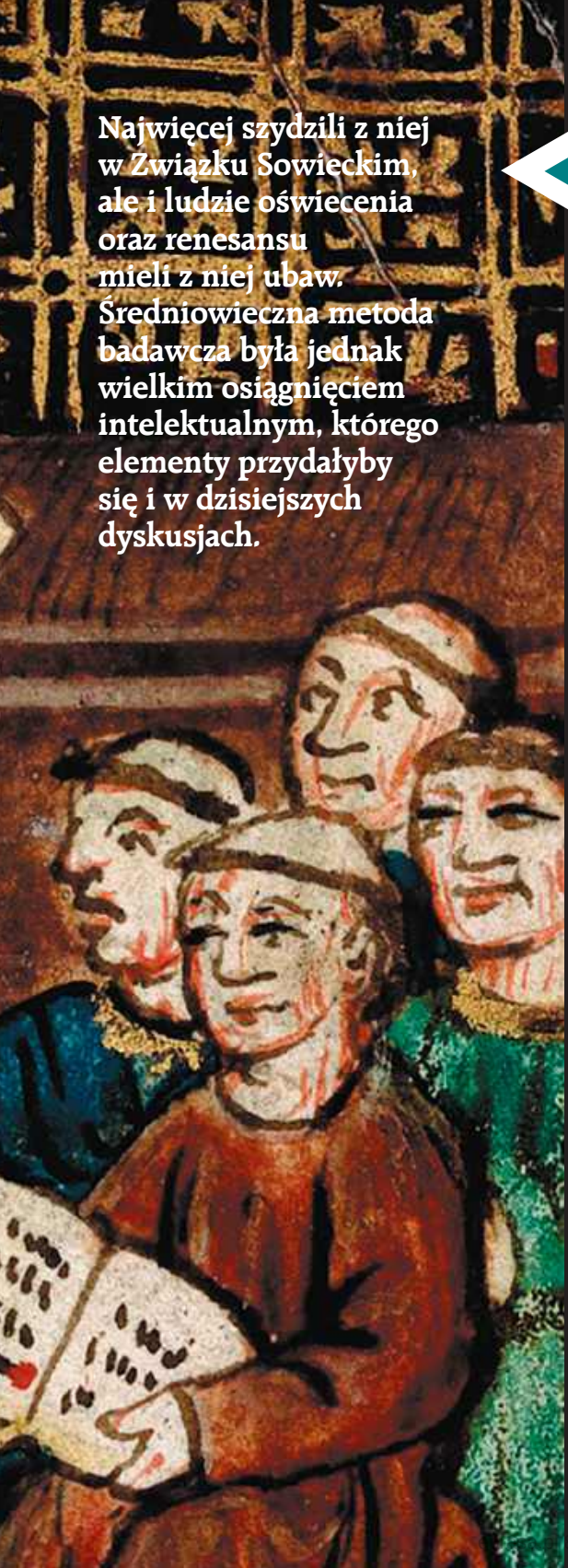
Odbudowywanie jest pewną koniecznością w świecie, w którym wiele ludzkich dzieł i dóbr ulega zniszczeniu. Odbudowując, wykonujemy często mozolną i długotrwałą pracę, aby odwrócić płynący czas i wrócić do tego, co było dobre w przeszłości, aby zbudować na nowo to, co mamy w pamięci, i co dawało nam kiedyś oparcie. Odbudowanie jest aktem wiary, że istnieje zniszczenie, które jest odwracalne i że można dzięki własnym wysiłkom powstrzymać ten proces zniszczenia i zmienić go w proces tworzenia. ■

eprasa.pl 87cb269c4d

Jakub Augustyn Maciejewski



Skrzywdzona scholastyka



Najwięcej szydzili z niej w Związku Sowieckim, ale i ludzie oświecenia oraz renesansu mieli z niej ubaw. Średniowieczna metoda badawcza była jednak wielkim osiągnięciem intelektualnym, którego elementy przydałyby się i w dzisiejszych dyskusjach.

FOT. WIKIPEDIA

Scholastyka – bo o niej tu mowa – wyrosła jako świeże spojrzenie po pierwszych wiekach średniowiecza, odbudowującego cywilizację w miejsce po zniszczonym Imperium Rzymskim. Pogańscy barbarzyńcy widzieli świat jako walki bogów, bożków i duchów, chrześcijańscy biskupi ze Wschodu zarażali się herezjami od religii zaratusztriańskiej czy muzułmańskiej i doprawdy tylko wielką wytrwałością Kościoła katolickiego i jej zbrojnych królewskich obrońców udało się od XI wieku wznieść trzon współczesnej Europy – kwartet państw, jakimi były Francja, niemieckie cesarstwo, Italia i Anglia, z Hiszpanią, Skandynawią, Węgrami, Czechami i Polską na obrzeżach. Chrystianizacja uporczywie zawziętych pogan (w IX wieku germańscy Sasi znali jeszcze wśród swoich obrzędów przypadki kanibalizmu), permanentne zagrożenia najazdami Arabów i Saracenów wymuszały na elitach rodzącej się cywilizacji walkę nie o wielkie dzieła kultury i nauki, lecz o przetrwanie.

Ten kontekst musi być zarysowany, by na takim tle wyraźniej zajaśniała właśnie scholastyka. W świecie, w którym ludzie dopiero uczyli się, że nie trzeba rozlać kropel napoju na ziemię, by skrzaty nie gryzły nocą po stopach, w murowanych dostojnych klasztorach trwała mrówcza praca intelektualna, by przynieść ludzkości zrozumienie świata.

Scholastyka jest metodą badawczą opartą ściśle na starożytnych pismach greckich filozofów – zwłaszcza „Analityk". Zniszczenie antycznego świata przez barbarzyńców, zawłaszczenie większości tego dorobku przez Bizancjum i świat islamu skazało chrześcijan zachodnich na mozolne odzyskiwanie, tłumaczenie i przepisywanie pism wielkich Greków. Tłumaczono na język łaciński i w czasach sprzed druku przepisywano, przepisywano i jeszcze raz przepisywano.

Grecy jednak poznawali świat bez Boga, który dla Kościoła katolickiego był fundamentem świata, a jednak udało im się dokonać wielu rozumowych odkryć. Na kanwie tego spotkania greckiego rozumu i chrześcijańskiej wiary powstała właśnie scholastyka – wymieniając kluczowe doświadczenia i obserwacje obu nauk – filozofii i teologii. Połączenie tych dwóch sił odbyło się na fundamencie tekstu – nie tyle konkretnego tekstu, ile właśnie na słowie zapisanym, które należało rozważać za pomocą logiki.

Analiza scholastyczna

Była to rewolucja myślowa w tym sensie, że do tej pory Pismo Święte nie było badane za pomocą świeckiej i przedchrześcijańskiej logiki. Ale scholastyka jako badanie tekstu zaczynała się właśnie od wspólnej lektury (*lectio*). Jeden z ważniejszych średniowiecznych scholastyków, Jan z Salisbury (1120–1180), pisał w swoim dziele „Metalogicon": „Kto pragnie uprawiać filozofię, niech się wdroży w lekturę, w naukę i medytację". Tekst trzeba było zrozumieć na wszelkich

cb269c4d

płaszczyznach: i dosłownie (*luttera*), i na płaszczyźnie tezy, argumentów, dowodów oraz przykładów zamkniętych w sensie tekstu (*sensu*), aż po główną myśl pracy (*sententia*), czyli zrozumienie całości wywodu, wraz z kontekstem.

Następnie tekst należy podać w wątpliwość poprzez pytania (*quaestiones*) – doprecyzowanie niejasności, kwestionowanie tezy, podawanie kontrargumentów. Idealnym trybem tej pracy była debata na przykład pomiędzy mistrzem i uczniem, którzy „szukali dziury w całym" i sprawdzali, czy ich wątpliwości da się rozwiać tekstem. Ta metoda analizy przydawała autorom XII i XIII wieku powagi, bowiem ze świadomością, że ich prace będą poddawane tak szczegółowej analizie i krytyce, pisali wyczerpująco, jasno i jednoznacznie.

Scholastyka znajdywała swój najbardziej klarowny wyraz w dyskusjach, w których nie słowem pisanym, a mówionym rozstrzygano rację. Średniowieczni intelektualiści byli wybitnymi mówcami, precyzyjnymi, rzeczowymi, jasno wywodzącymi jedne myśli z drugich. Ćwiczono to już od szkolnych lat, czasem debatując nad sprawami abstrakcyjnymi lub niedorzecznymi, by ich abstrakcyjność i niedorzeczność wykazać. Późniejsi przeciwnicy scholastyki te ćwiczenia, luźne, zabawne albo zderzające różne punkty widzenia, wykorzystali, by scholastykę okpić. Koronnym przykładem powtarzanym w sowieckich encyklopediach było zagadnienie: „ile diabłów (lub aniołów) zmieści się na główce od szpilki». Wskazując to jako rzekomy szczyt możliwości scholastycznej, brzmi faktycznie mało roztropnie, jeśli jednak wskażemy, że jest to tylko ćwiczenie i przyjrzymy się jego wynikowi, dostrzeżemy sens tego pytania. Otóż poprzez zrozumienie pytania na wszystkich, opisanych wyżej płaszczyznach, oraz analizie i pytaniach pomocniczych, dochodziło się do prostych wniosków: pytanie jest postawione na płaszczyźnie materialnej, mierzalnej (ile sztuk zmieści się na jakiej powierzchni), ale przedmiot był niematerialny (anioły czy diabły), nieokreślony przestrzennie. Należało więc wykazać niedostateczność tej formuły pytania lub przy założeniu, że diabły (czy anioły) są niematerialne, wskazać, że zmieści ich się na takiej materii nieskończenie wiele.

W badaniach nad scholastyką francuski mediewista Palemon Glorieux (1892–1979) widział wiele dociekliwości i eksperymentów myślowych. Wobec tezy (tekstu) zarzuty formułowali profesorowie, potem bakałarze, a dalej studenci. Wobec mistrza przedstawiającego tezę formułowano „pytania i zarzuty, padające ze wszystkich stron, wrogie, ciekawskie czy też podstępne". Scholastycy wierzyli, że prawda okraszona logiką jest zawsze do obrony – nawet wobec sofistycznych, retorycznych sztuczek.

Kryzys i przełamanie

Konfrontowanie różnych punktów widzenia poprzez spotkanie dwóch autorytetów reprezentujących te perspektywy było doniosłym osiągnięciem, wyrosłym jeszcze z kościelnych soborów, na których biskupi ścierali się na argumenty, by wykryć, który z nich głosi nauki sprzeczne z Pismem Świętym. Jednak scholastyka spotkała się z problemem, który w ówczesnym świecie mógł okazać się miażdżący – czy można było bowiem tą metodą podejść właśnie do Biblii? Czy wolno nauką, rozumowaniem i logiką pomierzyć Stary i Nowy Testament? A jeśli w którym punkcie świat wiary i rozumu okażą się sprzeczne – co powinno być uznane za słuszne? Trzeba będzie odrzucić naukę – bo przecież nie wiarę! Ten spór z XII wieku groził faktycznie tym, czym straszą dzisiejsi ateiści – że oto Kościół w obawie przed odrzuceniem religii sam sprzeciwi się nauce (a konkretnie logice wyrażanej w scholastyce).

Nadchodzące zderzenie z wielką mocą rozstrzygnął i pogodził św. Tomasz z Akwinu (1224–1274), zapoczątkowawszy nurt filozofii tomistycznej, wskazując, że wiara i rozum stanowią dwie drogi do poznania rzeczywistości i są to drogi równoległe, nieprzecinające się ze sobą. Objawienie i cuda Jezusa są i mają być pozarozumownymi narzędziami poznania, zaś przypowieści z Ewangelii nijak dotyczą odkryć przyrodniczych. Gdy Jezus mówił o gorczycy jako najmniejszym ziarenku, to nie chciał sklasyfikować tego gatunku jako posiadającego najmniejsze nasiona, a jedynie używał metafory do zobrazowania, jak niewiele wiary potrzeba, by przenosić góry. Rozgraniczono w ten sposób filozofię od teologii – był to wręcz cud św. Tomasza. Sprzeciw wobec niego wywoływał nowe kryzysy – jak wtedy gdy w 1616 roku Święte Oficjum Kościoła katolickiego wpisało dzieło Kopernika „O obrocie sfer niebieskich" na listę ksiąg zakazanych. Kardynałowie w tezach o obrocie Ziemi dopatrzyli się sprzeczności z Biblią – niesłusznie. Trzeba było słuchać Akwinaty i nie mieszać obu porządków.

Owoce scholastyki

Ale na tym nie kończy się doniosłość scholastyki, że uczeni mogli wreszcie dochodzić do swoich odkryć w rzetelnym i usystematyzowanym trybie, w zdrowej konfrontacji z innymi umysłami epoki. Ten sposób myślenia oparty na wierze w rozum i debatę jako poligon tegoż rozumu, zaczął wychodzić spoza wąskiego kręgu myślicieli-duchownych i rozlał się na całą Europę w do dziś widoczne dzieła. Potrzeba zgromadzenia dyskutantów, słuchaczy, mistrzów w jednym miejscu pchnęła teologów francuskich do założenia w XI wieku w Bolonii szkoły, przekształconej wkrótce w pierwszy uniwersytet. Zmierzali tam intelektualiści wszystkich krajów zachodniego chrześcijaństwa, stopniowo dojrzewając do takich rozmów z władzami w swoich królestwach, a także z hierarchami w Rzymie, by podobne zgromadzenia powoływać w kolejnych miejscach w Paryżu, Oksfordzie, Salamance, Padwie, Pradze czy Krakowie. Do dziś elementy scholastyki wyrosłej na antycznej tradycji debaty funkcjonują na

eprasa.pl 87cb269c4d

konwersatoriach akademickich podczas zajęć ze studentami czy na konferencjach naukowych.

Scholastyka przeplatała się z trudną sztuką tłumaczenia tekstów z innych języków. Właśnie tutaj ta metoda badawcza była i *de facto* do dziś jest kluczem do właściwego przekładu. Nie wystarczy zrozumieć poszczególne zwroty czy słowa, ale w tłumaczeniu trzeba także oddać sens i istotę przekazu autora, a to czasem wymaga zrezygnowania z dosłowności. W Biblii Tysiąclecia dosłowne tłumaczenie wersu Ewangelii Mateusza brzmiałoby: „Błogosławieni ubodzy duchem", a jednak po scholastycznym namyśle widać wyraźnie, że taka literalność prowadziłaby do konkluzji, że chodzi tu o ludzi małego ducha, o słabej duchowości, gdy chodzi tu o chrześcijan pokornych i skromnych – stąd tłumaczenie: „Błogosławieni ubodzy w duchu". Bez rozumienia sensu przekłady z języków obcych okażą się kłamliwe. Przy tak wielkich dziełach jak Pismo Święte czy dzieła Platona albo Arystotelesa każda pomyłka przyniosłaby pchnięcie nauki lub moralności w jakieś odmęty szaleństwa.

Podobnie było z prawem – scholastyka pomogła wykształcić formułę procesową znaną do dziś: rozprawę przed sądem z udziałem oskarżyciela i obrońcy. Instytucja adwokata jest właśnie wynalazkiem epoki, aby przedmiot oskarżenia był poddawany takiej analizie jak każdy inny tekst. Skoro można było debatować nad każdą tezą, by ją obalić lub nie, tym bardziej sprawdzało się to w sprawie winy lub niewinności, o których świadczyły zeznania, dowody, argumenty.

Przyśpieszenie rozwoju nauki europejskiej także przypada na okres rozkwitu scholastyki. Niezwykłym przypadkiem może być, zdaniem wielu badaczy średniowiecza, architektura. Istnieją dowody, że twórcy średniowiecznego gotyku, szczytowego momentu ówczesnej architektury, planowali swoje gmachy z użyciem metody scholastycznej. Historyk Erwin Panofsky (1892–1968) pisał: „W szkicowniku Villarda de Honnecourt (XIII w.), odnaleźć można rzut poziomy idealnego prezbiterium gotyckiego, który to plan Villard i inny mistrz – Piotr z Corbie – obmyślili – jak wyjaśnia nieco późniejszy napis – inter se disputando". Badacz wspomniał więcej przykładów wymiany opinii pomiędzy architektami, którzy mieli porozumiewać się i dyskutować metodą scholastyczną na temat łuków przyporowych, sklepień, filarów i innych elementów budowy. Słowem – to nauka, jaką była scholastyka, miała im dać możliwość wzbogacania wiedzy i doświadczeń. Dodatkowo, przekonuje Panofsky, w grę wchodziła tu pewna gotycka wizja wynikająca wprost ze scholastyki – jeśli wiara i rozum spotykały się w człowieku, to tak samo powinny spotykać się w katolickich świątyniach niczym sklepienia krzyżowo-żebrowe w górnej części katedr, niczym nauka i sztuka w skomplikowanych konstrukcjach gotyku.

Zagadki scholastyki

Rzecz jasna scholastyka, jak każda myśl ludzka, po okresie rozkwitu doznała epoki schyłkowej. Jej mistrzowie coraz większą wagę przywiązywali do warstwy znaczenia słów, a coraz mniejszą do nowych informacji i odkryć naukowych. Scholastyka ugrzęzła jedynie w teologii i filozofii, porzucając pozostałe dziedziny życia. Zatem w medycynie czy w naukach o przyrodzie trzymano się bardziej raz postawionych i sztywnych zakazów, by siły retoryczne skierować na rozważania nad naturą ludzką. Wraz z wyrosłymi w Europie nurtami rywalizującymi z Kościołem (protestantyzm, oświecenie) dało się odczuć pewną, ale przejściową, nierównowagę pomiędzy kościelną ortodoksją a postępowcami.

Jednakże historię poprzedniego tysiąclecia pisali właśnie ci postępowcy. W XVI wieku ogłosili się zatem autorami „odrodzenia" idei antycznych i chwalili się nawiązaniami do Greków i Rzymian. Dziś niemal w każdej europejskiej szkole jak mantrę powtarza się przekonanie o wyższości renesansu nad średniowieczem, co było sformułowane przez jedną stronę sporu ludzi tegoż renesansu. Ale przypatrzmy się najważniejszym odniesieniom obu epok – jeśli średniowiecze uczyniło z łaciny język międzynarodowej dyplomacji i nauki, a renesans wskrzesił języki prowincjonalne, regionalne, to kto był podobniejszy antycznej świetności Rzymu – uniwersalistyczne średniowiecze czy rozdrobnione odrodzenie? Jeśli średniowiecze na piedestale stawiało Sokratesa, Arystotelesa i Platona, a w renesansie mistrzami uczyniono jakiegoś żonatego mnicha Marcina Lutra czy ascetycznego despotę Jana Kalwina oraz poszczególnych autorów nowych ustrojów, to kto był bliżej upragnionej starożytności – scholastycy czy kapłani reformacji?

Powrót scholastyki

Po około 150 latach defensywy Kościół dojrzał do wskrzeszenia scholastyki. Tliła się ona przez XVIII stulecie, by w wieku następnym odnaleźć swoich wybitnych przedstawicieli. Teolog Gaetano Sanseverino (1811–1865) czy jezuita Josef Kleutgen (1811–1883) podsumowywali i rozwijali dorobek katolickiej filozofii, widząc w niej nadal żywą i głęboką naukę. Wiele życzliwości znaleźli u papieża Piusa IX (pontyfikat 1846–1878), który opieką nad neoscholastykami przygotował to, co ostatecznie wprowadził jego następca – papież Leon XIII. W sierpniu 1879 roku ukazała się encyklika Aeterni Patris, która było poświęcona katolickiej filozofii i nawoływała wiernych do zainteresowania się najwyższą formułą tomistyczną wersją scholastyki. W Polsce tomizm odnalazł swoje miejsce w myśli ojca Jacka Woronieckiego (1878–1949), ojca Mieczysława Krąpca (1921–2008) czy Karola Wojtyły (1920–2005). Trudno o lepsze dowody, że stara średniowieczna szkoła nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. ■

eprasa.pl 87cb269c4d



Małgorzata Matuszak



CZŁOWIEK W OBLICZU KATASTROFY

Katastrofy naturalne są dla człowieka, jako świadka tych wydarzeń, sprawdzianem jego człowieczeństwa, a na polu społecznym są sprawdzianem jego integracji i woli działania na rzecz dobra wspólnego oraz pokazują ludzką zdolność do rezygnacji z egoistycznych celów na rzecz grupy społecznej, do której się należy. Niedawno Polacy po raz kolejny poddani zostali takiemu sprawdzianowi.

eprasa.pl 87cb269c4d

Świat wolny od niebezpieczeństw – to odwieczne pragnienie człowieka. Niestety, to niemożliwe. Wciąż musimy się mierzyć z różnego rodzaju katastrofami, tymi „ludzkimi", powodowanymi wyraźnie przez człowieka bądź grupę ludzi, z niewielkim udziałem nieprzewidywalnej i wymykającej się kontroli Natury, i tymi „naturalnymi", kataklizmami, powodowymi głównie przez siły Natury.

▶ Jednostka ludzka w obliczu katastrofy naturalnej

Katastrofa – zgodnie z etymologiczną wykładnią tego słowa (z greckiego „kata", czyli „wbrew, przeciw, w tył", i „strefein", czyli „obracać, skręcać") – to nagłe, nieoczekiwane zdarzenie niosące ze sobą negatywne skutki, powodujące ciężkie urazy lub śmierć ludzi, a także straty materialne. W katastrofę wpisana jest więc nagłość, co nie znaczy jednak, że nic jej nie musi zapowiadać. Jednak nawet zapowiadana, spada zawsze z wielką siłą.

Katastrofa jest więc przewrotem, wywraca świat. Każdy przeżywa ją na swój sposób, tym bardziej, im więcej mu zabrała. Ryszard Studenski w artykule po pt. „Zarządzanie bezpieczeństwem w sytuacji zagrożenia katastrofą lub kataklizmem" pisze (za Rogerem W. Perrym) o dziesięciu zmiennych, które mają wpływ na skutki psychologiczne, jakie katastrofa wywołuje w jej uczestnikach: (1) poziom przygotowania wspólnoty do samoratowania się w sytuacji katastrofy; (2) zakres i siła niszcząca katastrofy; (3) trwanie katastrofy, czas wywierania niszczącego wpływu; (4) stopień degradacji relacji społecznych wskutek katastrofy w rodzinie lub wśród przyjaciół; (5) zakres uszkodzeń w mieniu zaistniałych wskutek katastrofy; (6) dostępność pomocy i rehabilitacji ze strony instytucji społecznych; (7) stopień niestabilności psychologicznej uczestników katastrofy; (8) dostępność wsparcia społecznego i pomocy psychologicznej; (9) powstanie, wskutek wzburzenia relacji społecznych, reakcji żalu i smutku; (10) poziom umiejętności radzenia sobie uczestników katastrofy.

W momencie gdy człowieka dotyka jakaś katastrofa naturalna, czuje się on bezradny i pozbawiony wpływu na bieg wydarzeń. Gdy on sam lub jego bliscy zostają nagle bez dachu nad głową oraz pozbawieni są czasem dorobku całego życia, który pochłonął żywioł, ogarnia ich szok i niedowierzanie. Taka sytuacja ma miejsce w wyniku powodzi w naszym kraju czy w wyniku innych katastrof naturalnych, jak na przykład po niedawnych pożarach w Australii, trzęsieniach ziemi w Japonii czy wybuchach wulkanu lub tsunami w rejonach podatnych na tego typu zjawiska pogodowe. W takich sytuacjach naturalnych kataklizmów jednostka ludzka niewiele sama może i musi zwrócić się o pomoc do społeczeństwa, w którym żyje. Na ogół znajduje w takich wypadkach oparcie w społeczeństwie i państwie, czasem cały świat solidaryzuje się z ofiarami kataklizmów. Zaskakująca jest właśnie w takich sytuacjach solidarność ludzka, na którą mogą liczyć jednostki poszkodowane oraz słabsze, które bez pomocy ze strony społeczeństwa nie miałyby możliwości odbudować dorobku życia oraz nie miałyby schronienia i możliwości przetrwania. Dzięki tym właśnie zasobom społecznym, które niosą pomoc ofiarom kataklizmów, udaje się przywrócić ład i odbudować swoje życie tym, którzy doświadczyli zniszczenia wszystkiego, co mieli i co pozwalało im żyć.

▶ Solidarność społeczna w obliczu kataklizmu

Wydaje się, że mechanizm opisanej wyżej pomocy i solidarności społecznej jest naturalną reakcją społeczeństwa, kiedy dotyka go kataklizm. To dzięki temu, że następuje natychmiastowa mobilizacja zasobów społecznych, sieci wsparcia oraz dzielenia się dobrami z osobami najbardziej poszkodowanymi, udaje się odbudować nadszarpniętą wiarę ofiar kataklizmu w możliwość przeżycia i przywrócić choćby małe poczucie bezpieczeństwa. Dlatego tak ważne jest zapewnienie im tej najpilniejszej pomocy materialnej, którą świadczą bezinteresownie poszczególni ludzie, korzystając z własnych zgromadzonych rezerw. Albo po prostu dzieląc się tym, co mają, nie kalkulując.

Taka integracja społeczna dowodzi, że kryzysy mogą wzmacniać między ludźmi poczucie wspólnoty i solidarności dla osób poszkodowanych oraz otworzyć na zdolność współprzeżywania straty, której inni doświadczyli. Motywuje to ludzi do natychmiastowej pomocy, dzięki zrozumieniu, że każdy z nas mógłby znaleźć się w sytuacji ofiar kataklizmu. Dowodzi to również, że w momencie takiego kryzysu człowiek okazuje się człowiekiem, a więc istotą humanitarną w najlepszym tego słowa znaczeniu – niosącą pomoc słabszym i poszkodowanym. Wówczas więź międzyludzka nabiera swojej wagi i ulega zniesieniu codzienny egoizm jednostek, które wcześniej rywalizowały ze sobą.

Można śmiało powiedzieć, że to właśnie kataklizmy otwierają nas na człowieka, i okazuje się, że mamy więcej dobroci i serca, niż myśleliśmy pierwotnie, dla często nieznanych nam nawet i anonimowych dla nas ludzi. To ważny spraw-

FOT. NICOLA MARFISI/AVALON/PAP

eprasa.pl 87cb269c4d

dzian dla każdego człowieka, czy okaże się ludzki, czy też da upust swojej ciemnej stronie i będzie szukał doraźnej korzyści z zaistniałego kataklizmu. To się niestety również zdarza, pojawiają się bowiem przecież doniesienia o wzroście cen najbardziej potrzebnych w tej sytuacji produktów, kradzieży darów dla powodzian, okradaniu służb i osób prywatnych pomagającym ofiarom powodzi, szabrownictwie pozostawionych, zniszczonych domostw czy też o fałszywych zbiórkach i dezinformacji, jednak przeważa wzajemna pomoc człowieka człowiekowi i zrozumienie dla jego dramatycznej sytuacji.

Po raz kolejny – „Polak potrafi"

Niedawna powódź na południowo-zachodnich terenach Polski pokazała, jak bardzo nasze społeczeństwo jest zintegrowane, mimo istniejących na co dzień podziałów, i jak bardzo można liczyć na pomoc innych ludzi w dramatycznej sytuacji, w której znalazło się aktualnie wielu ludzi. Zorganizowano transporty z całego kraju, w których zawarto wszystko, co potrzebne powodzianom. Ludzie z całej Polski solidaryzują się z losem powodzian i niosą im bezinteresowną pomoc, dowodząc, jak bardzo pełnym zrozumienia dla ludzkiego nieszczęścia i empatii jesteśmy społeczeństwem. Zawiązują się na stronach internetowych zrzutki pieniędzy dla powodzian. Miasta i gminy włączyły się tak samo w pomoc, jak i poszczególni ludzi. I na poziomie państwowym, i na poziomie lokalnym społeczeństwo mobilizuje wszystkie siły, aby zaradzić zaistniałemu dramatowi powodzian. Na terenach zagrożonych ludzie masowo wyszli na ulicę bronić miast przed żywiołem, sypiąc worki z piaskiem i ewakuując szpitale oraz zabezpieczając kościoły, archiwa, biblioteki i inne budynki użyteczności publicznej przed zalaniem. Natychmiastowo również lokalni mieszkańcy zabezpieczali przemakające wały. Wszyscy wykonali ogromną pracę, której wartości nikt nie jest w stanie ocenić, bo jest bezcenna. Jest to dobity przykład na to, że człowiek jest istotą skłonną pomagać innym i że można liczyć w naszym społeczeństwie na miłość bliźniego. Po raz kolejny pokazaliśmy, że w sytuacji zagrożenia cała wspólnota ludzka mobilizuje swoje siły, aby zjednoczyć się w walce z żywiołem.

I nie tylko w walce z żywiołem. Wielokrotnie udowodniliśmy, że w nas, Polakach, tkwi moc. Pokazaliśmy przecież, że w momencie napaści Rosji na Ukrainę nasi sąsiedzi uciekający przed wojną mogą liczyć na naszą natychmiastową i wszechstronną pomoc. Otworzyliśmy nasze serca i domy. Podobnie w czasie pandemii COVID-19, podczas której ludzie pomagali sobie nawzajem, wspierali osoby słabsze i starsze, robiąc im choćby zakupy, starali się nie narażać innych na ryzyko zakażenia, a cały nasz kraj przyjął mimo trudności lockdown jako konieczność, która ma na celu dobro wspólne i zapobieganie rozprzestrzenianiu się epidemii.

To dopiero początek

Wielka fala za nami, wiele jednak przed nami. Po usunięciu skutków powozi, wielkim sprzątaniu przychodzi czas na odbudowywanie zniszczeń. To mozolna i długotrwała praca. Doraźna pomoc powodzianom, płynąca z serc wszystkich Polaków, spontaniczna i bezinteresowna, nie zastąpi rozwiązań systemowych. Skala zniszczeń jest zbyt duża. Potrzebna jest długofalowa pomoc, w szczególności materialna, by miejsca zniszczone przez powódź odzyskały swój dawny blask. W wielu przypadkach niezbędna będzie również pomoc psychologiczna, wiele ofiar powodzi bowiem jeszcze przez długi czas odczuwać będzie jej skutki jako zespół stresu pourazowego (PTSD). Jeśli bowiem ktoś stracił w powodzi (prawie) wszystko, jego powrót do „normalności" jest szczególnie trudny, bo związany ze zbyt dużą stratą.

Trzeba także przemyśleć błędy, które zostały popełnione w przygotowaniach przeciwpowodziowych, i przeanalizować kondycję infrastruktury odpowiedzialnej za poradzenie sobie z przyjęciem nadmiaru wody. W odróżnieniu od katastrof „ludzkich" (antropogenicznych), katastrofy naturalne (nieantropogeniczne), nazywane raczej klęskami żywiołowymi lub kataklizmami, można przecież zwykle przewidzieć, choć oczywiście często nie jesteśmy w stanie zrobić tego z wystarczającym wyprzedzeniem, a także oszacować dokładnie, z jak wielkim zagrożeniem przyjdzie nam się zmierzyć. Trzeba jednak robić wszystko, by straty były jak najmniejsze. Katastrofy naturalne niosą z sobą mniej wyraźny wpływ wyborów i działań człowieka, jednak w ostatecznym rozrachunku nie wykluczają całkowicie człowieka ze zbioru czynników odpowiedzialnych.

Doświadczenia roku 1997 wiele nas nauczyły, tak przynajmniej się wydawało. Istotnie, ocalały (w porównaniu do tamtych czasów i w momencie pisania tego tekstu) Wrocław i wiele innych miejscowości, które ucierpiały wielce w tamtym czasie. Wciąż jednak rodzą się pytania: czy można było zapobiec tak dramatycznej sytuacji w innych miejscach, czy można było zrobić coś więcej, czy byliśmy przygotowani na taką sytuację? ■

eprasa.pl 87cb269c4d

Marcin Wolski

Wychować durnia!

Poza pociągiem do absolutnej władzy, dwie jeszcze cechy wyłażą u późnego Tuska – słabość do lewicy i wiara w kobiety. Nie wiedzieć czemu jest przekonany, że ani jedno, ani drugie nie są mu w stanie zaszkodzić. Poza tym na tle pań jak Ewa Kopacz, jego tymczasowa następczyni, prezentuje się jako światły, umiarkowany, uległy, intelektualista. Doskonale wie, że jedna ministra od klimatu – Paulina Henning-Kloska, może jednym chlapnięciem spowodować więcej szkód niż średniej wielkości powódź, ale też jest o wiele łatwiejsza do osuszenia.

Nic więc dziwnego, że do kierownictwa resortu, które ośmielę się nazwać Ministerstwem Ciemnoty i Wyuzdania, wydelegował dwie kobiety pracujące, które żadnego zadnia się nie boją. Basię o wdzięku natchnionej stalinówki i aktywiszcze o nazwie Lubnauer, na której widok w roli nauczycielki tacy uczniowie jak ja popuszczaliby ze strachu.

Jeśli chodzi o dokonanie w krótkim czasie wielkiej lobotomii Polaków, aby przemienić ich w produkt europodobny, trudno znaleźć lepsze realizatorki. Barbara zaczęła z przytupem – skasowała prace domowe, ograniczyła godziny lekcyjne i wywaliła katechetów… to znaczy chciała, bo jej wielkie zamierzenia ugrzęzły w wąskim gardle niesprawnego systemu. Naiwne mniemanie, że można od ręki zlekceważyć konkordat, olać tradycję i wymyślić nowy, lepszy program, nie wytwarzając oporu wśród rodziców uczniów i znacznej części nauczycieli – okazało się iluzją. Żeby wykończyć religię, wyplenić historię i zaorać zdrowy rozsądek jeden Broniarz nie wystarczy.

Oczywiście dobrych pomysłów nie brak. Ostatnio zaskoczyła wszystkich wice-Nowacka, czyli Lubnauer, proponując dla wygody ucznia i nauczyciela połączenie przedmiotów – na przykład fizyki, chemii, przyrody i geografii. Już widzę, jak moja stara nauczycielka od przyrody, ksywka Plazma, specjalistka od przekroju poprzecznego żaby i narządów rodnych królika, uczy o ekonomii Zimbabwe i obyczajach tamtejszych mieszkańców. Swoją drogą, jak można poprawnie nazwać dziś tamtejszego Murzyna – chyba Afro-Afrykanin?

Rozwinięciem tego pomysłu, na co zwracają uwagę liczni internauci, byłoby połączenie matematyki z historią – w obu naukach dominującą rolę odgrywają przecież liczby. Jeszcze atrakcyjniejsze mogłoby być połączenie wychowania fizycznego z religią, w końcu księża też grywają w piłkę z ministrantami. Niestety na tę ostatnią miejsca w nowoczesnej postępowej szkole nie będzie. Pozostaje więc nadzieja, że na prośbę uczniów wychowanie seksualne wraz z podstawami gender dołączy się do robót ręcznych.

> Jeśli chodzi o dokonanie w krótkim czasie wielkiej lobotomii Polaków, aby przemienić ich w produkt europodobny, trudno znaleźć lepsze realizatorki niż Nowacka i Lubnauer.

Są jednak pewne obawy przed wdrożeniem kompleksowego programu „wciskania ciemnoty". Często bowiem przy wzmożeniu reformatorskim można osiągnąć cel odwrotny, zwłaszcza że młodzież to element przekorny. Już-już skrzykiwała się na loveparadę, a teraz na przekór Nowackiej pójdzie gremialnie na Marsz Niepodległości, zwłaszcza jeśli zostanie zakazany.

Niewykluczone więc, że już gdzieś idą do szkoły maluchy, które za parę lat, jak ich pradziadkowie z Wrześni, na propozycje uczenia się historii po niemiecku powiedzą „vielen danke". Przyszłość pokaże, czy walcząc o rozum, trzeba będzie uczęszczać na tajne komplety lub studiować na latających uniwersytetach. Toteż ambitny plan, by wychować nad Wisłą durnia, prostaka i chama, może udać się tylko częściowo. Polacy przyszłości będą być może gorzej wykształceni, bardziej prostaccy, ale bynajmniej nie głupi. ■

eprasa.pl 87cb269c4d

Wykupił syna Sienkiewicza z rąk Niemców. Niesamowita historia Ignacego Mosia

Piotr Lisiewicz



Panowie są z policji? – zapytał nas Ignacy Moś. Wraz z kolegą obruszyliśmy się zdecydowanie: – W żadnym wypadku! – Aha, skoro panowie nie są z policji, to pewnie panowie są z Naszości – odpowiedział 81-latek, którego bardzo bawiła nasza wizyta. Poczuliśmy niesamowitą dumę. Oto człowiek, który wykupił z łap Niemców syna Henryka Sienkiewicza, kojarzył naszą, 20-parolatków, chuligańską działalność! A trzeba wiedzieć, że Ignacy Moś był w Poznaniu legendą, przed którą obowiązkowo kłaniali się w pas urzędnicy i ludzie kultury, odznaczoną przez Jana Pawła II Wielkim Krzyżem z Gwiazdą św. Sylwestra, posiadaczem Orderu Uśmiechu i wielu innych wyróżnień.

FOT. MUZEUM LITERACKIE HENRYKA SIENKIEWICZA/ BIBLIOTEKA RACZYŃSKICH

Ignacego Mosia odwiedziliśmy z kolegą Witkiem Gładkim w tłusty czwartek, więc poczęstował nas pączkami. Przed nami leżały książki Henryka Sienkiewicza, przetłumaczone na chiński, hebrajski, arabski, wietnamski, armeński i esperanto. Byliśmy bowiem w założonym przez Mosia Muzeum Literackim Henryka Sienkiewicza. Dziś także można je zwiedzać na poznańskim Starym Rynku, tuż obok miejsca innego typu doznań, którymi wszak nie pogardzał choćby pan Zagłoba – Pijalni Wódki i Piwa.

My w sprawie Kwaśniewskiego…

Jaki interes my, 25-latek i 22-latek, mieliśmy do Ignacego Mosia? Bardzo poważny. Otóż chodziło o Aleksandra Kwaśniewskiego. Nie minął jeszcze rok od czasu, gdy w 1997 roku Naszość, wraz z Radykalną Akcją Antykomunistyczną obecnego redaktora Wojciecha Wybranowskiego, obrzuciła jajkami urzędującego prezydenta przed teatrem na Champs-Élysées w Paryżu. Sprawą żyła wtedy cała Polska, a Sejm obradował na temat zagrożonej tym wydarzeniem demokracji.

I oto niepomny nauczki Kwaśniewski jak najbezczelniej postanowił wybrać się do Poznania, więc trzeba go było znowu pogonić. O to podejrzewał nas też Ignacy Moś, gdy żartował, że przed wizytą Kwaśniewskiego mogła go odwiedzić albo policja, albo Naszość. Po co Kwaśniewski wybierał się do naszego miasta? Ano zacieśniać naszą podległość Niemcom i Francji, Trójkąt Weimarski się to nazywało. W ramach tegoż trójkąta po Starym Rynku spacerować mieli kanclerz Niemiec Helmut Kohl, prezydent Francji Jacques Chirac, no i nasz rodzimy komuch, czego sobie absolutnie nie życzyliśmy.

A przy Starym Rynku mieściło się Muzeum Sienkiewicza, a także prywatne mieszkanie Ignacego Mosia. Idealne miejsca do jakiejś partyzanckiej akcji. Skąd przyszło nam do głowy, że nobliwy pan może chcieć nas wesprzeć? Ignacy Moś nie kojarzył się z polityką, kochali go wszyscy, ponad podziałami, choć wiadomo było, że związany był z Kościołem, ale to wtedy jeszcze w takiej popularności nie przeszkadzało…

Z muzeum rzucać jajkami niestety nie można

O tym, że Moś prywatnie był żarliwym antykomunistą, zupełnym przypadkiem przekonał się Witek, gdy zasiadał w komisji w czasie referendum konstytucyjnego w 1997 roku. Głównym twórcą konstytucji był właśnie Kwaśniewski. Do tej to komisji przybył Ignacy Moś, pobrał kartę do głosowania, ale nie poszedł z nią do kabiny, lecz demonstracyjnie, na stole, przy którym zasiadała komisja, zaznaczył „Nie", wygłaszając przy okazji krótką mowę na temat tego, co sądzi o postkomunistach.

Witek przypomniał mu to zdarzenie, wywołując uśmiech na jego twarzy. – Panowie zapewne znów chcą obrzucić Kwaśniewskiego jajami? – domyślał się rozbawiony Ignacy Moś. – Z muzeum, Panowie rozumieją, nie można. Z mojego mieszkania, niestety, też nie. Zrozumcie, że ja jestem taką osobą, której nie wypada… – wyjaśnił lekko zawstydzony. – Ja wszystko poświęcam sprawie muzeum, Sienkiewiczowi…

Gorączkowo zaprzeczyłem, jakoby naszym celem było zaangażowanie jednego z największych autorytetów Poznania w awanturę z użyciem nabiału. – Myślimy raczej o wywieszeniu transparentu, który musieliby zobaczyć prezydenci i media – wyjaśniłem. No a poza tym przyszliśmy pogadać, skoro mamy podobne poglądy. Tu Ignacy Moś udzielił nam kilku rad, które niech pozostaną tajemnicą. I dał mi w prezencie granatowy krawat w białe grochy. Za młodzi byliśmy, by wnikać wtedy w jego życiowe wybory…

Koszmarna tablica na tyłach muzeum

Już nie wiem, czy podczas tego, czy podczas kolejnego spotkania, gdy robiłem wywiad z Mosiem do „Gazety Polskiej", rzucił mimochodem: – Panowie, ale ta tablica na tyłach muzeum… To jest coś strasznego, ja się z tym nie mogę pogodzić…

Przez głowę przeszły nam słowa Zagłoby, rzucone w twarz księciu Januszowi Radziwiłłowi: „Bodaj ród Twój wygasł! Bodaj diabeł duszę z Ciebie wywlókł… Zdrajco! Po trzykroć zdrajco!". Załapaliśmy. Tablica ku czci Komunistycznej Partii Polski wisi do dziś przy Wzgórzu Przemysła, niemniej krótko po tej rozmowie ktoś pomalował ją czerwoną farbą. Zresztą jest nią systematycznie oblewana do dzisiaj.

Protest w czasie Trójkąta Weimarskiego odbył się, trafiliśmy jak zawsze w czasach rządów późniejszych obrońców demokracji na komisariat na Alejach Marcinkowskiego. Na tym, że uwaga wszystkich możliwych służb skupiona była na nas, skorzystali zakamuflowani wśród gapiów poznańscy anarchiści, którzy tuż przed oczami Kwaśniewskiego, Kohla i Chiraca wywiesili transparent „Trójkąt – tak, ale w łóżku". Tyle było z tego dobrego, że nie wyszła scena przybijania piątek z tłumem, bo przywódców pospiesznie ewakuowano,

eprasa.pl 87cb269c4d

choć Kohl i Chirac domagali się przetłumaczenia, co było na transparencie, ale to już inna historia…

„Czy pan kocha Sienkiewicza?"

Gdy w 2024 roku rząd Tuska postanowił wyrzucić z listy lektur obowiązkowych „Potop", „Quo vadis" i „W pustyni i w puszczy", przypomniałem sobie o tej historii. I o słowach Ignacego Mosia: wszystko dla Sienkiewicza. I pomyślałem sobie, że ta gra Ignacego Mosia była warta świeczki, bo widać to po obecnych działaniach wrogów Polski.

„Czy pan kocha Sienkiewicza?" – to było pytanie, które zadawał każdemu nowemu pracownikowi muzeum jego założyciel, według relacji Anny Surzyńskiej-Błaszak, autorki książki „Od subiekta do kolekcjonera: Ignacy Moś (1917–2001)". Sam jako nastolatek nie miałbym problemu z odpowiedzią na to pytanie. Z Trylogii najbardziej kochałem „Ogniem i mieczem", które czytałem chyba siedem razy, ale „Potop" i „Pana Wołodyjowskiego" też po kilka. A na podwórku kręciłem młynki drewnianą szablą jak Wołodyjowski…

„Henryk Sienkiewicz nie umiera w Ojczyźnie swojej. Uchodzi przed zaborcami. Polskę trzech łotrów rozebrało. I on jedzie do Szwajcarii światu piórem głosić, że ona jest, ona żyje, ona jest nieśmiertelna" – mówi o pisarzu Ignacy Moś do młodzieży w reportażu TVP. Brzmiało to trochę jak słowa Ignacego Jana Paderewskiego, wygłoszone po śmierci Sienkiewicza na wieczornicy patriotycznej w Chicago: „On nie był wodzem, a szedł za nim naród z największym zaufaniem i ogromnym posłuszeństwem. On nie był wysokim Kościoła dostojnikiem, a jednak kapłaństwo całe patrzało nań jako na Kościoła obrońcę i walecznego chrześcijaństwa szermierza. On nie był mężem stanu, a jednak wszyscy, co się w Polsce polityką zajmowali, przed jego zdaniem kornie chylili czoła. Bo on był jako ten słup ognisty, co w ciemnościach niewoli wskazywał prostą i prawą narodowi drogę".

Modna garderoba kupowana tuzinami

Nie wiem, jak zareagowałby na obecne wydarzenia w polskich szkołach Ignacy Moś. Wiem, że to dobry moment, by przypomnieć jego dzieło. Ignacy Moś urodził się 17 maja 1917 roku w Ostrzeszowie, w rodzinie mieszczańskiej. Był jednym z siedmiorga rodzeństwa. Tam skończył szkołę podstawową, uczył się kupiectwa i pracował jako subiekt w firmie Bielawnego.

Już przed wojną odwiedzał Poznań. Anna Surzyńska-Błaszak pisze: „W Poznaniu bywał młody Ignacy Moś już przed wojną – u starszej siostry Marii, która mieszkała w stolicy Wielkopolski, spędzał wakacje, a później odwiedzał brata Piotra – który studiował tutaj prawo. Duże miasto, o ileż większe od Ostrzeszowa czy Ostrowa, imponowało dorastającemu chłopakowi. Bywał z rodzeństwem w eleganckich cukierniach (być może w słynnej kawiarni Dobskiego przy ulicy Fredry 13, po wojnie zamienionej na popularną W-Z-kę, która stanie się ulubionym miejscem towarzyskich spotkań początkującego kolekcjonera) i sklepach (między innymi u cieszącego się prawdziwą sławą Stefana Kałamajskiego), jeździł fiakrem na spacery do Dębiny. Siostra dbała o modną garderobę, którą kupowała na zapas – nie na sztuki, ale tuzinami".

Złoto i futra przekonały Niemców

Podczas II wojny światowej, podobnie jak wielu uznanych za potencjalnie niebezpiecznych Wielkopolan, w tym i moja rodzina, został wysiedlony. Po wielu perypetiach trafił do Kielc. A tam blisko było do sienkiewiczowskiego Oblęgorka. W 1900 roku społeczeństwo polskie ufundowało ze składek majątek w Oblęgorku dla Henryka Sienkiewicza, z okazji 25-lecia pracy literackiej. Od maja 1902 do sierpnia 1914 roku Sienkiewicz mieszkał w Oblęgorku, który stał się jego letnią rezydencją. Po śmierci pisarza mieszkali tam jego żona i syn.

Jak relacjonowała Danuta Pługawko w Roczniku Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza: „Jeździł Ignacy Moś do Oblęgorka, gdzie przyjaciel, Bolesław Cybulski, był administratorem majątku Sienkiewiczów. Poznał tam dzieci pisarza – Henryka Józefa i Jadwigę Korniłowiczową i ich rodziny. Moś zaprzyjaźnił się z Sienkiewiczami". Wspominał potem: „Kochałem ich wszystkich i oni kochali mnie. Oblęgorek był dla mnie drugim domem i schronieniem przed okropnościami wojny".

W 1944 roku Henryk Józef Sienkiewicz i Bolesław Cybulski zaaresztowani zostali przez gestapo. Pod zarzutem wspierania partyzantów z Armii Krajowej. Mieli trafić do Auschwitz. Próba uratowania ich wydawała się szaleństwem. Ale młody kupiec bławatny Ignacy Moś miał argumenty, które poruszyły niemiecką wrażliwość. Nazywały się złoto i futra.

Wdzięczny Henryk Józef Sienkiewicz ofiarował Mosiowi z biblioteki ojca, wydany na japońskim papierze, egzemplarz „Quo vadis". Z dedykacją: „Panu Ignacemu Mosiowi na pamiątkę ciężkich czasów wojennych, z wyrazami wdzięczności za

eprasa.pl 87cb269c4d

życzliwość okazywaną naszej rodzinie w trudnościach i niebezpieczeństwach". Tak zaczęła się wielka pasja kolekcjonerska Ignacego Mosia.

▶ Pamiątki po Sienkiewiczu w prywatnym mieszkaniu

W 1945 roku Ignacy Moś wrócił do Ostrzeszowa, gdzie otworzył sklep „Materiały łokciowe i futra". Jak pisze Płygawko, interesy szły dobrze, ale w 1951 roku zmuszony został przez władze do likwidacji sklepu. Nie dając za wygraną, przeniósł się do Poznania i otworzył hurtownię butów. Jako prywaciarz zarobione pieniądze przeznaczał na kolekcjonowanie pamiątek po Sienkiewiczu. Były wśród nich rękopisy utworów, autografy, polskie i obce wydania dzieł pisarza, fotografie, meble, obrazy, rzeźby. „W poszukiwaniu tych pamiątek jeździł po całym kraju. Miał swoje kontakty w sklepach z antykami i antykwariatach, a kupieckie talenty miały wpływ na powiększanie kolekcji" – pisze Płygawko.

Moś chętnie pokazywał te zbiory zainteresowanym w ciasnym mieszkaniu w oficynie na ul. Fredry. „Mieszkanie odwiedzali indywidualni goście i wycieczki, a więc tłumy ludzi. Czasami efekt tych masowych wizyt był dramatyczny. Zginęło kilka listów, zginęły jakieś książki, bo ten cały zbiór nie był skatalogowany. To był żywioł! Moś reprezentował kolekcjonerów, którzy muszą pochwalić się swoimi skarbami, dlatego nieważne było zagrożenie dla zbiorów, ale nade wszystko ważne było zainteresowanie kolekcją. W kolejnych latach wszystkie desy w Polsce wiedziały, że jest taki człowiek w Poznaniu, który natychmiast wykupuje wszystko, co jest związane z Sienkiewiczem i jego twórczością" – pisze Anna Surzyńska-Błaszak.

„Te zbiory bardzo przypadły mi do serca. One mnie uszczęśliwiają. To jest mój cały świat. Zbiory moje, dopóki żyję, pragnę mieć przy sobie, a w przyszłości mam zamiar złożyć je na ołtarzu mojej Ojczyźnie" – mówił Moś w reportażu TVP.

▶ „Pozostaną po wsze czasy w mieście Poznaniu"

Dojrzewał pomysł stworzenia muzeum. Jak mówił Moś w tymże reportażu, miał propozycje z Krakowa i Zakopanego. Zdecydował, że chce, by powstało ono w Poznaniu. Znany ze wspierania kultury komunistyczny wiceprezydent, w potem prezydent Poznania Andrzej Wituski, później związany z postkomunistyczną oligarchią, wsparł projekt. Moś przekazał miastu swoje zbiory, co zapisane zostało w następującym dokumencie: „Dnia 5 października 1977 r. w Urzędzie Miejskim w Poznaniu przed notariuszem Państwowego Biura Notarialnego stawił się Ignacy Moś oświadczając, że jest właścicielem kolekcji dotyczącej pisarza Henryka Sienkiewicza, jego życia, działalności i osób z nim związanych, a stanowiących rękopisy oryginalne, księgozbiór, archiwalia oraz zbiory muzealne, a także meble […]. Ignacy Moś daruje Państwu Polskiemu kolekcję […]. Zbiory kolekcji pozostaną po wsze czasy w mieście Poznaniu, tworząc niepodzielną całość pod patronatem Miejskiej Biblioteki Publicznej im. E. Raczyńskiego".

Muzeum powstało w kamienicy przy Starym Rynku z 1553 roku, która była własnością Jana Baptysty Quadro z Lugano, włoskiego architekta, budowniczego poznańskiego ratusza, o którym poznański poeta Wojciech Bąk, którego sylwetkę przedstawiałem przed miesiącem, pisał:

Gościu z dumnej Florencji! Południowy gościu!
Zabłąkałeś się w północ, w kraj wichru i śniegu –
I przyjęto cię tutaj z troskliwą miłością
Jak czysty głos Dantego, dźwięk Petrarki śpiewu.

I zapomniałeś czułą ojczyznę. I w dzieje
Wkroczyłeś pewną stopą – i trwasz w nich – ojczysty
Uśmiech głosząc południa i mądrą nadzieję
W kraju upartych deszczów i jesieni mglistej.

▶ Zdrową polską latorośl przemocą przerobić na skarlałą płonkę niemiecką

Ignacy Moś pełnił w muzeum funkcję Honorowego Kustosza. I jako Honorowy Kustosz przychodził do niego, do pracy, codziennie. Wprowadzał tam wiele swoich pomysłów, na przykład by wszystkie szkoły imienia Henryka Sienkiewicza miały wstęp wolny do muzeum. Co brzmi dziś szczególnie mocno, gdy Sienkiewicz wyrzucany jest ze szkół, najbardziej zależało mu na przekazywaniu twórczości pisarza kolejnym pokoleniom. Jak pisze Płygawko, „Moś lubił wizyty wycieczek szkolnych w swoim muzeum. Często podkreślał, że stworzył je z myślą o dzieciach i młodzieży". I młodzież świetne czuła, że ma do czynienia z autentyczną pasją, będąc pod ogromnym wrażeniem spotkań z Honorowym Kustoszem.

A przez ten cały czas wzbogacał kolekcję: „W 1983, 1988 i 1993 roku przekazał muzeum kolejne »fundacje« (ponad 450 jednostek). Uzupełnił zbiory o liczą-

eprasa.pl 87cb269c4d

cą ponad 100 jednostek kolekcję medali. Do najwspanialszych eksponatów muzeum należą: (spośród wielu autografów) list Henryka Sienkiewicza do cesarza Niemiec Wilhelma II z 1906 roku, maska pośmiertna i odlew prawej dłoni pisarza, wykonane w Vevey przez Ksawerego F. Blacka".

W liście do cesarza Niemiec, który przedrukowujemy dziś w dziale Retrospekcje, Sienkiewicz pisał: „Bezduszne bowiem i nieludzkie jest takie prawo, które, nie bacząc na to, że nawet zwierz każdy musi mieć swe legowisko, zabrania Polakowi wznieść sobie na własnym kawałku ziemi dach nad głową. Straszne, głęboko niemoralne i nie dające się niczym usprawiedliwić są takie ustawy, na które odpowiedzią jest płacz tysiąców bezbronnych dzieci. Szkoła, a w niej nauczyciel w Królestwie Pruskiem, nie jest przewodnikiem, który dziecko polskie oświeca i prowadzi do Boga, ale jakimś bezlitosnym ogrodnikiem, którego urzędowym obowiązkiem jest zdrową polską latorośl przemocą przerobić choćby na krzywą i skarlałą płonkę niemiecką". Ale w muzeum obejrzeć można także 18 telegramów, które wysłały poznańskie dzieci biorące udział w strajku przeciwko niemieckim zarządzeniom, Sienkiewiczowi.

Ignacy Moś cieszył się ogromnym autorytetem wśród poznaniaków. Był fundatorem około 50 tablic pamiątkowych czczących postacie i wydarzenia historyczne, a także dzwonów dla kościoła św. Mikołaja w Ostrzeszowie oraz pomnika Chopina w Ostrowie Wielkopolskim.

Kule armatnie z Jasnej Góry

„Czy był tylko filantropem, czy miał także inne cele w zanadrzu? Jak często mawiał – kochał swoją Ojczyznę i Poznań, do którego odczuwał szczególną słabość. Ale miał też wyobraźnię kupca. Znał pojęcia i wartości i nie chciał być człowiekiem, jakich są tysiące. Wolał być jednym z niewielu. Lubił, kiedy spojrzenia innych zatrzymywały się na nim" – pisała Anna Surzyńska-Błaszak.

Na wystawie w setną rocznicę przyznania Sienkiewiczowi Nagrody Nobla, w muzeum pokazano… kule armatnie, które podczas potopu szwedzkiego świstały nad obrońcami Jasnej Góry. A także prochownicę i pistolet z tamtego czasu.

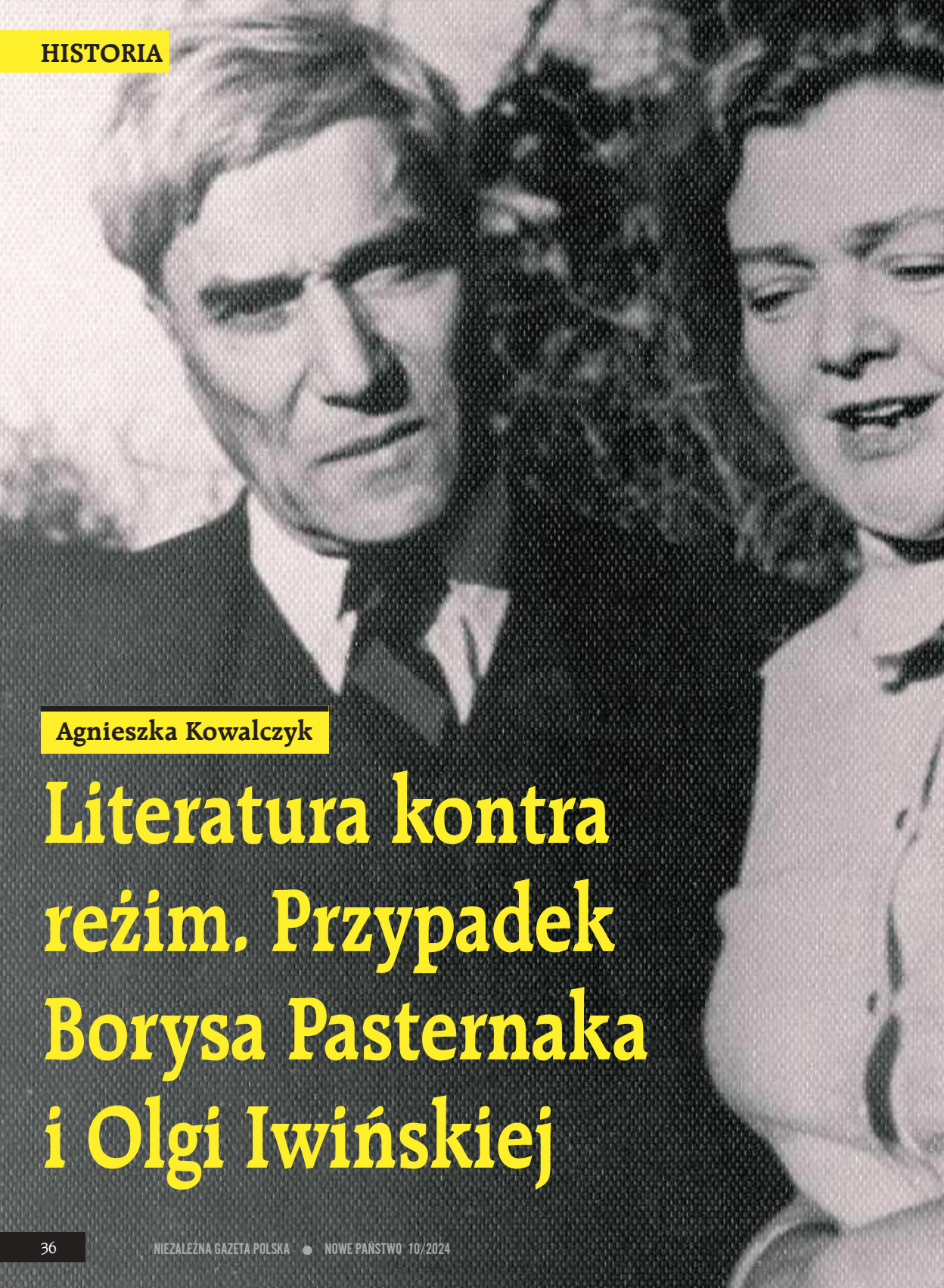
Ignacy Moś cieszył się ogromnym autorytetem wśród zwykłych poznaniaków ze względu na swoją działalność. Był fundatorem około 50 tablic pamiątkowych czczących postacie i wydarzenia historyczne, a także dzwonów dla kościoła św. Mikołaja w Ostrzeszowie oraz pomnika Chopina w Ostrowie Wielkopolskim. Na ścianie poznańskiego Hotelu Bazar, tego, z okna którego przemawiał Paderewski, co stało się zarzewiem powstania wielkopolskiego, znalazła się tablica z informacją, że Sienkiewicz w dniach 14, 16 i 17 kwietnia 1880 roku czytał tam poznaniakom nowelkę „Za chlebem".

Działał też na rzecz chorych oraz niepełnosprawnych intelektualnie dzieci, wspierał domy dziecka, domy starców, kościoły i klasztory. Gdy w 1995 roku lokalne Radio Merkury zorganizowało konkurs na Wielkopolanina Roku, wygrał go Ignacy Moś, zdobywając 6,5 tys. głosów. Moś został Kawalerem Orderu Uśmiechu, Honorowym Obywatelem rodzinnego Ostrzeszowa oraz pobliskiego Ostrowa Wielkopolskiego. W Muzeum Regionalnym w Ostrzeszowie znajduje się stała ekspozycja „Ignacy Moś – rodzinnemu miastu". W 2000 roku Jan Paweł II uhonorował go tytułem Kawalera Orderu Świętego Sylwestra – Cavaliere di Gran Croce Ordine di San Silvestro Papa.

Bóg – Honor – Ojczyzna

Zmarł 14 grudnia 2001 roku. Cztery dni później, 18 grudnia 2001 roku, msza żałobna za Ignacego Mosia odprawiona została w zabytkowej poznańskiej Farze. Pochowany został zgodnie ze swoim życzeniem na cmentarzu w Ostrzeszowie, a na jego rodzinnym grobie stoi wielka rzeźba Chrystusa Zmartwychwstałego. Danuta Pługawko napisała: „Żył i pracował kierując się maksymą: »Bóg – Honor – Ojczyzna«. Na medalu, wybitym na dwudziestolecie Muzeum Literackiego Henryka Sienkiewicza w Poznaniu, widnieje przy wizerunku fundatora i twórcy motto z »Quo vadis«: »Szczęście jest zawsze tam, gdzie je człowiek widzi«". ■

eprasa.pl 87cb269c4d



Agnieszka Kowalczyk

Literatura kontra reżim. Przypadek Borysa Pasternaka i Olgi Iwińskiej



W 1988 roku, na fali drugiej odwilży gorbaczowowskiej, która przyniosła rozszerzenie swobód obywatelskich i ograniczenie zakazów cenzury w Rosji, Borys Pasternak odniósł swoje pośmiertne zwycięstwo jako pisarz. Oto w kolejnych czterech numerach czasopisma „Nowy Mir" jego „Doktor Żywago" ukazał się po raz pierwszy w oficjalnym obiegu wydawniczym.

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Walki z kłamstwem, wynaturzeniami życia społecznego i politycznego w rosyjskim państwie rządzącym się przemocą podjęła się przede wszystkim literatura […]" – pisze znawczyni wolnej literatury rosyjskiej Krystyna Pietrzycka-Bohosiewicz, wskazując, że w tym kraju pisarz był: „sumieniem narodu, twórcą opinii społecznej, sędzią, filozofem, najwyższą instancją moralną, mistrzem duchowym, prorokiem. Przychodziło mu za to zwykle płacić wysoką cenę: twórców zabijano, zsyłano na katorgę, więziono, obwoływano umysłowo chorymi, zmuszano do emigracji, zaś teksty ich utworów kaleczyli głupi, najczęściej, cenzorzy". Wśród skazanych na zesłanie znaleźli się m.in. Aleksander Puszkin, Michaił Lermontow i Fiodor Dostojewski, do emigracji zmuszono Iwana Turgieniewa i Aleksandra Hercena, a Piotra Czaadajewa zamknięto w szpitalu psychiatrycznym.

Polowanie na pisarzy

Nic jednak nie mogło się równać z epoką stalinizmu, w której władza radziecka dążyła do całkowitego unicestwienia twórców literatury niezgodnej z ideologią państwa totalitarnego. Narzucający ludziom pióra tematy i metody tworzenia realizm socjalistyczny sprawił, że literatura miała być całkowicie podporządkowana polityce partii i nastawiona wyłącznie na pełnienie funkcji dydaktyczno-propagandowej. Prawda o człowieku i świecie, jaką winna odkrywać, nie mogła być wypowiadana na głos w państwie Stalina opartym na wszechogarniającym kłamstwie i przemocy. Pisarz zatem, „by pozostać wierny swemu talentowi, musiał być albo gotowy na ofiary, albo zamilknąć, albo wyemigrować ze Związku Sowieckiego" – podkreśla przywołana badaczka. Wielu opuściło Rosję, ci zaś, którzy pozostali, a nie chcieli przystosować się do narzuconych zasad, skazani byli na niebyt twórczy, łagry, a nawet i śmierć, jak: Nikołaj Gumilow (stracony), Izaak Babel (zginął podczas egzekucji), Osip Mandelsztam (zmarł w łagrze pod Władywostokiem) czy Iwan Katajew (rozstrzelany). Niektórym udało się przeżyć więzienia i obozy, ale na zawsze pozostali okaleczeni psychicznie i fizycznie, jak Warłam Szałamow, autor słynnych „Opowiadań kołymskich", skazany na 10 lat łagru za określenie emigracyjnego pisarza Iwana Bunina, laureata Nagrody Nobla, mianem „klasyka literatury rosyjskiej". Jak zauważył Tadeusz Klimowicz, autor książki „Obywatele Arkadii": „Ustrój totalitarny zaproponował twórcy odpowiednio spreparowany dychotomiczny model świata składający się z »bieli« i »czerni«, »nas« i »ich«, »swoich« i »obcych« […] »patriotów« i »kosmopolitów«. Jedni mieli długie i szczęśliwe życie, milionowe nakłady, nagrody stalinowskie i leninowskie, dacze, samochody, zagraniczne wyjazdy: drudzy trafiali przed plutony egzekucyjne, wędrowali do

eprasa.pl 8cb269c4d

łagrów, pisali, nie mając najmniejszych szans na wydrukowanie swoich utworów". Sytuacja w Rosji zaczęła zmieniać się dopiero po śmierci Stalina, wraz z nastaniem odwilży chruszczowowskiej, która znamionowała pewne tendencje wolnościowe, ale reżim istniał nadal i całkowita swoboda twórcza wciąż nie była możliwa.

Wtedy to właśnie, pod koniec lat 50. XX wieku, zrodził się fenomen samizdatu, czyli wolnej literatury rosyjskiej, zjawiska wyjątkowego po dziesięcioleciach szalejącego terroru i zniewolenia. To w tym właśnie podziemnym nurcie literatury odbijało się niegasnące pragnienie zamanifestowania wewnętrznej wolności, potrzeby zadawania trudnych pytań, odzyskiwania przez człowieka swej podmiotowości, zastąpienia kolektywu przez jednostkę obdarzoną własną indywidualnością. Gwałtowny rozwój drugiego obiegu literatury rosyjskiej i jego ostateczne ukształtowanie nastąpiło po zejściu do podziemia kulturowego wybitnej powieści Borysa Pasternaka „Doktor Żywago".

▶ Intelektualistki niepokorne wobec władzy sowieckiej

O kulisach powstania i wydania jednego z najgłośniejszych rosyjskich dzieł, towarzyszącej mu aurze skandalu w ZSRS i ogromnej popularności na Zachodzie, oraz o muzie pisarza Oldze Iwińskiej, która stała się prototypem jego powieściowej Lary, płacąc wysoką cenę za wspieranie autora na drodze twórczych wyborów, opowiada Irina Jemeljanowa, jedna z bohaterek książki Moniki Zgustovej „Dziewczyny z łagrów. Prawdziwe historie" (Kraków 2024). Swoją rozmówczynię czeska pisarka odnalazła w Paryżu. Irina ukochała wolność ducha manifestującą się w literaturze i sztuce. Ta dawna więźniarka łagru, która w Tajszencie wraz z matką torowała drogi w zlodowaciałym śniegu, a w Potmie rozbijała kilofem ziemię zmrożoną na skałę i przez kilkanaście godzin dziennie ładowała ją na ciężarówki, była córką Olgi Iwińskiej, poetki i tłumaczki, wielkiej miłości Borysa Pasternaka. Kobiety z jej rodziny, intelektualistki niepokorne wobec władzy sowieckiej, musiały prędzej czy później zostać skazane na łagry. Pierwszą, i to całkiem przypadkową, ofiarą stalinowskiego terroru była babka Iriny, Marusia. W lipcu 1941 roku, na krótko przed niemiecką inwazją na Związek Radziecki, aresztowano ją na skutek fałszywego donosu. Wielu bowiem zazdrościło jej niewielkiego, lecz własnego i pozbawionego przymusowo przydzielonych współlokatorów mieszkania w Moskwie, co w Stalinowskiej Rosji uchodziło za wielki luksus. Dostała więc sześć lat obozu pracy przymusowej, co i tak w obliczu szalejącego terroru uchodziło za „karę dla dzieci". Gdy wojna rozgorzała na dobre, a listy od Marusi przestały przychodzić, zaniepokojona Olga wyruszyła na poszukiwania matki… Odnalazła ją w pobliżu opustoszałego łagru, z którego więźniowie pouciekali. Ukrywała się w lesie w obawie przed pojmaniem i wydaniem w ręce katów. Olga nie mogła jej poznać – była wygłodniała, odziana w łachmany, podpierała się kosturem. Przed śmiercią głodową ratowała się, jedząc trawę, surowe grzyby i korę drzew.

Los nie oszczędził i Olgi, która tak jak jej babka trafić miała do łagru, i to dwukrotnie! Władze Stalinowskiej Rosji były dla niej bezwzględne, ponieważ związała się z człowiekiem, który sprzeniewierzył się komunistycznej wizji świata. Borys Pasternak (1890–1960) był wybitnym rosyjskim poetą (m.in. autorem zbiorów poezji „Życie – siostra moja", „Tematy i wariacje"), prozaikiem („Opowiadania", „List żelazny", „Drogi napowietrzne") tłumaczem dzieł Szekspira, Goethego, Rilkego, Słowackiego, poetów gruzińskich, laureatem Literackiej Nagrody Nobla, którego świat poznał jako twórcę powieści „Doktor Żywago". Olgę Iwińską połączyło z nim wielkie uczucie, które nie wygasło do końca ich życia, chociaż pisarz pozostał w związku małżeńskim z inną kobietą. Olgę poznał w 1946 roku w moskiewskiej redakcji pisma literackiego „Nowyj Mir", gdzie wówczas pracowała. Była po rozwodzie, miała dwójkę dzieci. Gdy stanęła na jego drodze, rozpoczynał właśnie pracę nad dziełem swego życia, które ukończył w 1955 roku.

▶ Literatura, miłość i łagry

Tajna policja wiedziała o ich związku i fakt ten niebawem miała wykorzystać przeciwko niewygodnemu pisarzowi, gdyż „nie pisał tekstów zgodnych z radzieckimi kanonami socrealizmu". Pewnej nocy 1949 roku do mieszkania Olgi wtargnęli funkcjonariusze, została zatrzymana i wtrącona do więzienia. „Aresztowanie mamy było ostrzeżeniem dla poety – mówi Irina. – Właśnie taki był sens zatrzymań najbliższych wielu pisarzy – tak jak w przypadku córki i męża poetki Mariny Cwietajewej po jej powrocie do ZSRR. Jej mąż nie przeżył tortur, a córka, Ariadna Efron, spędziła wiele lat w łagrze. Podobna historia przydarzyła się drugiemu mężowi oraz synowi innej poetki, Anny Achmatowej". Chciano wymusić na Oldze zeznania obciążające Pasternaka, dowodzące, iż był twórcą antyradzieckim. Poetka nie dała się jednak złamać i mimo tortur psychicznych i fizycznych nie powiedziała niczego, co skompromitowałoby pisarza. W tym właśnie czasie, pod wpływem silnych przeżyć, trafił on do szpitala chory na serce. Wieść o tym dotarła do Olgi, więc gdy strażnicy zaproponowali, że może zostać do niego doprowadzona, zgodziła się, nie wiedząc w jakim jest stanie (a spodziewała się wówczas jego dziecka). Irina opowiada, że jej matkę wiedli „przez labirynt podziemnych korytarzy do kostnicy. […] Starała się domyślić, który zmarły to Borys, ale nie odważyła się żadnego odsłonić. W kostnicy było lodowato, a ponie-

eprasa.pl 87cb269c4d

waż nie stały tam krzesła, usiadła na cementowej podłodze. Zemdlała. Odzyskała przytomność w więziennym szpitalu, w którym lekarze poinformowali ją, że z nerwów poroniła".

Wkrótce potem została zesłana na pięć lat obozu w Potmie, w republice Mordowii, gdzie przez kilkanaście godzin dziennie rozbijała kilofem twardą jak skała ziemię i łopatą wrzucała ją do kontenerów. „Oldze, zupełnie nienawykłej do pracy fizycznej, ciężko było w ogóle podnieść pustą łopatę – a co dopiero pełną ziemi. Nie mogła nawet marzyć o wyrobieniu przydziału czy choćby jego połowy, więc jej racje żywnościowe były zredukowane do minimum – pisze Monika Zgustová. – Codziennie to samo – byle dotrwać do końca dnia, nawet jeśli się będzie wtedy spływać potem […]. Wszystkie kobiety nosiły szare tuniki, wyblakłe od ługu, ze swoim numerem na plecach. Były one szyte z brezentu – tkaniny nieprzepuszczającej powietrza […]. Olga nosiła buty w rozmiarze trzydzieści pięć, a przypadła jej para w rozmiarze czterdzieści cztery. Chodzenie także było torturą". Życie wśród więźniarek kryminalnych i ciężkie warunki obozowe pomagała jej przetrwać poezja. W myślach układała wiersze i uczyła się ich na pamięć, bo nie wolno było nic zapisywać. Przy życiu trzymało ją oczekiwanie na listy z domu, od matki, dzieci i od Pasternaka. Zdarzało się, że przez długi czas nie przekazywano jej korespondencji, choć ta przychodziła nieustannie. Którejś nocy niespodziewanie strażnicy zaprowadzili Olgę do komendanta obozu, który ku największemu zdziwieniu przerażonej więźniarki wręczył jej… zeszyt zapełniony wierszami wraz z długim, dwunastostronicowym listem od Borysa Pasternaka. Przesyłki nie wolno było zabrać do baraku, więc przez długie nocne godziny chłonęła każde słowo. Teraz już wiedziała, że przetrwa obóz.

▶ „Doktor Żywago", czyli jak pozostać wewnętrznie wolnym

Los Olgi miał się odmienić wraz ze śmiercią Stalina, po ogłoszeniu amnestii. Jako skazana „tylko" na pięć lat łagru mogła powrócić do rodzinnego domu w Moskwie. Odtąd jej więź z Borysem Pasternakiem była jeszcze silniejsza, wzmocniona niepomiernie latami rozłąki i łagrowych cierpień. Irina wspomina, że „spotykali się codziennie, razem pracowali nad przekładami azjatyckich poetów, które różne wydawnictwa zlecały Oldze, by nadała im poetycką formę". Pasternak cały czas tworzył „Doktora Żywago", a Olga przepisywała na maszynie jego wiersze, które stały się integralną częścią tej powieści jako utwory, które wyszły spod pióra jej głównego bohatera – Jurija Żywago.

Tak rodziła się powieść-rzeka o losach rosyjskiej inteligencji w burzliwej epoce dwu rewolucji (1905–1907, 1917), wojny domowej (1918–1920) oraz lat 20., w których władzę dzierżyli bolszewicy. Doktor Jurij Żywago – jak przybliża treść dzieła Andrzej Drawicz – „bierze jako lekarz udział w [I] wojnie światowej. Następnie wyjeżdża na Syberię, zostaje przymusowo zmobilizowany, traci żonę i dziecko, lecz przeżywa duchowy wzlot w efekcie spotkania z Larą, kobietą swego życia i przeznaczenia. Ostatecznie traci również ją, kończąc życie jako parias i outsider. Jednak w ujęciu Pasternaka egzystencja ta nasycona jest głębokim sensem […]. Nawet poddany łańcuchowi przymusów, pozostaje Żywago wewnętrznie wolny, znajdując spełnienie w wielkiej miłości i opartym na zasadach chrześcijańskich ładzie moralnym. […]. [Autor] każe mu szyderczo i sarkastycznie mówić o rewolucji i jej rzecznikach niosących gwałt w imię abstrakcyjnych schematów. […] Wywoływany z premedytacją chaos i bratobójcze przelewanie krwi budzi w doktorze protest".

Wreszcie gdy dzieło zostało ukończone, okazało się, że żadne wydawnictwo w Związku Radzieckim nie odważy się go opublikować. Tym samym skazywano „Doktora Żywago" na niebyt w ZSRS, i to w epoce chruszczowowskiej odwilży, która okazała się pozorna. Wyjście z patowej sytuacji pojawiło się nieoczekiwanie wraz z przyjazdem do Moskwy Sergio D'Angelo, który w imieniu włoskiego wydawcy Giangiacomo Feltrinellego złożył Pasternakowi propozycję wydania „Doktora Żywago" we Włoszech, a następnie sprzedaży praw do książki wydawcom z innych krajów, m.in. z Francji i Wielkiej Brytanii. Takiej oferty Pasternak nie mógł odrzucić. Wręczył D'Angelo manuskrypt dzieła, a ten ukrył go skrzętnie w walizce. Na pożegnanie pisarz rzucił tylko do Włocha: „Zapraszam pana na moją egzekucję".

▶ Nagroda Nobla i zemsta reżimu

Przemycona do Mediolanu powieść została wydrukowana w 1957 roku i w ciągu dwóch kolejnych lat wydana w 24 językach, czyniąc Pasternaka sławnym pisarzem, zalewanym korespondencją od wydawnictw z całego świata. Wtedy to z pomocą przyszła mu Olga, zostając jego sekretarką i agentką literacką. Władza radziecka z dezaprobatą patrzyła na wzrastającą popularność pisarza. Ale to, co wydarzyło się 23 października 1958 roku, było prawdziwym wstrząsem – Borys Pasternak został laureatem Literackiej Nagrody Nobla, którą przyznano mu za „istotny wkład we współczesną poezję liryczną i podjęcie wielkich tradycji literatury rosyjskiej". Równocześnie ze strony władzy radzieckiej rozpoczęła się ostra nagonka na autora, którego chciano zniszczyć jako człowieka i artystę. Na łamach pisma „Litieraturnaja Gazieta" ukazał się tekst pod tytułem „Prowokacyjny wypad międzynarodowej reakcji", w którym stwierdzono, że przyznana Pasternakowi nagroda „stanowi wrogi akt po-

eprasa.pl 87cb269c4d

lityczny wymierzony przeciwko państwu radzieckiemu", a powieść nazwano „utworem kontrrewolucyjnym i oszczerczym", „pełnym pogardy i nienawiści dla ludu i jego spraw". Usunięto go ze Związku Pisarzy, a moskiewscy literaci podczas zebrania zażądali jego deportacji poza granice ZSRS. Został nazwany „zdrajcą", „wrogiem", „podżegaczem wojennym", „agentem imperializmu".

Andrzej Drawicz pisze, że „zaskoczony i zmaltretowany psychicznie" Pasternak zrzekł się nagrody, po czym opublikował list otwarty, w którym „wyraził jednak skruchę i potwierdził oficjalną tezę o »politycznym akcie«, jaki miała stanowić decyzja noblowska". W rzeczywistości jednakże zdecydowała o tym chęć ochrony Olgi przed zemstą i karą ze strony państwa za wydanie „Doktora Żywago" za granicą, jak wyznał Monice Zgustovej w 2012 roku najstarszy syn pisarza Jewgienij. To samo powiedziała jej Irina Jemeljanowa. Nawet zrzekłszy się Nobla, Pasternak zmuszony był dalej żyć w atmosferze osaczenia i inwigilacji. Widać było jednak, jak bardzo się zmienia, chudnie w oczach, traci siły. Cierpiał na raka płuc, a jednocześnie zżerał go od środka niepokój o przyszłość Olgi i jej rodziny. Wiecznie śledzony, podsłuchiwany, złamany przez system, powoli umierał… Odszedł 30 maja 1960 roku. Jego pogrzeb stał się wielkim hołdem złożonym wybitnemu twórcy, z którym żegnały się setki czytelników, artystów i intelektualistów. Maria Judina zagrała zmarłemu Mozarta, a przy wyprowadzeniu trumny rozbrzmiał „Marsz żałobny" Chopina w wykonaniu Swiatosława Richtera. Jakiś nieznany nikomu młodzieniec odważył się przemówić i wziąć w obronę „Doktora Żywago" jako największe dzieło epoki porewolucyjnej. Olga „chciała ukryć ból i zamknąć go głęboko w sercu, ale na widok Borysa w trumnie obok otwartego grobu nie wytrzymała i wybuchnęła płaczem".

Los Lary stał się jej losem

Po śmierci Pasternaka nikt nie mógł już jej ochronić przed reakcją panującego reżimu. Wracała teraz pamięcią do ostatnich stronic „Doktora Żywago", myśląc o tym, jak zakończyły się koleje życia głównej bohaterki Lary, jej alter ego: „Pewnego dnia Larysa Fiodorowa wyszła z domu i więcej nie wróciła. Widocznie aresztowano ją na ulicy i umarła albo zginęła bez wieści, zapomniana pod jakimś bezimiennym numerem w zaginionym później rejestrze, w jednym z niezliczonych ogólnych lub kobiecych obozów Północy". Podświadomie czuła, że los Lary jest jej losem. W istocie KGB gotowało się, by dokonać zemsty. Najpierw tuż przed ślubem z Iriną zapadł na tajemniczą chorobę jej narzeczony Francuz Georges Nivat, który był studentem Uniwersytetu Lumumby dla obcokrajowców i pracował w Moskwie nad swoim doktoratem. Został zamknięty w szpitalu, dzień i noc pilnowały go straże. Wprawdzie udało mu się uciec…, ale ślub i tak się nie odbył. Odmówiono mu przedłużenia wizy. Dwa dni przed ceremonią funkcjonariusze KGB przyszli po Georgesa, pod przymusem wywieźli go na lotnisko i tam załadowali do ostatniego samolotu lecącego z Moskwy do Helsinek. Rozchorowała się także Irina. Wszystko wskazywało na to, że podobnie jak w przypadku Georgesa i wobec niej KGB użyło trucizny. Dziesięć dni po wydaleniu Nivata z ZSRS do wiejskiego domku Olgi w Pieriediełkinie wtargnęło KGB. Została aresztowana i zamknięta w więzieniu. Oskarżono ją o nieuprawnione korzystanie z waluty. Chodziło o otrzymane zgodnie z ostatnią wolą Pasternaka pieniądze, które pochodziły z tantiem uzyskanych ze sprzedaży powieści za granicą. Irina tłumaczy, że „w ciągu osiemnastu miesięcy poprzedzających śmierć Pasternaka KGB zaobserwowało, że różni obcokrajowcy przywozili pisarzowi pieniądze. Po sprzedaży praw do »Doktora Żywago« dziesiątkom wydawnictw na całym świecie Pasternak stał się bogatym człowiekiem. Upoważnił Feltrinellego do wypłaty stu tysięcy dolarów z tantiem D'Angelowi, żeby ten przywiózł mu je w rublach do Moskwy. […] Pieniądze z tantiem stały się dla Związku Radzieckiego pretekstem, by zrobić […] z matki i córki – kozła ofiarnego afery »Doktora Żywago«" – opowiada Irina.

Obydwie spotkały się na Łubiance i obydwie pozbawiono całego mienia. Ich proces odbył się w listopadzie 1960 roku. Olgę skazano na osiem lat więzienia i robót przymusowych, Irinę – na trzy lata. Po przeszło dwóch miesiącach załadowano je do pociągu. Była wówczas siarczysta zima. W tamtą styczniową noc temperatura spadła do minus 30 stopni. W zlodowaciałym wagonie trzęsły się z zimna „jak pozostałe więźniarki – złodziejki, lesbijki, włóczęgi i sześć mniszek". Jechały do Tajszetu, a więc na daleką Syberię, w okolice Irkucka. Po drodze wysadzono je w Jekaterynburgu. Mróz sięgał minus 35 stopni Celsjusza i dalsza wędrówka przez te zlodowaciałe pustkowia pod okiem brutalnych strażników była czymś nieludzkim. Olga na zawsze zapamiętała tę księżycową, „nieruchomą noc" i „granatowe cienie wysokich syberyjskich jodeł, które wydawały się zasadzone w ogrodzie". Fantastyczna nocna sceneria i dziewicza przyroda ziemi śniegów nie zdołały jednak zagłuszyć jej najczarniejszych myśli o wyniszczającym ciało i łamiącym ducha życiu w łagrach. Najpierw wraz z Iriną torowały zaśnieżone drogi w Tajszencie, po czym przeniesione zostały w miejsce doskonale znane Oldze z odbywanej w nim dekadę wcześniej katorgi. Był to ten sam co niegdyś obóz w Potmie przeznaczony dla „szczególnie ciężkich przypadków politycznych". Zrozpaczona próbowała popełnić samobójstwo, lecz została odratowana. Los więźniarki dzieliła z nią córka Irina, której reżim

eprasa.pl 87cb269c4d

odebrał narzeczonego. Paradoksalnie jednak to na archipelagu Gułag poznała człowieka, który w przyszłości został jej mężem. Był nim poeta i tłumacz poezji francuskiej Wadim Kozowoj. Pod cegłą w murze odgradzającym obóz kobiecy od męskiego pozostawiał dla niej wiersze zapisane na skrawkach papieru, a ona odwdzięczała mu się utworami Pasternaka. Wadim „potrafił rozświetlić poezją jej obozowe dni".

„Doktor Żywago" na wolności

Olga Iwińska, Irina Jemeljanowa, Wadim Kozowoj – skazańcy, którzy umiłowali literaturę, w jakiej objawiała się wolność, godność i indywidualność jednostki, i którzy byli duchowymi spadkobiercami „Doktora Żywago" – doczekali wolności. Marząca o Paryżu Irina postanowiła wraz z mężem osiąść w stolicy Francji, dokąd wrócił jej były narzeczony Georges Nivat. Przeżywszy zamążpójście swej ukochanej, ostatecznie pogodził się z jej decyzją, a nawet zaprzyjaźnił z Wadimem. Ten zaś wciąż tworzył poezję, a jego wiersze tłumaczył na francuski Michel Deguy. Kozowoj natomiast przekładał na rosyjski wielkich współczesnych poetów francuskich. Zmarł, mając 61 lat, podczas pracy nad tłumaczeniem poezji, która była sensem jego istnienia. Olga natomiast pozostała w Moskwie i spisała swoje wspomnienia o życiu z Pasternakiem. Jej książka, nosząca tytuł „Zakładnik wieczności" (1978), została przetłumaczona na kilka języków.

„Doktor Żywago" natomiast żył własnym życiem. Zaraz po swoim pierwszym wydaniu we Włoszech (1957) powieść święciła tryumfy na Zachodzie, tłumaczona m.in. na angielski, francuski, niemiecki i niderlandzki. Przez długie lata była utworem zakazanym w Rosji Radzieckiej i nie mogła zaistnieć w oficjalnym obiegu. Stała się jednak tym dziełem, które odegrało kluczową rolę w ukształtowaniu się samizdatu. Zakazane książki przekazywano sobie w Rosji radzieckiej z rąk do rąk, a każdy kolejny czytelnik potajemnie przepisywał otrzymany egzemplarz na maszynie bądź odręcznie w kilku egzemplarzach i przekazywał innym, którzy czynili to samo. Zdarzało się też, że teksty fotografowano bądź tworzono ich magnetofonowe kopie. Dzieła uznawane przez władzę radziecką za nieprawomyślne i buntownicze w swej wymowie przekazywano też na Zachód, gdzie były dość szybko drukowane i przesyłane tajnymi kanałami z powrotem do ZSRS. Tak rozwinął się tamizdat polegający na rozpowszechnianiu w kraju utworów rosyjskich drukowanych za granicą. Z przemyconych do Rosji egzemplarzy tworzono kolejne fotokopie i rozprowadzano je dalej, tak iż niebawem liczba nielegalnych druków osiągnęła potężne rozmiary. Twórczość samizdatowa, jak charakteryzuje jej fenomen Krystyna Pietrzycka-Bohosiewicz – rozwinęła się w niezwykłej mnogości form, odmian gatunkowych, wreszcie rodzajów literackich. Potok ciągle narastał: jeśli w 1964 roku krążyło zaledwie kilkadziesiąt tytułów, to już w 1974 roku kilkanaście tysięcy. W nielegalnym obiegu znalazły się dzieła socjologiczne, filozoficzne, historyczne, publicystyka, eseistyka, rozmaite czasopisma i oczywiście literatura piękna, w tym wybitne dzieła mistrzów literatury światowej – George'a Orwella, Jean-Paula Sartre'a, Franza Kafki czy Jamesa Joyce'a. Przekazywano sobie zakazane wiersze dawnych mistrzów poezji – Puszkina i Lermontowa, obrazoburczą komedię „Mądremu bieda" Aleksandra Gribojedowa, utwory rosyjskich pisarzy niepokornych, zarówno tych tworzących w kraju, jak i na emigracji. Były wśród nich wiersze i „mała proza" Mariny Cwietajewej, noblowska powieść „Życie Arsieniewa" Iwana Bunina, utwory liryczne bądź prozatorskie Anny Achmatowej, Borysa Pasternaka, Osipa Mandelsztama, Michaiła Zoszczenki, Nikołaja Gumilowa, Izaaka Babla, Borysa Pilniaka, Siergieja Jesienina. Wielką popularnością cieszyli się wybitni twórcy, których władza radziecka chciała całkowicie wymazać z ludzkiej pamięci: Andriej Płatonow i Michaił Bułhakow. „»Rękopisy nie płoną« – powie Woland w powieści »Mistrz i Małgorzata«. W sowieckiej rzeczywistości tak stało się istotnie – zauważa wymieniona badaczka – pisarze dawno już umarli, niektóre ich utwory »aresztowano« bądź zniszczono, wyrosło nowe pokolenie czytelników, którzy, wydawać by się mogło, nie powinni byli o owych twórcach nawet słyszeć. Tymczasem na rosyjskiej ziemi jałowej dokonywał się stale cud zmartwychwstania: w samizdacie masowo zaczęły krążyć kopie skonfiskowanych »aresztowanych« utworów czy niewydanych dotąd rękopisów. Czytano je zachłannie". Czyniono tak tym bardziej, że samizdatowi twórcy podejmowali tematy fundamentalne – etyczne i filozoficzne, pytali o „prawdę i kłamstwo, dobro i zło, wolność i zniewolenie, o najwyższą instancję moralną i wreszcie o to, co dla rzeczywistości rosyjskiej było najważniejsze – […] o winę i odpowiedzialność każdego indywidualnego mieszkańca ziemi rosyjskiej za rozpasane zło i miliony ofiar".

Wolna literatura odnosiła moralny tryumf nad reżimem, który przez dziesiątki lat dążył do jej unicestwienia. W 1988 roku, na fali drugiej odwilży gorbaczowowskiej, która przyniosła rozszerzenie swobód obywatelskich i ograniczenie zakazów cenzury w Rosji, Borys Pasternak odniósł swoje pośmiertne zwycięstwo jako pisarz. Oto w kolejnych czterech numerach czasopisma „Nowy Mir" jego „Doktor Żywago" ukazał się po raz pierwszy w oficjalnym obiegu wydawniczym. ■

Źródła: K. Pietrzycka-Bohosiewicz, „Historia zapisana w człowieku… Wybrane problemy wolnej literatury rosyjskiej", Kraków 2008; M. Zgustová, „Dziewczyny z łagrów. Prawdziwe historie", Kraków 2024.

eprasa.pl 87cb269c4d



Dariusz Jarosiński

Upiory znad Jeziora Kortowskiego

Historia Kortowa jest przykładem tego, do czego prowadzi antychrześcijańska, totalitarna ideologia. Do czego prowadzi nienawiść, żądza zemsty. Człowiek bez Boga, wartości staje się zwierzęciem, bezdusznym potworem.



eprasa.pl 87cb269c4d





FOT. ARCH.

Olsztyńskie miasteczko studenckie Kortowo jest bez wątpienia najbardziej atrakcyjnym tego typu obiektem w Polsce. Kampus zajmuje 230 hektarów terenu, leży za miastem wśród zieleni drzew i łąk nad dwoma jeziorami – Kortowskim i Starodworskim. W miasteczku studenci mają wszystko, co niezbędne jest do nauki, rozwijania sportowych pasji oraz wypoczynku. Najstarsza część kampusu akademickiego pamięta koniec XIX wieku. W 2011 roku Kortowo otrzymało nagrodę miesięcznika „National Geographic Traveler" w plebiscycie „7 nowych cudów Polski".

Niewiele o tym się mówi, ale Kortowo skrywa mroczną historię. Kampus akademicki powstał po wojnie na ludzkich szczątkach, na kościach zamordowanych ludzi – pacjentów i personelu szpitala psychiatrycznego, który istniał tutaj w latach 1886–1945.

Do czego prowadzi nienawiść

Szpital, w którym w 1936 roku przebywało 1400 pacjentów, należał do najnowocześniejszych w Niemczech. Po 1933 roku pacjenci stali się ofiarami sterylizacji, a później, po 1940 roku, eutanazji. Byli mordowani, bo nie nadawali się do wyhodowania doskonałego, według niemieckich kryteriów, gatunku ludzkiego, a przecież Niemcy uważali się za rasę panów stworzonych do rządzenia światem. Choć koncepcja ta, realizująca postulaty eugeniki, nie była niczym nowym, jednak w III Rzeszy posunięto ją do obłąkańczego ekstremum, dopuszczając możliwość fizycznej eliminacji osobników uważanych za niepełnowartościowych. Nie odwoływano się przy tym wyłącznie do ideologii rasowej; niebagatelne znaczenie miały również bezwzględnie pojmowane względy ekonomiczne. Pasożyty, jak ich określano, korzystały bowiem z funduszy państwowych, ponadto zajmowały łóżka szpitalne oraz absorbowały personel, którego zaangażowanie można było wykorzystać choćby w leczeniu rannych żołnierzy Wehrmachtu.

W styczniu 1945 roku, w czasie „wyzwalania" Olsztyna, notabene niebronionego przez Niemców, Sowieci urządzili sobie w Kortowie polowanie na bezbronnych chorych psychicznie ludzi i rannych żołnierzy Wehrmachtu, którzy przebywali tutaj w urządzonym lazarecie. Stało się tak bez racjonalnego powodu. Palili żywcem bezbronnych ludzi w budynkach szpitalnych, niektórzy z pacjentów ratowali się, wyskakując przez okna. Urządzali sobie zabawy za uciekającymi pacjentami i razili ich miotaczami ognia. Tu i ówdzie rozlegał się krzyk i płacz gwałconych kobiet. Nad Jeziorem Kortowskim przeszła orgia śmierci i niszczenia.

Podczas styczniowej ofensywy 1945 roku w Prusach Wschodnich wojskom 2. Frontu Białoruskiego towarzy-

cb269c4d

szył czołowy korespondent „Czerwonej Gwiazdy" Ilia Erenburg (właściwie Eliasz Hirszewicz). Ten znany sowiecki pisarz w czasie wojny był działaczem Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego oraz czołowym propagandystą stalinowskiego reżimu, otwarcie nawołującym do bezprzykładnej zemsty, mającej ogarnąć cały bez wyjątku niemiecki naród. Erenburg był autorem sztandarowego wezwania wobec czerwonoarmistów, hasła, które pojawiło się już na początku wojny niemiecko-sowieckiej: „Zabij Niemca!". Erenburg apelował do sowieckich żołnierzy słowami jawnej nienawiści: „Jeśli zabiłeś jednego Niemca, zabij drugiego – nie ma dla nas nic weselszego od niemieckich trupów. Nie licz dni. Nie licz kilometrów. Licz jedno – zabitych przez ciebie Niemców. Zabij Niemca! – prosi stara matka. Zabij Niemca! – prosi cię dziecko. Zabij Niemca! – krzyczy Ojczyzna. Nie odpuszczaj. Nie przegap. Zabij!".

Niemiecki dom wariatów

Kortowo na początku XX wieku nazywane było przez mieszkańców Olsztyna Totenkopf, czyli Trupia Czaszka. Z jakich powodów temu miejscu nadano tak budzącą lęk nazwę – trudno powiedzieć. Może miała związek ze znalezionymi tutaj w latach 1898–1899 szczątkami Prusów z XIII wieku? Zdaniem ówczesnych archeologów zostali oni zamordowani przez Krzyżaków.

W 1882 roku Parlament Krajowy Prus Wschodnich w Królewcu zatwierdził plan budowy na peryferiach Olsztyna w ówczesnym Kortau, dzisiejszym Kortowie, Zakładu dla Obłąkanych, który nieco później uzyskał nazwę Prowincjonalny Zakład Leczniczo-Opiekuńczy dla Psychicznie Chorych. W czerwcu 1886 roku został otwarty. Okazale prezentowały się solidne, z czerwonej, pruskiej cegły obiekty mieszkalne dla chorych, dla obsługi administracyjno-medycznej, budynki gospodarcze. Nie zabrakło kaplicy obsługiwanej na przemian przez księdza katolickiego i pastora ewangelickiego. Dużo miejsca zajmowały ogrody warzywne i park. Początkowo szpital zaplanowano dla 600 pacjentów. Powierzchnia całego kompleksu wynosiła 253 hektary, z czego 98 hektarów stanowiły grunty orne, a 31 hektarów użytki zielone. Z ogólnej liczby w 1912 roku 56 budynków 24 były przeznaczone na zakwaterowanie chorych. W 1912 roku w szpitalu przebywało łącznie 937 chorych, 417 mężczyznami opiekowało się 75 pielęgniarek, a 90 pielęgniarek sprawowało opiekę nad 520 kobietami. W 1936 roku szpital posiadał 1400 łóżek. Z czasem otoczono go wysokim murem, a w oknach wstawiono kraty. Zakład bardziej przypominał koszary lub więzienie niż placówkę medyczną.

W lipcu 1933 roku, a więc wkrótce po objęciu władzy przez Adolfa Hitlera i NSDAP (Narodowosocjalistyczną Partię Robotników), uchwalono ustawę o przymusowej sterylizacji osób, u których stwierdzono chorobę dziedziczną mogącą spowodować u ich potomstwa wady psychiczne lub fizyczne. Kryteria, według których kwalifikowano ludzi do zabiegów, były niejasne, częste były przypadki poddawania sterylizacji osoby cierpiące na depresję czy nadużywające alkohol. Kortowski szpital w zakresie wykonania ustawy o sterylizacji podlegał prowincjonalnemu Urzędowi Zdrowia w Królewcu. Przeprowadzanie operacji sterylizacji stało się okazją do wykonywania różnorakich eksperymentów na chorych, które bardzo często kończyły się ich zgonem.

Śmierć z łaski, czyli Akcja T-4

W niedługim czasie niemieckie władze uznały sterylizację za niewystarczającą – w 1936 roku pojawiły się pierwsze projekty ustaw o eutanazji. Z datą 1 września 1939 roku ukazał się tajny dokument podpisany przez Hitlera nazywany „dekretem o eutanazji", dający uprawnienia lekarzom, „by mogli chorym, których stan jest krytyczny i których według oceny należy uznać za nieuleczalnych, zadawać śmierć z łaski". Dokument ten stanowił podstawę programu likwidacji psychicznie chorych, niepełnosprawnych, właściwie każdego, kto w opinii władz niemieckich był nieprzydatny społeczeństwu. Dokument określany był kryptonimem „T-4". Centrum dyspozycyjne, organizacyjne tajnego programu znajdowało się w specjalnej komórce Kancelarii Führera w Berlinie przy Tiergartenstrasse 4 (stąd szyfr akcji „T-4"). Teoretycznie lekarz miał prawo odmówić uczestnictwa w akcji T-4, ponieważ dokument nie miał mocy prawnej ustawy, ale to by oznaczało kłopoty w karierze lekarskiej. Jednak zdarzały się przypadki odmowy. Nie wszyscy chcieli mordować chorych.

Na masową skalę eutanazji nie dokonywano na miejscu w Kortowie, a wywożono pacjentów do specjalnie przygotowanych do tego tajnych obozów, ośrodków, aby ukryć zbrodnię przed opinią publiczną. Takim obozem był na przykład obiekt powstały na terenie byłych koszar w lutym 1940 roku w Działdowie. Między 21 maja a 8 czerwca 1940 roku zamordowano w samochodzie-komorze gazowej 1558 chorych psychicznie pacjentów z różnych szpitali z Prus Wschodnich i 300 umysłowo chorych deportowanych z Polski. Mordu dokonało Sonderkommando Lange. 301 pacjentów pochodziło z Kortowa. Byli to chorzy, którzy przebywali w szpitalu ponad pięć lat i według orzeczeń nie kwalifikowali się do wyleczenia. Chorych spędzano po 40 do samochodu, który stanowił komorę gazową. Po „akcji" odbyła się w obozowym kasynie uroczystość pożegnalna i wieczorek koleżeński. Członkowie zbrodniczego sonderkommanda otrzymali „premię od głowy" – 10 reichsmarek za każdego zamordowanego chorego oraz w dowód uznania

eprasa.pl 87cb269c4d

za swój czyn bursztynowe szkatułki z dedykacją gauleitera Prus Wschodnich i dodatkowy urlop w okupowanej Holandii.

W 1940 roku z kortowskiego zakładu wywieziono w celu uśmiercenia około tysiąca pacjentów do ośrodków w Saksonii – w pobliżu Lipska i Drezna. 8 czerwca 1940 roku w Kortowie przyjęto pacjentów z likwidowanego szpitala w Łynoborku (Allenburgu) oraz przygotowano łóżka w lazarecie dla rannych żołnierzy z frontu. Nad Jezioro Kortowskie przywożono pacjentów z innych szpitali z Prus Wschodnich i po jakimś czasie wywożono ich do ośrodków zagłady w południowych i centralnych Niemczech, m.in. do Pirna-Sonnenstein niedaleko Drezna. W lipcu 1941 roku przetransportowano z Kortowa 474 pacjentów, w sierpniu 1941 roku 196 chorych, a w 1942 roku 348 chorych.

Na miejscu w kortowskim szpitalu przeprowadzano tzw. dziką eutanazję. Lekarze aplikowali pacjentom trujące dawki środków farmakologicznych, m.in. barbiturany. Odpowiednio dozowane specyfiki powodowały stopniowe wyniszczenie organizmu i w konsekwencji pozornie naturalną śmierć, na przykład z powodu różnorakich infekcji, które dewastowały wycieńczone truciznami organizmy.

Ludzie umysłowo chorzy, którzy przebywali w Kortowie, nigdy już nie wracali do bliskich, zakład przesyłał zawiadomienia o ich śmierci z powodu na przykład zapalenia płuc czy gruźlicy. Takich przypadków było coraz więcej i pojawiło się podejrzenie, że w szpitalu dzieje się coś niedobrego. Rodziny nie mogły doprosić się od administracji placówki informacji, do jakiego ośrodka ich bliscy zostali wywiezieni. W końcu akcja T-4 stała się w Niemczech tajemnicą poliszynela, chociaż nigdy nie zostały poznane jej szczegóły. Rodziny zmarłych zaczęły interweniować u władz lokalnych, a te kierować monity wyżej. Protestowali duchowni Kościoła katolickiego i ewangelickiego. Rozkazem z dnia 24 sierpnia 1941 roku Hitler polecił zakończenie wywożenia chorych do ośrodków zagłady. Nakazał jednocześnie kontynuowanie eutanazji w szpitalach w odniesieniu do przypadków ciężkich, przewlekłych i beznadziejnych. Eutanazja realizowana była do końca wojny – zbrodnicze praktyki nie rzucały się w oczy, były trudne do wykrycia i udowodnienia.

Akcja T-4 była pierwszym zorganizowanym ludobójstwem dokonanym przez niemieckie państwo. Stała się poligonem doświadczalnym nowych metod zabijania, które szeroko wykorzystano w późniejszym czasie.

Ścisła liczba ofiar całej akcji T-4, trwającej podczas II wojny światowej nie jest dokładnie znana. Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze określił ją na 275 tys. osób dorosłych i dzieci. W latach 1940–1942 zamordowano około 4 tys. pacjentów szpitali psychiatrycznych Prus Wschodnich, w tym 3 tys. z Kortowa.

Krew na śniegu

Niemiecka administracja miasta do ostatniej chwili zwlekała z rozkazem ewakuacji mieszkańców Olsztyna. W porę zostały ewakuowane jedynie rodziny notabli NSDAP. W nocy z 21 na 22 stycznia 1945 roku 24. pułk kawalerii Armii Czerwonej opanował Kortowo. Wojsko miało przyzwolenie na odwet. W chwili wkraczania Rosjan przebywało w Kortowie około 600 osób – byli to nienadający się do ewakuacji pensjonariusze szpitala psychiatrycznego, pacjenci lazaretu wojskowego oraz objęci zakazem ewakuacji lekarze, pielęgniarki, sanitariuszki, pielęgniarze, pracownicy obsługi, a także uchodźcy, którzy szukali schronienia przed nadciągającym frontem – głównie kobiety z dziećmi.

Na dwa dni przed wejściem Sowietów do Kortowa, 19 stycznia, 500-osobową kolumnę pacjentów zakładu psychiatrycznego popędzono ulicami Olsztyna na dworzec kolejowy. Widok tych ludzi był przerażający. Mimo siarczystego mrozu wiele osób szło tylko w samej piżamie, ewentualnie szlafroku lub narzuconym na plecy kocu. A mieli do pokonania kilkanaście kilometrów. Chorych załadowano do wagonów i wywieziono w niewiadomym kierunku. Ich los pozostał nieznany. Może gdzieś po drodze zostali wszyscy rozstrzelani, a może nie trzeba już było rozstrzeliwać, bo zamarzli na śmierć.

O tym, jak wyglądała pacyfikacja przez Rosjan Kortowa, możemy dowiedzieć się z relacji kilku osób uratowanych lub przypadkowych świadków bolszewickiego bestialstwa. Trudno nawet sobie wyobrazić, do czego są zdolni ludzie z nienawiści i zemsty. A może nie ludzie, tylko bestie. Jedne bestie, niemieckie, mordowały chorych ludzi w sposób hurtowy, w tajemnicy przed ich bliskimi, bestie rosyjskie dokończyły robotę niemiecką – szlachtując ludzi niczym zwierzęta w rzeźni.

Do ocalałych świadków masakry dotarł Stanisław Piechocki, autor książki „Olsztyn. Styczeń 1945. Portret Miasta": „Zgodnie z relacją dziewiętnastoletniej wówczas olsztynianki, która w kilkudziesięcioosobowej grupie cywilnych uciekinierów po północy 21/22 stycznia 1945 r. opuszczała miasto dzisiejszą aleją Warszawską, wówczas płonął już duży, trzyskrzydłowy blok szpitala położony najbliżej drogi wylotowej z miasta […]. Osobiście widziała ona wtedy sceny, które wręcz ją sparaliżowały i na zawsze wryły się w pamięć. Pośród odgłosów wystrzałów i przeraźliwego krzyku dostrzegła ona ludzi wyskakujących z okien objętego ogniem budynku. Ludzie ci, szukając ratunku przed płomieniami, gromadzili się na parapetach okien, a kiedy płomienie zaczęły ich dosięgać, skakali na zewnątrz, spadając z dużej wysokości na ziemię. Ponosili śmierć na miejscu lub byli dobijani przez czerwonoarmistów strzałami z broni ręcznej. Pojedynczym osobom, które udawały martwe albo zdołały zagrzebać się w śniegu lub ukryć pod różnymi przed-

eprasa.pl 87cb269c4d

miotami lub trupami, los pozwolił ujść z życiem i nad ranem wydostać się poza Kortowo".

Dostępna jest relacja pielęgniarki szpitala psychiatrycznego, której udało się zbiec: „Rosjanie podpalali szpitalne pawilony przy użyciu miotaczy płomieni, paląc wielu pacjentów żywcem. W niepodpalonych obiektach obłożnie chorych zabijali na łóżkach, zaś tych, którzy próbowali uciekać, mordowali tam, gdzie ich dopadli. […] Uciekających ścigali po okolicy i uśmiercali strzałami z broni ręcznej oraz oblewając płonącymi substancjami z miotaczy ognia. Niektórych z nich dopadali już na tafli pobliskiego zamarzniętego jeziora […]". „Wielu chorych jeszcze przez kilka dni było ściganych po okolicy. Dopadniętych zabijano najczęściej na miejscu. Ich zwłoki licznie zaścielały okoliczne pola, łąki i lasy. Rosjanie dążyli do tego, by likwidując wszystkich świadków pogromu skutecznie zatrzeć ślady zbrodni".

Spośród relacji zebranych przez Stanisława Piechockiego najważniejszą jest ta niejakiego Josepha, który był palaczem w kotłowni szpitala psychiatrycznego, a później w powstałej w 1950 roku Wyższej Szkole Rolniczej. Długi czas na ten temat milczał. Dopiero tuż przed wyjazdem z Olsztyna do Niemiec opowiedział swoim kolegom z pracy, również jak i on autochtonom, co przeżył w styczniu 1945 roku. Wskazał też miejsce, gdzie znajdowała się duża mogiła zbiorowa.

W jakiś czas po zakończonej masakrze doszło do mrożącego krew w żyłach odkrycia na strychu willi przy al. Warszawskiej 107. Znaleziono tam powieszonych na sznurach do suszenia bielizny kilkanaście ludzkich ciał. Widok był przerażający. Willę, znajdującą się nieopodal szpitala psychiatrycznego, zamieszkiwali lekarze wraz z rodzinami. Lekarze i asystenci szukali schronienia przed Rosjanami na strychu, jednak zostali dostrzeżeni i powieszeni. Belki stropowe posłużyły za szubienice. Zostali odcięci ze sznurów i pochowani w zbiorowej mogile w przydomowym ogrodzie. Ich szczątki odkryto w 1963 roku podczas budowy w tym miejscu Zakładu Higieny Weterynaryjnej. Do dzisiaj willa w Olsztynie przy al. Warszawskiej 107 nazywana jest „domem wisielców".

Odkrywanie grobów

Spalone i zniszczone Kortowo w styczniu 1945 roku przedstawiało przygnębiający obraz. W ocalałych budynkach Sowieci urządzili obóz przejściowy dla ludności niemieckiej, skąd wywożono ludzi na wschód, do Związku Sowieckiego. Później zorganizowano tu na krótko szkołę pielęgniarską. W 1950 roku powstała na terenie byłego szpitala psychiatrycznego Wyższa Szkoła Rolnicza w Olsztynie z zamkniętych Wyższych Szkół Gospodarstwa Wiejskiego w Łodzi i w Cieszynie. Po wykładach studenci odbudowywali Kortowo. W ciągu sześciu lat wybudowano domy studenckie, zlikwidowano cmentarz wielowyznaniowy, zbudowano nowe budynki, postawiono gmach stołówki łączący dwa byłe pawilony i wprowadzono wiele zmian. Powstawały nowe wydziały i budynki. 4 października 1972 roku WSR awansowana została do rangi akademii i przemianowana na Akademię Rolniczo-Techniczną w Olsztynie (ART). W 1999 roku powstał w Olsztynie Uniwersytet Warmińsko-Mazurski z połączenia ART, Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Warmińskiego Instytutu Teologicznego.

W czasie odbudowy kompleksu szpitalnego, w 1949 roku, odkryto pierwszy grób zbiorowy. Znajdowało się tam ponad 80 zwłok mężczyzn – pacjentów lazaretu – i dwóch kobiet – pielęgniarek. Zostali oni zaszlachtowani przy użyciu broni białej. W pierwszej połowie lat 50. odkryto kolejne trzy mogiły w miejscu, gdzie wykonywano prace budowlane. W każdej z nich było po kilkadziesiąt zwłok mężczyzn i kobiet z ranami postrzałowymi z wlotem od strony potylicy. Nadzorujący ekshumację przedstawiciele administracji państwowej twierdzili, że odnalezione ciała są ofiarami niemieckich zbrodniczych praktyk eutanazyjnych. Była to oczywista nieprawda i propaganda. Natrafiono też na grób kilkunastu ciał jeńców wojennych, wykorzystanych przez Rosjan do zbierania i grzebania ofiar kortowskiego pogromu i rozstrzelanych po wykonaniu pracy. Miejsce największej dotychczas mogiły wskazał wspomniany palacz Joseph. W czerwcu 1955 roku wydobyto z dołu 227 ciał mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszystkie zwłoki nosiły ślady ran postrzałowych, znajdowano m.in. resztki odzieży szpitalnej, odzież pielęgniarek, końcówki lekarskich słuchawek. Protokół ekshumacji został zniszczony po 1956 roku. W objętych ekshumacjami kortowskich grobach odnaleziono do tej pory około 500 zwłok. Do dziś nie wiadomo, jakie jeszcze tajemnice skrywa ziemia Kortowa. Powszechnie panuje opinia, iż nie wydobyto do tej pory wszystkich zwłok.

Historia Kortowa przez wiele lat była zafałszowana. Komunistyczna propaganda przypisała odkryte przy odbudowie Kortowa masowe groby działaniom niemieckim. Autochtoni, którzy pamiętali jeszcze styczniową noc 1945 roku, dobrze wiedzieli, że to nieprawda. Czasy jednak były takie, że rozsądniej było tę wiedzę zatrzymać dla siebie. Nieliczni świadkowie tamtych dni wyjechali na Zachód, zabierając ze sobą tajemnicę. Niektórzy, tak jak palacz Joseph, przed wyjazdem przekazali ją innym.

Przywrócenie pamięci historii Kortowa zawdzięczamy zmarłemu w 2005 roku olsztyńskiemu prawnikowi, pisarzowi Stanisławowi Piechockiemu. Wydana przez niego w 1993 roku książka „Czyściec zwany Kortau" stanowi nie tylko pionierskie, lecz także dotychczas najważniejsze źródło wiedzy o przeszłości Kortowa.

Do pierwszego i jak dotąd jedynego upamiętnienia fizycznego zbrodni niemieckich i rosyjskich w Kortowie doszło 3 października 1997 roku z inicjatywy księdza Mi-

eprasa.pl 87cb269c4d

rosława Huleckiego oraz kortowskiej „Solidarności". W pobliżu Instytutu Rybactwa Śródlądowego zostało utworzone niewielkie lapidarium z nagrobków zlikwidowanego cmentarza wielowyznaniowego pacjentów szpitala psychiatrycznego.

Na marginesie dodam, że w niedługim czasie po wojnie powstał w Olsztynie pomnik Wdzięczności Armii Czerwonej. Autorem jego projektu był Xawery Dunikowski. Dwa pylony pomnika w zamyśle twórcy miały symbolizować niedomknięty łuk triumfalny. W jednym z nich wykuto postać sowieckiego żołnierza. Mimo prób przeniesienia pomnika w inne miejsce, nazywanego przez olsztynian „szubienicami", nadal stoi. Broni go zaciekle niczym własnej tożsamości środowisko polityczne Platformy Obywatelskiej, Lewicy, do obrony włączyła się też aktywnie obecna minister kultury Hanna Wróblewska pochodząca z Olsztyna.

Hunwejbini w Kortowie

Nową historię Kortowa pisze od kilku lat Platforma Obywatelska, która organizuje tutaj latem „Campus Polska Przyszłości", polityczną imprezę skierowaną przede wszystkim do swoich młodych działaczy. Na oficjalnych stronach organizatorów, wspieranych przez polskich podatników oraz niemieckie instytucje, możemy przeczytać: „Takich osób jak Ty jest więcej! Spotkajmy się w Olsztynie, by w przyjaznej, swobodnej i otwartej atmosferze porozmawiać o szansach i zagrożeniach, które stoją przed Polską. Wymieńmy się spostrzeżeniami o gospodarce, pomyślmy, jak dbać o środowisko, podyskutujmy, jak przywrócić Polskę na drogę demokracji i praworządności […]".

W istocie wstęp na „Campus" jest ograniczony. Politycy, celebryci, prelegenci inspirują młodych działaczy do wojny kulturowej, do walki z Kościołem katolickim, rodziną, tradycją, tożsamością narodową, polską kulturą. Tutaj przechodzi pranie mózgów forpoczta bolszewickiej, tęczowej rewolucji, powiększa się grono wyznawców religii klimatycznej, ideologii gender. Sączona jest nienawiść do ludzi o odmiennych poglądach politycznych.

W ubiegłym roku w czasie jednego z paneli, sponsorowanego przez niemiecką Fundację Konrada Adenauera, przekonywano młodych ludzi o dobrodziejstwie, jakim będzie federalizacja Unii Europejskiej, a tak naprawdę superpaństwo unijne ze stolicą w Berlinie. A Polska? Polska jest nieważna. Nieważna jest nasza suwerenność, niepodległość. Barwami narodowymi można jedynie pomachać przed wyborami. A i one już niedługo może nie będą potrzebne.

W tym roku w imprezie w Kortowie uczestniczyło 1300 osób. O rozwoju gospodarczym Polski nie rozmawiano, bo i po co. Odwołano wcześniej zapowiadaną dyskusję o Centralnym Porcie Komunikacyjnym. Z prowadzonych rozmów, zachowania młodych ludzi można wywnioskować, że jedną z najważniejszych dla nich spraw, a może najważniejszą, jest nieograniczony dostęp do aborcji, czyli zabijania dziecka w łonie matki. Przekonał się o tym chociażby Władysław Kosiniak-Kamysz, który został wybuczany na „Campusie".

Do mediów społecznościowych wyciekło nagranie niezwykłego występu. Na filmie, który wstrząsnął normalnymi ludźmi, widać, jak nienaturalnie pobudzona młodzież podskakuje i śpiewa wraz z dwoma ministrami ośmiogwiazdkowego rządu: „J*ć PiS!". Jak widać młodzież przejęła od dorosłych polityków PO ich sztandarowe hasło: „J*ć PiS". Nagranie, które zostało przypadkowo ujawnione, pokazuje prawdziwe oblicze tego wydarzenia. Przekaz, jaki płynie z „Campusu", jest jednoznaczny: opozycja ma być unicestwiona, ma przestać istnieć. Zatrważająca jest skala nienawiści, chamstwa i agresji szerząca się wśród młodych imprezowiczów. Przykład, jak wiadomo, idzie z góry. Patologia staje się codziennością, normą. Niemal w każdym społeczeństwie istnieje tzw. margines społeczny, który używa wulgarnego języka, który nie stosuje się do przyjętych norm społecznych, ale dzisiaj sam premier RP akceptuje ten margines, a nawet nobilituje. W niedalekiej przyszłości ci młodzi ludzie z „Campusu" mają stanowić elitę.

Warto też przypomnieć, że tegoroczny „Campus Polska Przyszłości" odbywał się pod hasłem „walki z hejtem i mową nienawiści". Na naszych oczach, m.in. za sprawą organizatorów „Campusu", demokracja liberalna przerodziła się w „demokrację walczącą", w rewolucję przeciw cywilizacji chrześcijańskiej.

***

„Campus Polska" jest wydarzeniem masowym, odbywa się na terenie Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Czy na terenie uczelni nie obowiązują żadne zasady? Co na to rektor prof. Jerzy Przyborowski, Senat, samorząd studencki?

Trudno uwierzyć w to, że organizatorzy „Campus Polska Przyszłości" nie znają przywołanej przeze mnie historii Kortowa. Dlaczego zatem w miejscu tych potwornych zbrodni niemieckich i sowieckich urządza się seanse nienawiści, budzi uśpione nad Jeziorem Kortowskim upiory i demony? ■

Bibliografia
Stanisław Piechocki, „Czyściec zwany Kortau. Nieznana historia", Olsztyn 1993; Stanisław Piechocki, „Olsztyn styczeń 1945. Portret miasta", Olsztyn 2000; Sascha Topp, Petra Fuchs, Gerrit Hohendorf, Paul Richter und Maike Rotzoll, „Die Provinz Ostpreußen und die nationalsozialistische »Euthanasie«: SS-»Aktion Lange« und »Aktion T4«".

eprasa.pl 87cb269c4d



Tomasz Łysiak

Kazimierz Sosnkowski – Szef, ojciec niepodległości, generał chwały i goryczy



Zmarł na obczyźnie, na emigracji – 11 października 1969 roku. Pięćdziesiąt pięć lat temu. Odszedł po sześciu dekadach nieprzerwanej, pełnej poświęcenia służby dla Polski.

FOT. NAC

Uczestniczył aktywnie i twórczo w podnoszeniu ojczyzny z gruzów po ponadstuletniej niewoli, organizował Związek Walki Czynnej, a wraz z Józefem Piłsudskim Związek Strzelecki i I Brygadę, bił się i dowodził zarówno w czasie walk o niepodległość, jak i w wojnie polsko-bolszewickiej, zaś w dobie II wojny światowej został naczelnym wodzem, „pijąc" zarówno z kielicha chwały, jak i z kielicha goryczy. Być może należałoby go dodać do listy naszych ojców niepodległości – tak wielkie były dla losów Polski zasługi generała Kazimierza Sosnkowskiego.

Na czym wyrósł i dojrzał Sosnkowski? W jakiejś mierze na tym, co po śmierci ojca (który zmarł, gdy Kazimierz miał 10 lat) wpłynęło na duszę chłopaka, mogła być rodzinna historia stryjecznego dziadka Ignacego, który zapisał chwalebną kartę w czasie wojen napoleońskich, był odznaczony Virtuti Militari i dosłużył się stopnia pułkownika. W każdym razie duch patriotyczny zaszczepiony był w młodym Sosnkowskim już w domu.

Komendant i Szef

A potem wszystko zaczęło się w jego życiu rozpędzać od czasu wydarzeń rewolucyjnych lat 1904–1905 – gdy w czasie manifestacji PPS-u na placu Grzybowskim w Warszawie (listopad 1904 roku) po raz pierwszy młodzież zobaczyć mogła zwiewających przed strzałami rewolwerowymi Moskali. Sosnkowski związał się z PPS-em uwiedziony nie proletariackimi hasłami, lecz raczej tym, co postulowało skrzydło niepodległościowe – zbrojną walką o odzyskanie niepodległości. Przyjął pseudonim „Ryszard". W pewnym momencie zorientował się, że ma na karku policję i może trafić za kraty. Uciekł do Galicji. Szukał tam kontaktu z Józefem Piłsudskim – słyszał o nim wiele dobrego od Aleksandra Świętochowskiego, wiedział, że to człowiek wybitny, chciał „poznać Go, oddać mu się pod rozkazy". Spotkał się z nim w 1906 roku na zjeździe PPS-u we Lwowie. „Duch jego przemówień porywał mnie – wspominał – ich urok polegał na niezwykłej sugestywności słowa; mowy jego były wspaniałą improwizacją, głośnym myśleniem". Za słowami poszedł czyn. Sosnkowski wstąpił do Organizacji Bojowej (OB), a jego relacja z Piłsudskim szybko przeszła w inny „stan skupienia": w głęboką przyjaźń, opartą na mocnym zaufaniu i pełnej lojalności. Mieli obaj stanowić przez wiele lat znakomicie ze sobą współgrającą parę – Komendanta i Szefa. Sosnkowski ukończył „szkołę bojową" i dość szybko stał się specem od działań zbrojnych. Dostał od Piłsudskiego rozkaz formowania komórki warszawskiej OB.

eprasa.pl 8cb269c4d

Tajna szkoła wojskowa

Dalej było pewne spotkanie w kawiarni lwowskiej w czerwcu 1908 roku. To wówczas Piłsudski z Sosnkowskim uradzili, że należy powołać nową organizację niepodległościową. Tak powstał Związek Walki Czynnej (ZWC). Pierwsze spotkanie organizacyjne nastąpiło jeszcze tego samego miesiąca w mieszkaniu Sosnkowskiego we Lwowie. Było na nim kilkanaście osób. Iskrę, myśl powstania ZWC rzucił Piłsudski, ale faktycznym twórcą i kierownikiem związku był Sosnkowski. Na owym zebraniu założycielskim był również człowiek-legenda, późniejszy oficer legionowy i historyk, Marian Kukiel. Tak w 1915 roku pisał o powołaniu do życia ZWC: „Sosnkowski uczynił krok niezwykłej doniosłości dziejowej: w partyjną i niezależną, mającą wychowywać oficerów dla przyszłego powstania zbrojnego przeciwko Rosji . [...] Sosnkowski był twórcą pierwszej, tajnej szkoły wojskowej polskiej i jej duszą. Jego wytrwałość, silna wola, twardy charakter utrzymały istnienie tej szkoły wśród ospałej obojętności ogółu, przy braku wszelkiego poparcia... Trzeba było niezwykłej mocy ducha, aby przemóc fatalną niewspółmierność sił i zamiarów, aby czyniąc rzeczy mające z razu wszelkie pozory śmieszności, ocalić powagę sprawy, wyrabiać z wolna szacunek dla niej wśród otoczenia. Czas to był bowiem, gdy jednym plutonem, w cywilnych ubraniach, z paru sztukami broni owiniętej w derki, ruszało się w jary i na polany leśne na tajemne ćwiczenia, kiedy strzelano po wąwozach pojedynczo, do improwizowanych celów; a jednak nie tylko zdobywano sobie duże wyrobienie wojskowe, lecz także wzmagała się żądza wiedzy, namiętność do sztuki wojennej, dojrzewały roczniki pierwsze oficerów strzeleckich".

Do szturmu z żołnierzami

To niezmiernie ważne, co działo się w Związku Walki Czynnej pod czujnym okiem Sosnkowskiego – tworzyło się de facto, nieistniejące wcześniej, wojsko polskie. W 1914 roku wyłoniło się ono ze Związku Strzeleckiego – organizacji militarnej stworzonej przez Piłsudskiego na fundamencie prawa austriackiego, które umożliwiało ćwiczenia z bronią w ręku takim właśnie „związkom strzeleckim". To w czasie tworzenia ZS w 1912 roku Sosnkowski został szefem sztabu u Piłsudskiego – stąd też jego późniejszy przydomek Szef. A jednocześnie przecież poza tą działalnością Sosnkowski studiował architekturę, zdawał egzaminy, zaliczał... Wybuchła wojna i wszystkie prywatne sprawy trzeba było odłożyć na bok. Szef z Komendantem ruszyli do faktycznej „walki czynnej". Zanim 6 sierpnia z Oleandrów wyruszyła I Kompania Kadrowa, przez granicę przeszedł słynny patrol – „siódemka Beliny" – odprawiony do akcji przez Sosnkowskiego. Następnie przyszły „ich pierwsze boje" – w sierpniu na Kielecczyźnie. Sosnkowski jako najbliższy współpracownik i prawa ręka Piłsudskiego. I Pułk strzelców, następnie I Pułk Legionów, a wreszcie I Brygada Legionów – na każdym z tych kolejnych poziomów Sosnkowski był zastępcą komendanta i szefem sztabu. Ale też samodzielnie dowodził w bitwach. W słynnej zimowej bitwie pod Łowczówkiem (22–25 grudnia 1914 roku) dowodził całą Brygadą, a w krwawych zmaganiach z Moskalami okazał się naprawdę wyśmienitym dowódcą. Pisał Juliusz Kaden-Bandrowski w „Piłsudczykach": „U podpułkownika Sosnkowskiego zgorszenie wśród oficerów, że się dowódca z karabinem między żołnierzy wdał i szedł do szturmu". Wykazywał się jednak nie tylko taką brawurą Sosnkowski, lecz także zachowywał cały czas zimną krew i w sposób racjonalny dowodził polskim wojskiem, czym zyskał sobie olbrzymie uznanie. Za tę bitwę otrzymał Sosnkowski austriacki Order Korony Żelaznej, a od Piłsudskiego później Virtuti Militari. To piękne odznaczenie ofiarował generał, jako wotum dziękczynne w 1943 roku przy Grobie Chrystusa w Jerozolimie.

Słowa zawsze dotrzymuję

Walki legionowe zakończyły się dla obu dowódców I Brygady rok później, w lipcu 1917 roku, uwięzieniem w Magdeburgu. Siedzieli za kratami niemieckimi aż do listopada 1918 roku. Rozdzielono ich, co było dotkliwą karą dla obu, dopiero pod koniec niewoli zezwolono na przebywanie razem, rozmowy czy grę w szachy. 8 listopada 1918 roku wrócili do Polski, by rzucić się w wir pracy dla ojczyzny odbudowującej się i wstającej z gruzów. W marcu został Sosnkowski wiceministrem spraw wojskowych. W 1920 roku przyszło kolejne wyzwanie – Polsce i Europie zagrażała nawała bolszewicka. Sosnkowski objął dowodzenie Armią Rezerwową. Pisał w Rozkazie Oficerskim nr 1: „Z rozkazu Naczelnego Wodza objąłem dowództwo nad Armią Rezerwową. Zadanie, które nam przypadło w udziale, jest szczytne i odpowiedzialne wielce. Armia Rezerwowa ma sprowadzić rozstrzygnięcie w wielkiej bitwie, którą toczą nasze wojska już od dwóch tygodni. [...] Pamiętajcie, że stoicie na oczach historii w całym tego słowa znaczeniu [...]. Wymagam od każdego z Was, by to co ma najlepszego w sobie oddał w tej bitwie Ojczyźnie. Dla słabych będę twardy – dla tchórzów bezlitosnym. [...] Rzetelne zasługi będą nagradzane szybko, obiecuję to całej armii – słowa zaś zawsze dotrzymuję". W rozkazie tym odczytać można coś w rodzaju życiowego credo generała, a także rysy osobowości i charakteru, takie jak obowiązkowość oraz wierność zasadom. W Bitwie War-

eprasa.pl 87cb269c4d

szawskiej generał Sosnkowski dowodził początkowo tyłami, a potem od 13 do 18 sierpnia 1920 roku zajęty był koordynowaniem walk na linii rzek Wisła–Wkra–Narew oraz Radzymina. Po zwycięskiej bitwie zaangażował się w sprawy plebiscytu śląskiego. Najbardziej dramatyczny stał się dla niego maj 1926 roku, kiedy Piłsudski siłą, przy użyciu wojska, dokonał w państwie przewrotu. Sosnkowski postanowił popełnić samobójstwo. Strzelił z rewolweru w klatkę piersiową. Przeżył. Kula przeszyła nie serce, lecz płuca. Potem serce przeszywały mu inne sprawy polskie i kolejna wojna, która spadła na Rzeczpospolitą we wrześniu 1939 roku.

Sumienie świata obciążone będzie grzechem

Od 10 września był dowódcą Armii Południe. Chociaż polskie wojsko było w położeniu tragicznym, generał Sosnkowski przyjął koncepcję walki agresywnej – kilkakrotnie wyrywał się z niemieckiego okrążenia, rozbił elitarny pułk zmotoryzowany SS-Standarte „Germania", czasem znowu, jak pod Łowczówkiem, bił się z bronią w ręku. Jednak agresja sowiecka przekreśliła wszystko. Trzeba było iść na emigrację. Sosnkowski dostał nawet propozycję objęcia prezydentury, lecz odmówił – byłaby to już czwarta po Mościckim osoba, która miałaby objąć urząd, według niego źle by to służyło sprawie polskiej. Po katastrofie gibraltarskiej został naczelnym wodzem. Wizytował polskie siły zbrojne na Zachodzie, w tym II Korpus Polski. Czasem w atmosferze konfliktu (jak z generałem Andersem w sprawie udziału polskiego w bitwie o Monte Cassino), ale zawsze z największą troską o sprawy polskie. Taką sprawą niesłychanej wagi była kwestia powstania w Warszawie w sierpniu 1944 roku. Wokół niej w łańcuchu korespondencji i rozkazów generała wyrosło sporo polemik. Był bowiem naczelny wódz oskarżany po pierwsze o to, że zbyt mało aktywnie uczestniczył w obiegu depesz w lipcu 1944 roku (wizytował w tym czasie II Korpus Polski pod Ankoną), oraz że, pomimo tego iż był przeciwny idei powstania w stolicy i uważał je za błąd, to nie zakazał jego wybuchu odpowiednio zdecydowanie i na czas. Depesze dotarły zbyt późno. Nie wahał się jednak potem krytykować aliantów za bierną postawę wobec walczącej Warszawy. Planował nawet sam skoczyć ze spadochronem do bijącego się miasta.

We wrześniu zaś wydał rozkaz, który miał się stać brzemienny w skutkach: „Pięć lat minęło od dnia, gdy Polska, wysłuchawszy zachęty Rządu brytyjskiego i otrzymawszy jego gwarancje, stanęła do samotnej walki z potęgą niemiecką. [...] Od miesiąca bojownicy Armii Krajowej pospołu z ludem Warszawy krwawią się samotnie na barykadach ulicznych w nieubłaganych zapasach z olbrzymią przewagą przeciwnika. Samotność kampanii wrześniowej i samotność obecnej bitwy o Warszawę są to dwie rzeczy zgoła odmienne. Lud Warszawy, pozostawiony samym sobie i opuszczony na froncie wspólnego boju z Niemcami – oto tragiczna i potworna zagadka, której my, Polacy, odcyfrować nie umiemy na tle technicznej potęgi Sprzymierzonych u schyłku piątego roku wojny. Nie umiemy dlatego, że nie straciliśmy jeszcze wiary, że światem rządzą prawa moralne. Nie umiemy, bo uwierzyć nie jesteśmy w stanie, że oportunizm ludzki w obliczu siły fizycznej mógłby posunąć się tak daleko, aby patrzeć obojętnie na agonię stolicy tego kraju, którego żołnierze tyle innych stolic własną piersią osłonili. [...] Jeśli ludność stolicy dla braku pomocy zginąć by musiała pod gruzami swych domów, jeśli by przez bierność, obojętność czy zimne wyrachowania wydana została na rzeź masową – wówczas sumienie świata obciążone będzie grzechem krzywdy straszliwej i w dziejach niebywałej. [...] My tutaj czynimy dalsze wysiłki, aby uruchomić pomoc dla Was. Otrzymujemy wciąż jeszcze obietnice i przypuszczenia. Wierzymy w nie i ufamy, że wiara ta nie będzie odebrana Polskim Siłom Zbrojnym". Te słowa krytyczne wobec sprzymierzonych stały się przyczyną jego dymisji. 30 września, pod naciskiem Churchilla, prezydent Raczkiewicz odwołał generała Sosnkowskiego z funkcji Naczelnego Wodza. Miała się potem zacząć emigracja – płodna w twórczość, lecz pełna gorzkich nut. Zmarł schorowany, mając problemy ze wzrokiem, 11 października 1969 roku w kanadyjskim Arundel. Był wielkim Polakiem. Winien stać w panteonie ojców niepodległości u boku innych gigantów polskiej wolności. ■

Sosnkowski wstąpił do Organizacji Bojowej, a jego relacja z Piłsudskim szybko przeszła w głęboką przyjaźń, opartą na mocnym zaufaniu i pełnej lojalności. Mieli obaj stanowić przez wiele lat znakomicie ze sobą współgrającą parę – Komendanta i Szefa.

eprasa.pl 87cb269c4d

Piotr Lisiewicz

Potop", „Quo vadis" i „W pustyni i w puszczy" zostają skreślone z listy lektur obowiązkowych – zdecydował rząd Tuska. Próba zrobienia z polskich dzieci nieznanych dotąd pod naszą szerokością geograficzną mutantów, które nie słyszały o Wołodyjowskim, Skrzetuskim, Zagłobie i Kmicicu, jest najgorszą zbrodnią tego rządu. Jej cel jest jasny: wynarodowienie.

Gdy Henryk Sienkiewicz został uhonorowany Nagrodą Nobla, w swojej mowie stwierdził: „Zaszczyt ten, cenny dla nas wszystkich, o ileż jeszcze cenniejszym być musi dla syna Polski!... Głoszono ją umarłą, a oto jeden z tysiącznych dowodów, że ona żyje!... Głoszono ją niezdolną do myślenia i pracy, a oto dowód, że działa!... Głoszono ją podbitą, a oto nowy dowód, że umie zwyciężać!".

Walka z wynarodowieniem była celem Sienkiewicza nie tylko w jego powieściach, lecz także w działalności publicznej. Poniżej dwa mało znane listy pisarza. Już jako noblista, w 1912 roku wystosował on „List otwarty do Wilhelma II króla pruskiego", w którym protestował przeciwko germanizacji polskich dzieci. Osiem lat wcześniej, na krótko przed Noblem, anonimowo skierował on „List otwarty Polaka do Ministra rosyjskiego", w którym równie gorąco sprzeciwiał się rusyfikacji w polskich szkołach.

Komuniści obawiali się zakazywać Sienkiewicza, postkomunistyczne salony przychodziły na premiery ekranizacji jego powieści. Rząd Tuska jest pierwszym, który z wynarodawiania Polaków uczynił priorytet. Nic więc dziwnego, że autor Trylogii stał się dla nich jedną z najniebezpieczniejszych przeszkód.

Henryk Sienkiewicz

List otwarty do Wilhelma II króla pruskiego

Bezduszne bowiem i nieludzkie jest takie prawo, które, nie bacząc na to, że nawet zwierz każdy musi mieć swe legowisko, zabrania Polakowi wznieść sobie na własnym kawałku ziemi dach nad głową. Straszne, głęboko niemoralne i nie dające się niczym usprawiedliwić są takie ustawy, na które odpowiedzią jest płacz tysiąców bezbronnych dzieci. Szkoła, a w niej nauczyciel w Królestwie Pruskiem, nie jest przewodnikiem, który dziecko polskie oświeca i prowadzi do Boga, ale jakimś bezlitosnym ogrodnikiem, którego urzędowym obowiązkiem jest zdrową polską latorośl przemocą przerobić choćby na krzywą i skarlałą płonkę niemiecką.

W chwili, gdy oczy całego ucywilizowanego świata zwracają się z bolesnym zdumieniem na jedną dzielnicę obszernego państwa W. C. Mości, – w chwili, gdy prasa wszystkich narodów stwierdza i potępia krzywdy, wyrządzane dzieciom polskim w Królestwie pruskiem, uprawniony jest głos każdego człowieka i chrześcijanina, a cóż dopiero głos Polaka, który zwraca się do Ciebie w imię sprawiedliwości. Sprawiedliwość bowiem wyższą jest i doskonalszą od wszelkich racyi stanu i zakusów politycznych, które, jeśli ją depcą, tem samem stają się mylne i na obłędne tylko prowadzą drogi. Zło i krzywda wołają o naprawę, naprawa zaś leży w ręku monarchy. Opatrzność w niezbadanych wyrokach swoich, oddawszy pod władztwo W. C. Mości cały jeden odłam wielkiego narodu polskiego, włożyła zarazem na Nią obowiązek uszanowania duszy polskiej, ochrony szczęścia tegoż narodu, jego wiary, języka, tradycyi i uczuć.

Tymczasem ziemie, wchodzące w skład państwa pruskiego, stały się przybytkiem niedoli, która pod panowaniem Twojem wzrosła jeszcze, niestety, i spotężniała. Skargi na tę niedolę nie tylko rozlegają się na próżno, ale rząd W. C. Mości odpowiada na nie zarządzeniami, które nawet postron-

eprasa.pl 87cb269c4d

nym narodom wydają się czynami nienawiści, przemocy, i jakby zemsty.

Spokojna ludność polska płaci na równi z niemiecką podatek krwi i mienia i nie porywała się do broni, więc próżno nienawiść stara się upozorować te czyny przemocy kłamstwem, że Polacy dążą do obalenia królestwa. Niegodnym jest potężnych państw i potężnych rządów wmawiać w siebie i w drugich to, w co same nie wierzą. Ruch żywiołowy, opór gwałconej natury ludzkiej nie jest polityczną agitacyą. Tam, gdzie chodzi o obronę najrdzenniejszych praw ludzkich i boskich, o stosunek człowieka do Boga, o ochronę jego skargi, prośby i modlitwy, tam sumienie jest najlepszym agitatorem. W. C. Mości! urzędnik pruski stał dotąd między ludem polskim a królem ziemskim, aby żadnych skarg przed tron nie dopuścić, – dziś zamierza odgrodzić tak samo ów lud i od tronu Boga.

***

Wasza Cesarska Mości! miara w prześladowaniu ciał i dusz jest przebrana!

Bezduszne bowiem i nieludzkie jest takie prawo, które, nie bacząc na to, że nawet zwierz każdy musi mieć swe legowisko, zabrania Polakowi wznieść sobie na własnym kawałku ziemi dach nad głową.

Straszne, głęboko niemoralne i nie dające się niczym usprawiedliwić są takie ustawy, na które odpowiedzią jest płacz tysiąców bezbronnych dzieci.

Szkoła, a w niej nauczyciel w Królestwie Pruskiem nie jest przewodnikiem, który dziecko polskie oświeca i prowadzi do Boga, ale jakimś bezlitosnym ogrodnikiem, którego urzędowym obowiązkiem jest zdrową polską latorośl przemocą przerobić choćby na krzywą i skarlałą płonkę niemiecką. I oto z każdym rokiem więcej w tych szkołach łez, więcej świstu rózeg, więcej męczeństwa.

Miara przebrana wobec Boga i ludzi rodzi nienawiść i nie tylko gniew boski i ludzki, ale niesławę. Przodkowie W. C. Mości prowadzili liczne wojny – pomyślne i niepomyślne – w obliczu historyi słuszne lub niesłuszne, ale ciężkie i wielkie. W dzisiejszych czasach wysuwa się, jako największa, tylko ta wojna: całego państwa, całej potęgi pruskiej z dziećmi. Orężem w niej z jednej strony więzienie i rózgi, z drugiej – łzy! Zaiste, im większe byłoby zwycięstwo państwa, tem większa niesława. Ale właśnie dlatego W. C. Mość nie zechcesz i nie możesz pozwolić, aby taka wojna stała się główną treścią Twych rządów, aby związała się z nimi raz na zawsze w historyi i dała nazwę Twemu panowaniu.

Słowa manifestu królewskiego z roku 1867 zaręczają polskim poddanym, że przez wcielenie ich do północno-niemieckiego związku ani ich język, ani ich religia nie doznają uszczerbku, i że wewnątrz związku mają pozostać Polakami, zachować język i obyczaje. Jakże te królewskie słowa i obietnice zostały dotrzymane?… Wasza Cesarska Mość jesteś piastunem honoru Niemiec, honoru dynastyi i przedstawicielem idei monarchicznej – racz zatem zważyć, że, jeśli honor najbiedniejszego z Twych poddanych zależy od jego wiary w dotrzymywaniu przysiąg i słowa – z jakiem okropnem uczuciem goryczy i zwątpienia muszą dziś czytać powyższe słowa nie tylko Polacy, ale i uczciwi Niemcy, a zwłaszcza Niemcy monarchiści. Czy zdołają obronić się myśli, że idea monarchiczna w Prusach nie jest, jak być powinna, oparta na niewzruszonej etycznej podstawie i że w braku takiej podstawy sama nie oprze się falom, które wokół niej spiętrza wiek bieżący.

Miara została przebrana! Nieprawe prawa niegodne są swej nazwy. Wyjątkowe ustawy, łamiące poczucie słuszności, to oszczep na obu końcach ostro okuty, który przyszłe przewroty społeczne skierować mogą w pierś państwa. Daleki jestem od chęci wglądania w sprawy i losy Królestwa Pruskiego, wygłaszam tylko pewnik historyczny, że rząd, który pozwala sobie na wszystko, uczy poddanych, że i przeciw niemu można sobie na wszystko pozwolić. Nie ma prawa przeciw prawu, a prawo do bytu dał narodom Bóg. Ich prawo przyrodzone jest z Bożej łaski, więc monarchia, która swoje również z Bożej łaski wyprowadza, tamtego naruszać nie powinien, bo tą samą ręką targa i podkopuje własne.

Lecz w tej sprawie sam W. C. Mość będziesz sędzią najlepszym. Obecnie zechciej spojrzeć w oczy tej strasznej prawdzie, która bije ze stosunku państwa do Polaków i, choć tłumiona, wybucha, jak ogień z pod ziemi. Oto miliony ludu, nad którym kazała Ci czuwać Opatrzność, czują się za Twego panowania i pod rządami Twych ministrów nieszczęśliwsze, niż kiedykolwiek przedtem; oto naruszone jest prawo człowieka do ziemi, naruszone jest prawo ogniska – oto łzy dzieci oblewają zgwałcony stosunek dusz do Boga. Niech wobec tego Twoje chrześcijańskie sumienie króla podyktuje Twej woli przyszłe jej czyny. ■

_____

Przedruk za: Pisma Henryka Sienkiewicza tom XXXV, Gebethner i Wolff, Warszawa 1912

eprasa.pl 87cb269c4d

Henryk Sienkiewicz

List otwarty Polaka do Ministra rosyjskiego

Nigdy od upadku państwa polskiego nie wychodziły ze szkół rządowych pokolenia tak zrażone dla wszystkiego co rosyjskie, jak te, które wychodzą z nich od czasów kuratora Wittego i Apuchtina. I nic dziwnego, albowiem poznają oni Rosyę z tych Rosyan, z którymi mają do czynienia. Młodzież patrzy na poniewierkę i nienawiść dla swego języka, dla swej krwi, dla swej religii – i odpłaca również nienawiścią.

W razie potrzeby odsłoniłbym swoje nazwisko, potrzeby tej jednakże nie przewiduję. Nadaję zresztą poniższym uwagom formę listu do W. Excelencyi tylko dlatego, że w ten sposób prędzej one dojdą do Jej uszu i zwrócą na się pilniejszą uwagę polskiej i rosyjskiej powszechności. W obydwóch społeczeństwach istnieje silne przekonanie, że z powodu wielkich wypadków na Wschodzie, przyjdzie, jeśli nie do radykalnych zmian, to przynajmniej tymczasem do radykalnej rewizyi spraw i stosunków na całym obszarze państwa rosyjskiego. Wobec tej nadziei każdy szczery głos w sprawie tak olbrzymiej doniosłości, jak stosunek dwóch największych narodów słowiańskich musi być pożądany, jako przyczynek do ujawnienia stanu rzeczy i wykrycia istotnej prawdy.

Nie mam też bynajmniej zamiaru kreślenia programu na przyszłość. Pragnę tylko objaśnić jak najzwięźlej niektóre objawy i sprowadzić do rzeczywistej miary te fakta, które nienawiść, zła wola i zła wiara przedstawia z umyślną przesadą w tym celu, aby dolewać oliwy do ognia, jątrzyć i zapobiegać wszelkiemu polepszeniu się stosunków.

***

Stosunki te są złe – i nie mogą być inne. Stałym stanem, w jakim żyje naród polski w państwie rosyjskim, jest jak najgłębsze cierpienie. Prawdę tę wygłaszam nie dlatego, żeby wzbudzić współczucie dla nas, ale dla stwierdzenia istoty rzeczy i dlatego, że powinna być ona punktem wyjścia dla każdego rosyjskiego męża stanu pragnącego poddać trzeźwej krytyce rosyjsko-polskie stosunki. Cierpienie to, od czasu objęcia przez Rosyę ziem polskich, zwiększa się z każdem pokoleniem. Politycy i publicyści wasi, którzy nie chcą okłamywać samych siebie, nie mogą temu zaprzeczyć, odpowiadają jednak, że przyczyną tego są nasze powstania. Odpowiedź to niewystarczająca i wykrętna. Pomijam, że naród, który był wielkim państwem, złożyłby dowody największego upadku i upodlenia, gdyby od razu pogodził się ze stanem rzeczy i nie wyczerpał do ostatecznych granic wszelkich sposobów odbudowania tegoż państwa; pomijam ból i gorycz, jaką wiecznie budziła w sercach polskich myśl, że naród rosyjski, zatem naród słowiański, wszedł dla obalenia tegoż polskiego państwa we współkę z Niemcami i oddał im na pastwę najczystszą krew słowiańską, a zwracam uwagę na to, jak po upadku każdego powstania postępowała Rosya!

Owóż rządy rosyjskie nigdy po zwycięstwie nie postępowały wspaniałomyślnie i nie umiały się wyrzec zemsty. Po stłumieniu rewolucyi ograniczały one coraz bardziej narodowe prawa Polaków i karząc nie tylko uczestników powstania, ale i przyszłe nieurodzone jeszcze pokolenia, wytwarzały w ten sposób coraz nieznośniejsze dla tychże pokoleń warunki, które z kolei rzeczy prowadziły i musiały prowadzić do nowych rozpaczliwych porywów.

Wreszcie po upadku powstania z 63 roku odjęte zostały krajowi prawa już nie tylko narodowe, ale wprost życiowe. Wszelkie ślady jakichkolwiek miejscowych urządzeń znikły. Terroryzm przestał być zjawiskiem przechodniem, a stał się stałym wykładnikiem rosyjsko-polskich stosunków. Każdy Polak bez względu na jego postępki i uczucia uważany był i jest dotychczas, poniekąd za przestępcę względem państwa, tylko dlatego, że w żyłach jego płynie krew polska. Pokolenia, które przyszły na świat po roku 63 były traktowane tak, jakby brały w nim udział z bronią w ręku. Wydano jawne i tajne prawa wyjątkowe czyniące z Polaków obywateli nie drugiej, ale ostatniej klasy. Kraj zalała biurokracya ro-

eprasa.pl 87cb269c4d

syjska, która w bezprzykładny w świecie sposób usunęła społeczeństwo od wszelkiego udziału w załatwianiu własnych jego spraw, nietylko ważniejszych, ale i najzwyklejszych, codziennych […]

***

Starożytny, kulturalny i wyrobiony język polski dostał się w taką poniewierkę, w jakiej od początku świata nie był żaden z najmniej nawet wyrobionych języków słowiańskich. W. Excelencyi wiadomo być musi, że w pewnych prowincyach państwa, użycie go było poczytywane wprost za przestępstwo. Ale nawet i w Królestwie polskiem usunięto go wszędzie, nawet tam, gdzie dopuszczano użycia języka niemieckiego i innych zagranicznych. Posady sądowe objęli ludzie nie znający mowy, obyczajów i urządzeń miejscowych […]

A działając w tym jedynie, nie mającym nic wspólnego z zadaniami pedagogicznemi celu, wywołało się rezultaty wprost przeciwne. Nigdy od upadku państwa polskiego nie wychodziły ze szkół rządowych pokolenia tak zrażone dla wszystkiego co rosyjskie, jak te, które wychodzą z nich od czasów kuratora Wittego i Apuchtina. I nic dziwnego, albowiem poznają oni Rosyę z tych Rosyan, z którymi mają do czynienia. Młodzież patrzy na poniewierkę i nienawiść dla swego języka, dla swej krwi, dla swej religii – i odpłaca również nienawiścią […]

Excellencyo! państwo rosyjskie nie mogło mieć na myśli podobnych celów i dążyć do takich rezultatów.

Przenieś W. E. ten stosunek do wszystkich innych gałęzi administracyi miejscowej, a wytworzysz sobie wierny obraz stanu rzeczy i zrozumiesz wiele objawów, z których patrzącemu z dala trudno sobie jest zdać sprawę.

Biurokracya rosyjska potrafiła wzbudzić dla siebie wstręt we wszystkich klasach społecznych bez wyjątku […] Pruskie rządy są pod względem moralnym i politycznym haniebne, ale Prusacy są dobrymi administratorami. Rosyanie administrujący naszym krajem idą zaraz po Turkach. […]

– Ale zaiste wobec tego ludziom patrzącym trzeźwo i obiektywnie nasuwało się mimo woli pytanie: czy rosyjski rząd i rosyjski naród jest to taki rząd i taki naród, które bojąc się istotnej prawdy, zadawalają się czczym frazesem? Excellencyo! rezultatem działalności biurokracyi waszej było, nie zbliżenie „kresów z centrum", ale zniechęcenie i oddalenie ich od państwa. — Kto nie widzi tej prawdy, ten jest ślepym z urodzenia, lub rozmyślnie zamyka oczy. Jeżeli to „zbliżenie" polega na tem, by w danym kraju było tylu a tylu jak najgorszych, uprawiających przekupstwo, grabież publicznego grosza i zaczerniających tylko „dokładami" papier administratorów prawosławnego wyznania i rosyjskiego pochodzenia – jeśli polega na tem, aby istniały napisy wyłącznie rosyjskie, tam gdzie prosty rozsądek i pożytek wymagają, by były inne, jeśli ma ono być tylko czemś zupełnie zewnętrznym, jakimś obcym nalotem, nie mającym więcej związku z organizmem społecznym, niż wapno, którem pobieliła się przypadkowo otarta o ścianę odzież z samą odzieżą, to biurokracya wasza spełnia dostatecznie swe zadanie. Jeżeli jednak państwu zależy na innem, wewnętrznem i organicznem zbliżeniu, to nie było można dobrać bardziej nieodpowiedniego do tego narzędzia, albowiem działalność jego daje wynik wprost przeciwny. – Jest to złe narzędzie administracyjne, złe ekonomiczne, złe polityczne, wytwarzające tylko zacofanie, ruinę ekonomiczną i nienawiść […]

***

Jest wprost rzeczą prawie nie do uwierzenia, żeby system, o którym dziś nikt nie wątpi, że przynosi tylko obopólne szkody, mógł trwać lata całe i ażeby na domiar wykonywała ten system taka kategoria ludzi, która czyni go jeszcze szkodliwszym!

Ależ tak być nie może i nie powinno […] Nie państwo do nas, ale my do państwa powinniśmy móc mieć zaufanie, z tej prostej przyczyny, że państwo ma w ręku siłę, że co przyzna może w każdej chwili odjąć, jak zresztą czyniło stale dotychczas; my powinniśmy mieć zaufanie, że chce ono nie naszego zła, lecz dobra i nie naszej zguby, lecz naszego narodowego rozwoju. Iść w jednym lub drugim kierunku leży wyłącznie w jego mocy. W takim dodatnim kierunku poszła właśnie Austria i nie ma żadnego powodu, aby tego kroku żałować. Jeżeli warunkiem zaufania ze strony państwa do nas jest wyrzeczenie się przez nas narodowości, języka i wyznania, to niechże państwo nie ufa nam nigdy, albowiem nigdy na taką ufność nie zasłużymy […].

Powtarzam raz jeszcze, że nie mam bynajmniej zamiaru kreślenia programu na przyszłość i że stwierdzam tylko istniejący, rozpaczliwy stan polsko-rosyjskich stosunków. Starałem się, by głos mój był tak spokojny i tak rzeczowy jak głos historyi, ale prawdę należało wypowiedzieć wyraźnie, albowiem niedomówienia prowadzą w takich razach do ciężkich błędów. ■

Przedruk za: Skład główny w księgarni Gubrynowicza i Schmidta. Lwów 1904 , Z drukarni „Polonia" – ul. Trzeciego Maja 11.

eprasa.pl 87cb269c4d

Łukasz Czarnecki

LEGENDARNI RONINI

Każdy kto interesuje się kulturą Japonii lub ma z nią choćby powierzchowny kontakt, prędzej czy później zetknie się z historią 47 roninów. Dzielni wojownicy, którzy po śmierci swego pana pomścili go, zabijając człowieka, którego obwiniali za nieszczęście, jakie dotknęło ich seniora, są jednymi z najbardziej uwielbianych przez Japończyków postaci. I choć od ich wyczynów minęło już ponad 320 lat, wciąż pozostają żywi w zbiorowej świadomości rodaków.





FOT. WIKIMEDIA COMMONS

egzemplarz prasowy

Historia 47 roninów stanowiła pożywkę dla całego szeregu sztuk wystawianych zarówno na scenach teatru lalkowego bunraku, jak i aktorskiego kabuki. Legendą stali się właściwie natychmiast po tym, jak 26 marca 1703 roku popełnili seppuku. Inna rzecz, że jak to z legendami bywa, zwłaszcza takimi powtarzanymi z ust do ust, historia obrastała z upływem lat w coraz nowsze i bardziej sensacyjne szczegóły. Kulminacją tego procesu była w 1748 roku premiera spektaklu „Wzór liter albo skarbiec wiernych wasali", początkowo przeznaczonego dla sceny lalkowej, później zaadaptowanego przez kabuki. Wersja, którą zaprezentowano widzom, była już bardzo odległa od rzeczywistych wydarzeń, dość rzec, że aby uniknąć ingerencji cenzury w treść sztuki, autorzy przenieśli akcję do XIV stulecia, a biorącym udział w wydarzeniach bohaterom nadali nowe nazwiska i imiona. Do tego dołączone zostały wątki, o których historia milczy – jak choćby złowroga pożądliwość mistrza ceremonii względem żony dajmio, który broniąc jej i swego honoru, rani niegodziwca, za co zostaje skazany na śmierć. Liczący 11 aktów dramat jest chyba najczęściej wystawianą na deskach kabuki sztuką, a warto wiedzieć, że wątki w jakiś sposób łączące fabułę z opowieścią o 47 roninach pojawiają się też w całym szeregu innych spektakli. Dodajmy do tego drzeworyty ukiyo-e z epoki Edo i powstające współcześnie niezliczone filmy, seriale, anime czy mangi, a przekonamy się, iż nie ma przesady w stwierdzeniu, że samurajowie z księstwa Akö w zimową noc 30 stycznia 1703 roku swoimi mieczami nie tylko ucięli głowę panu Kirze Yoshihisie, lecz także wyrąbali sobie nimi drogę do wieczności.

Między prawdą a fikcją

Rzeczywiste wydarzenia, które stały się pożywką dla legendy, mylnie uznawanej często za rzetelny zapis historycznych faktów, niczym szkielety dinozaurów przykryte są grubą warstwą osadu. Na szczęcie znalazło się kilku historyków, którzy nie bacząc na to, iż ich praca może zostać uznana za świętokradztwo, wbili w owe warstwy szpadle i przekopali się przez nie, usiłując dociec tego, co naprawdę wydarzyło się w latach 1701–1703. Dzięki temu dysponujemy sensową i wiarygodną rekonstrukcją sekwencji zdarzeń, które ostatecznie znalazły ukoronowanie w sławnej wendecie.

Bohaterów pierwszego aktu afery było dwóch. Jako pierwszego należy przedstawić liczącego wedle różnych źródeł 26 lub 34 lata dajmio – Asano Naganori – pana na księstwie Akō. Legenda uczynić miała zeń męża sprawiedliwego i szlachetnego, szczególnie przysłużył się tworzeniu tego obrazu „Skarbiec wiernych wasali", gdzie młody magnat został sportretowany jako honorowy Enya Hangan. Dość mocno mija się to jednak z prawdą. Do naszych czasów zachowała się charakterystyka tego dajmio spisana przez inspektora szoguna, który badał stan japońskich prowincji. Opisał Asano jak utracjusza zainteresowanego głównie erotycznymi podbojami. Dokument ten rzuca też ciekawe światło na osoby jego wasali, których opisano jako zbieraninę wazeliniarzy organizujących swemu panu schadzki z kobietami. Jak się wydaje, osierocony w wieku ośmiu lat Naganori, chowając się bez ojcowskiego autorytetu, wyrósł na człowieka kompletnie niepoważnego i lekkomyślnego, skupionego głównie na pościgu za przyjemnościami. Niezbyt dobrze świadczy to o służących mu samurajach, na których spoczywał obowiązek zapewnienia opieki i edukacji chłopcu.

Drugim bohaterem nadchodzących wydarzeń miał być Kira Yoshihisa – człowiek starszy, bo mający 60 lat. Nie posiadał on własnego lenna, zamiast tego należał do grupy wysokich rangą dostojników dworskich utrzymywanych przez szogunat. Od 40 lat pełnił na zamku władającego Japonią rodu Tokugawa funkcję mistrza ceremonii. Przyszłe pokolenia zapamiętać go miały jako złośliwego i przekupnego, a w wersji prezentowanej w teatrze – także trawionego żądzą zbereźnego starca, przystawiającego się do żony człowieka, którego miał zgubić. Tymczasem źródła historyczne kompletnie nic na ten temat nie mówią! W raporcie sporządzonym po całym incydencie zapisano, iż stary mistrz ceremonii był głęboko zszokowany faktem, że młody dajmio spróbował go zabić, i nie potrafił pojąć, co doprowadziło go do takiej furii. Nie uprzedzajmy jednak faktów.

W okresie Edo, w którym rozegrał się ów dziejowy dramat, w Kraju Kwitnącej Wiśni panował pokój, ostatnie zbrojne działania Japonia widziała pod koniec lat 30. XVII wieku, później umęczona dekadami wojen domowych kraina zażywała najdłuższego w swoich dziejach okresu spokoju i prosperity. Oficjalnie panowała dwuwładza, na czele państwa stał wywodzący się od bogini Amaterasu cesarz, który nominował kolejnych szogunów. W rzeczywistości ten drugi urząd też był dziedziczny, przechodząc z pokolenia na pokolenie w obrębie sprawującego realną władzę klanu Tokugawa. Bakufu, czyli rząd wojskowy, rezydował w Edo (dzisiejsze Tokio), podczas gdy boski monarcha przebywał w dostojnej izolacji w swoim pałacu w Kioto, oddając się poezji i ceremoniom religijnym. Szogun okazywał mu wielki szacunek, łożąc na utrzymanie dworu i łechcąc cesarskie ego gestami kurtuazji, co nie zmieniało faktu, iż imperator de facto przebywał w areszcie domowym. Właśnie przy okazji wymiany uprzejmości doszło do incydentu, który kosztować miał życie obydwu jego uczestników.

eprasa.pl 87cb269c4d

Tajemniczy atak

17 kwietnia w Edo pojawić się mieli cesarscy wysłannicy, by złożyć szogunowi Tsunayoshiemu życzenia i podziękowania za przesłane cesarzowi prezenty noworoczne. Wydarzenie to co roku obchodzono z wielką pompą, za każdym razem powierzając sformowanie komitetu powitalnego innej grupie przebywających w stolicy szogunatu dajmio. Tym razem w jej skład wszedł również Asano Naganori. Jednak jako że ceremoniał dworski był nadzwyczaj skomplikowany, chcąc uchronić młodego magnata przez zbłaźnieniem się, powierzono go opiece Kiry Yoshihisy, który miał go błyskawicznie przeszkolić w tym zakresie. Co rozegrało się pomiędzy dwoma mężczyznami, do dziś nie wiadomo, najczęściej powtarzana wersja głosi, że mistrz ceremonii zachowywał się wobec podopiecznego impertynencko i złośliwie, chcąc wymusić na nim jakiś kosztowny podarek. W protokołach i raportach sporządzanych post factum informacja taka się jednak nie pojawia.

17 kwietnia 1701 roku na krótko przed wprowadzeniem na zamek szoguna w Edo cesarskich posłów Kira Yoshihisa gawędził sobie w tzw. Komnacie Sosen ze znajomym, oczekując na początek ceremonii, gdy nagle, ni z tego ni z owego, podszedł do niego młody pan Asano i bez zapowiedzi dobywszy miecza, ciął nim swego niedawnego nauczyciela w głowę. Mistrz ceremonii padł zalany krwią na ziemię, a jego oprawca już szykował się do zadania kolejnego, tym razem śmiertelnego ciosu, ale na szczęście został obezwładniony przez zgromadzonych dworzan i samurajów. Przytrzymywany przez nich Naganori rzucał się jak szaleniec, wrzeszcząc, że Kira śmiertelnie go obraził i musi zapłacić za to życiem. Zszokowanego marszałka dworu odciągnięto na bok, by udzielić mu pomocy medycznej, a niedoszłego zabójcę zamknięto pod kluczem w rezydencji jednego z zaufanych wasali szoguna.

Sprawa była poważna. Winowajca dobył broni w zamku szoguna, a dodatkowo skompromitował Tsunayoshiego, urządzając burdę prawie na oczach cesarskich posłów. Zwołano komisję śledczą, która szybko przesłuchała świadków i wydała wyrok – pan na Akō skazany został na karę śmierci, w ramach łaski pozwolono mu popełnić seppuku. Wyrok miał stać się przyczyną kontrowersji, bo wydał go nie sam szogun, lecz jeden z członków jego rządu. Co więcej, inny oficjał biorący udział w śledztwie uznał je za pośpieszne i prowadzone pod tezę. Wątpliwości budził też fakt, że wbrew obowiązującemu zwyczajowi, pociągającemu do odpowiedzialności obie strony bójki, w stanie oskarżenia znalazł się tylko Asano. Na koniec wreszcie, gdy zaczęto przygotowania do seppuku, skazanemu wyznaczono miejsce do popełnienia samobójstwa na pałacowym dziedzińcu, a nie w wewnętrznych komnatach, co uznano za obrazę względem magnata. Warto przy tej okazji odnotować, iż Naganori na śmierć szedł z podniesioną głową, ale ciągle dopytywał się przesłuchujących go urzędników o stan swojej ofiary, jakby od własnego życia ważniejsze było dlań upewnienie się, iż skutecznie wysłał Kirę Yoshihisę na tamten świat. W ostatnich słowach powiedział, że nie mógł postąpić inaczej, niż uczynił, po czym rozciął sobie brzuch. Tajemnicę tego, co zaszło między nim a mistrzem ceremonii, zabrał ze sobą do grobu. Jeśli jednak świadkowie myśleli, że tu cała historia znalazła swój finał, nie mogli się bardziej mylić. Najsławniejsza opowieść Japonii dopiero się zaczynała.

W konspiracji

Na skazaniu Naganoriego na śmierć wyrok bynajmniej się nie skończył. Reżim nakazał skonfiskować wszystkie włości rodu Asano, który de facto został urzędowo zlikwidowany. Służący mu samurajowie zostali roninami (tj. samurajami bez pana), żona niedoszłego mordercy, pozbawiona środków do życia, wstąpiła do buddyjskiego klasztoru, a młodszy brat poszedł na wygnanie.

Wszystko to stanowiło dla wojowników od pokoleń służących władcom Akō gorzką pigułkę. Nie tylko stracili pracodawcę, lecz także ich pan okrył hańbą zarówno siebie, jak i ich. Po pierwsze – łamiąc prawa obowiązujące w zamku szoguna, po drugie – robiąc to w sposób nieudolny. Gdyby Naganori zabił Kirę, wasale byliby ukontentowani. Do szczególnej furii doprowadzał przy tym roninów fakt, że starego mistrza ceremonii nie spotkały żadne przykre konsekwencje z racji całego zajścia. Przebywając podówczas w Edo, 76-letni (sic!) Horibe Yahei Akizane chciał wręcz ze swymi dwoma synami natychmiast zabić Kirę, by tym zmazać dyshonor, jakim okrył się ród Asano. Jego zapędy temperował zwierzchnik wasali klanu i zarządca jego włości – Ōishi Kuranosuke Yoshio, który w początkowych miesiącach po śmierci Naganoriego starał się drogą urzędową uzyskać częściowe uchylenie wyroku i zgodę na restaurację rodu Asano. Dopiero gdy słane do bakufu podania nie na wiele się zdały, Ōishi, wyczerpawszy wszystkie inne możliwości, uznał, iż pozostaje mu tylko zadbać o to, by Kira Yoshihisa jak najszybciej zszedł z tego świata.

W Japonii okresu Edo dopuszczalne były dokonywane przez samurajów akty indywidualnej zemsty, o ile zgłoszono wcześniej ich zamiar w odpowiednim urzędzie. Wasale rodu Asano zdecydowali się jednak działać poza prawem, obawiając się, iż w przeciwnym razie cel szykowanego przez nich zamachu znajdzie sposób, by ich powstrzymać. Dlatego zawiązali potajemny spi-

eprasa.pl 87cb269c4d

sek. Początkowo przystąpiła do niego setka z dawnych 270 wasali Naganoriego, jednak entuzjazm szybko wygasał i ostatecznie szeregi konspiratorów skurczyły się do… 48 roninów! Zaraz, zaraz, zapytają Państwo – jak to 48? Cóż, sprawa jest dość skomplikowana, bo jeśli przyjrzymy się jej bliżej, na jaw wyjdzie, że roninów było w rzeczywistości 48 albo 46, a nie 47. Tak się bowiem złożyło, że jeden z samurajów należących do sprzysiężenia Kayano Shigezane popełnił wkrótce seppuku. Powód był z punktu widzenia Europejczyka absurdalny, ale dla Japończyka ważki – rodzice znaleźli wojownikowi pracę u innego dajmio. Nie mogąc pogodzić ze sobą zobowiązań wynikających z wierności wobec zmarłego seniora z tymi wypływającymi z miłości i posłuszeństwa względem rodziców, ronin pozbawił się życia. Na placu boju pozostało zatem 47 jego towarzyszy, pod tym względem fakty zgadzają się z legendą, ale znów, gdy przyjrzymy się im bliżej, odkrywamy, że nie do końca… Oto bowiem jednym z uczestników konspiracji był Terasaka Kichiemon, będący prostym piechurem, którego wielu nie uznawało nawet za pełnoprawnego samuraja! Dodatkowo biedaczysko miał tego pecha, że nie był bezpośrednim wasalem Naganoriego, lecz służył jednemu z jego lenników. Tak więc kolejne pokolenia miały się spierać, czy człowieka tego wliczyć w poczet bohaterów legendy, czy nie. Niekiedy wręcz świadomie go omijano, uznając, iż w wendecie brało udział 46 żywych wojowników i duch nieszczęsnego Kayano.

Przygotowania do tego, co jeden z historyków określił jako „akcję militarną na małą skalę", ruszyły pełną parą. Ronini pozornie rozeszli się po Japonii i znaleźli sobie nowe zajęcia, biorąc się choćby za rzemiosło. Cały czas zachowywali czujność, mając świadomość, że są pilnie obserwowani. Kira Yoshihisa głupi nie był i doskonale zdawał sobie sprawę, że wasale Asano Naganoriego obwiniają go za śmierć ich pana. Mistrz ceremonii podejrzewał, że rozgoryczeni ronini mogą spróbować zmazać krwią hańbę klanu i dlatego wolał się przygotować. Swój pałac w Edo uczynił niewielką twierdzą, a w ślad za samurajami z Akō rozesłał szpiegów, by mieli na nich oko. Raporty, które wkrótce zaczęły doń napływać, musiały go zadziwić – roninowie zachowywali się tak, jakby całkowicie zapomnieli nie tylko o niedawnych wydarzeniach, lecz wręcz o wymaganiach samurajskiego honoru. Rażący przykład stanowił Ōishi Kuranosuke, który miał stoczyć się na samo dno. Całe dnie i noce przesiadywał w karczmach oraz herbaciarniach, zapijając się do nieprzytomności sake i zabawiając z kurtyzanami. Zwierzchnik wasali klanu Asano w przerażającym tempie przeistaczał się w menela, pewnego razu znajomy samuraj ujrzał go pijanego w sztok, leżącego na poboczu. Rozwścieczony tym zachowaniem spuścił mu manto, a Ōishi nawet nie próbował się bronić! W końcu po upływie ponad roku Kira doszedł do wniosku, że nic mu już ze strony dawnych wasali Naganoriego nie grozi, odwołał szpiegów i zwolnił część strażników. Tym samym wydał na siebie wyrok śmierci.

W rzeczywistości zachowanie roninów stanowiło kamuflaż, a Kuranosuke odgrywał istną szopkę, przekonując całą Japonię, że się stoczył, podczas gdy w rzeczywistości dowodził przygotowaniami do wendety. Jego starania, by jak najbardziej się upodlić, miały później stać się ważną częścią japońskiego folkloru i jednym z ulubionych wątków poświęconych słynnej wendecie opowieści utworów scenicznych i drzeworytów.

Część spiskowców przeniknęła do Edo i tam chałupniczo wykonała broń, a nawet zbroje mające posłużyć w trakcie ataku na dom Kiry. Swoją drogą owe ciekawe zabytki do dziś można podziwiać w jednym z tokijskich muzeów. Inni zajęli się rekonesansem, jeden z nich posunął się do tego, że wziął ślub z córką architekta, który wzniósł rezydencje mistrza ceremonii. Gdy w końcu jasne stało się, że ich cel stracił na czujności, ronini przystąpili do ostatecznych przygotowań. W małych grupkach przybywali do stolicy szogunatu, gdzie ich towarzysze przebrani za żebraków i ubogich mieszczan dzień po dniu uważnie obserwowali pałacowe wrota. W końcu zapadła decyzja o przeprowadzeniu ataku.

Noc zemsty

Ciemną, głuchą nocą 30 stycznia 1703 roku 47 wojowników odzianych w maskujące ich czarne ubrania, lekkie zbroje i słomiane sandały wygłuszające odgłosy kroków stanęło u bram rezydencji Kiry Yoshihisy. Oprócz mieczy uzbrojeni byli we włócznie, a także olbrzymie młoty i topory mające im posłużyć do wyważenia bramy. Podzieleni na grupy operacyjne oznaczone znakami z japońskiego sylabariusza przystąpili do działania. Brama padła pod ciosami młotów, a oni wdarli się do środka. Część z nich została na zewnątrz i rozbiegła się po sąsiedztwie, informując sąsiadów o tym, co właśnie się dzieje, i uspokajając ich obawy – jedynymi, którzy mieli ucierpieć tej nocy, byli mistrz ceremonii oraz ci, którzy próbowaliby go bronić. Usłyszawszy końcową przestrogę, mieszkający w okolicy samuraje nie zareagowali na istną bitwę, która rozgrywała się tuż obok. Wypełniwszy swą misję, spiskowcy przyłączyli się do swoich towarzyszy, wszyscy poza… nieszczęsnym Terasaką, który gdzieś przepadł. Co się z nim stało, nigdy się nie dowiemy, ale faktem jest, że gdy później sąd ogłaszał listę skazanych na śmierć roninów, nazwiska Terasaki nie było wśród nich i ostatecznie w wyniku nocnej akcji seppuku popełniło tylko 46 jej uczestników.

eprasa.pl 87cb269c4d

Tymczasem w posiadłości Kiry trwała walka. Niezbyt zacięta dodajmy, wartownicy zginęli bądź czmychnęli. Zlikwidowawszy opór, ronini rozproszyli się po posiadłości w poszukiwaniu człowieka będącego ich celem. Nagle nocną ciszę przerwał świst gwizdka, samurajowie pośpieszyli w miejsce, skąd się dobywał. Dął w niego jeden z nich, który znalazł drżącego z zimna i strachu starca schowanego w komórce na węgiel.

Jak głosi legenda, mściciele pana Asano zaoferowali Kirze możliwość popełnienia seppuku, ten jednak był zbyt tchórzliwy, by z niej skorzystać, więc zdegustowani wojownicy zakończyli jego żywot, ucinając mu głowę. Prawda zapewne jest o wiele mniej romantyczna – przyszli japońscy bohaterowie narodowi dokonali z zimną krwią mordu na bezbronnym starym człowieku. Po dekapitacji zwłok obmyli zdobyczny czerep w wiadrze, a następnie wymaszerowali na ulicę Edo i skierowali się ku świątyni Sengakuji, by złożyć głowę mistrza ceremonii na grobie pana Asano. Szli środkiem miasta, bynajmniej nie kryjąc się z tym, co zrobili. Po prawdzie, sformowanie orszaku było wybiegiem, biorący udział w przemarszu ronini nieśli ze sobą przygotowany zawczasu model głowy, ta prawdziwa, pilnowana przez zaledwie kilku z nich, płynęła ku świątyni rzeką na pokładzie łodzi. Spiskowcy brali pod uwagę, że służby porządkowe będą chciały ich zatrzymać, a gdyby nie udało im się dostarczyć makabrycznego trofeum do miejsca przeznaczenia, cała akcja straciłaby jakikolwiek sens. Dlatego postanowili zabezpieczyć się, stosując dezinformację, taktykę, która tak dobrze przysłużyła im się w trakcie przygotowań do ataku.

O dziwo jednak, nikt nie stanął na drodze mścicielom, którzy o poranku dotarłszy do Sengakuji, uhonorowali swego dawnego seniora, składając głowię Kiry na nagrobku pana Asano. Po dokonaniu tego symbolicznego aktu udali się na śniadanie, które przygotował dla nich opat. Gdy jedli kleik ryżowy, przed świątynią pojawili się samuraje w służbie szoguna z nakazem aresztowania 46 wojowników. Ōishi Kuranosuke wraz z towarzyszami poddali się bez walki. Rozdzielono ich po rezydencjach kilku dajmio i trzymano pod strażą. Po prawie dwumiesięcznych obradach sąd zdecydował się skazać roninów na śmierć, pozwalając im jednak zadać ją sobie własną ręką, co oznaczało, że uznani zostali za ludzi honoru, a nie pospolitych bandytów. Cała czterdziestka szóstka popełniła seppuku, po czym ich doczesne szczątki złożono u boku grobowca pana Asano Naganoriego.

Historia wendety wasali klanu Asano wzbudziła ogromne zainteresowanie już u współczesnych. Dyskutowano o niej zarówno wśród uczonych samurajów, jak i na ulicach Edo czy Osaki. Ci pierwsi spierali się o to, czy czyn 47 roninów był rzeczywiście honorowy, z kolei mieszczanie ekscytowali się sensacyjną otoczką całej sprawy. Wkrótce opowieść ta trafiła do repertuaru ulicznych gawędziarzy, których nie obejmowała cenzura zabraniająca tworzyć teksty rozrywkowe dotyczące wydarzeń politycznych. Z czasem ronini trafili, jak już rzekliśmy na początku, na sceny teatrów bunraku i kabuki, które na dobre ich unieśmiertelniły, przysłaniając jednak historyczną prawdę literackim wymysłem. Kto wie, może taka jest właśnie cena za osiągnięcie wieczności?

▶ Epilog: Ronini a… sprawa polska

Jak pamiętają czytelnicy Stefana Żeromskiego, w każdej dyskusji, nieważne jakiego tematu ona dotyczy, choćby był to słoń, prędzej czy później pojawi się kwestia polska. Nie inaczej jest w przypadku bohaterów naszego artykułu, mało kto wie bowiem, iż w 1939 roku 47 roninów… pośpieszyło na pomoc zagrożonej przez Hitlera i Stalina II RP! Autor tych słów bynajmniej nie oszalał i nie sugeruje, iż bitni ci wojownicy niczym śpiący rycerze z Tatr nagle zmartwychwstali i pogalopowali z katanami na Niemców, sprawa była o wiele bardziej subtelna.

23 sierpnia 1939 roku świat obiegła wiadomość o podpisaniu paktu Ribbentrop–Mołotow. Japończycy, pozostający w sojuszu z Niemcami, lecz będący zaciekłym wrogiem Rosji, uznali ów nowy alians Berlina za zdradzę. Ich rozżalenie wyśmienicie wykorzystał polski ambasador w Tokio – Tadeusz Romer, który krótko po ujawnieniu postanowień paktu, w ostatnich dniach sierpnia z pełnym ceremoniałem dyplomatycznym, w otoczeniu gromady japońskich dziennikarzy udał się na cmentarz przy świątyni Sengakuji i w blasku fleszy złożył na grobie 47 (w rzeczywistości, jak już wiemy, czterdziestu sześciu) roninów wieniec, honorując ich w imieniu rządu i narodu polskiego. Przy tej okazji przedstawiciel Warszawy wygłosił przemówienie, w którym chwalił wierność legendarnych wojowników i przypominał o sile więzów przyjaźni łączących Polskę i Japonię, opartych na szczerej lojalności, której nie była w stanie dochować Tokio III Rzesza.

Efekty zorganizowanego przez ambasadę politycznego spektaklu na buddyjskim cmentarzu okazały się piorunujące. Gdy kilka dni później Niemcy napadli na II RP, polskie przedstawicielstwo dyplomatyczne zostało dosłownie zalane pomocą. Japończycy chętnie przekazywali na rzecz polskiej armii datki, a niektórzy nawet… żądali przetransportowania do Europy i wcielenia w jej szeregi. Niestety, dalekowschodni ochotnicy odchodzili z kwitkiem, bo nie było realnej możliwości wysłania ich na front. Jeden z potencjalnych obrońców polskiej niepodległości tak przejął się zawodem swoich nadziei, że z żalu spróbował… popełnić seppuku na schodach ambasady! ■

eprasa.pl 87cb269c4d



Krzysztof Karnkowski

Francuska uczta wietnamskiego mistrza

eprasa.pl 87cb269c4d



Jeśli opisać „Bulion i inne namiętności" jako film o jedzeniu i miłości, w tej kolejności właśnie, będzie to prawdziwe. Zarazem nie odda jednak w żaden sposób fenomenu tego dzieła. To nie tylko manifest uczucia i zapis udanego poszukiwania piękna, lecz także wyraz tęsknoty za Francją, za Europą, których już nie ma. Może nawet – nigdy nie było, co zarzucają filmowi jego krytycy.

FOT. MAT. PRAS.

To obraz, który mógł dziś nakręcić chyba tylko twórca pochodzący z Azji, Europejczykowi nie wystarczyłoby na niego ani odwagi, ani nawet wyobraźni.

Filmografia

Trần Anh Hùng w biografiach przedstawiany jest jako „wietnamski reżyser i scenarzysta filmowy, tworzący we Francji". To jednak pewne uproszczenie. Hùng rodzinny kraj opuścił już jako 12-latek w momencie ostatecznej wygranej komunistów w wojnie wietnamskiej. Filmy zaczął robić oczywiście dużo później, debiutował dopiero w wieku 30 lat. Jego pierwszy pełny metraż przyniósł mu pewien rozgłos. „Zapach zielonej papai" dzieje się w Wietnamie, lecz kręcony jest w dużej części we Francji. Główną rolę reżyser powierza swojej żonie. Już w debiucie widać pierwsze zapowiedzi wrażliwości, która stanie się znakiem charakterystycznym Hùnga i która zdecyduje o wyjątkowości „Bulionu…". Film okazał się mocnym wejściem w świat branżowych festiwali i przyniósł swojemu twórcy Złotą Kamerę dla najlepszego debiutującego reżysera na festiwalu w Cannes, dostał też nominację do Oskara w kategorii najlepszego nieanglojęzycznego obrazu. Dłuższy czas Trần Anh Hùng w swoim kinie odkrywa historie rozgrywające się w regionie jego urodzenia. Nie ogranicza się przy tym do Wietnamu. Kryminalny „Ryksiarz" dzieje się w Hongkongu, mroczny thriller „Przychodzę z deszczem" w Hongkongu i na Filipinach, a „Norwegian Woods", wbrew tytułowi, to dramat rozgrywający się w Japonii. O ile pozostałe wymienione filmy to koprodukcje z francuskim udziałem, „Norwegian Woods" to produkcja japońska, dzięki której Hùng wylądował nawet w dość licznych serwisach, oferujących piracki dostęp do azjatyckich dzieł filmowych. Film ma też na koncie kilka nagród.

Przedostatni obraz Hùnga, „Wieczność", spotkał się z trochę chłodniejszym przyjęciem niż wcześniejsze dzieła. To najbardziej europejski z dotychczasowych filmów, powstały w koprodukcji francusko-belgijskiej, rozgrywający się na zachodzie i obsadzony przez białych aktorów. Rozłożona na pokolenia opowieść o spotykaniu się, zakochiwaniu, płodzeniu dzieci i umieraniu dla wielu była zbyt prosta i zbyt cukierkowa, zarazem jednak chwalono piękno warstwy wizualnej i – pomimo wcześniejszych zastrzeżeń – w jakimś stopniu również narracyjnej. Wszystko to wskazuje, że film, po którym wietnamski artysta zrobił sobie kilka lat przerwy, w pewnym stopniu przygotował grunt pod „Bulion i inne namiętności" – i dla Hùnga, i dla odbiorców jego kina.

Profanum nabiera cech sacrum

Choć polska premiera tego ostatniego filmu miała miejsce niedawno, na francuskie ekrany trafił on dużo wcześniej, w listopadzie 2023 roku. Jeszcze wcześniej Hùng zdobył za niego kolejną nagrodę w Cannes, tym razem już jako najlep-

eprasa.pl 8cb269c4d

szy reżyser. Film został też kandydatem Francji do Oscara. Co ciekawe, większość krytyków spodziewała się innej decyzji i stawiała na thriller „Anatomia upadku". Finalnie jednak to właśnie „Anatomia upadku" zdobyła najbardziej znaną w świecie filmu nagrodę, tyle że za najlepszy oryginalny scenariusz, a nominowana była jeszcze w kategoriach „najlepsza reżyseria", „najlepszy scenariusz" i „najlepsza aktorka". „Bulion…" natomiast nie został doceniony i nie otrzymał nominacji w konkursie międzynarodowym. Spodobał się jednak widzom i sporej części krytyków, dziś również polskich. Są i narzekania, ale o nich później.

„Bulion i inne namiętności" to ekranizacja powieści Marcela Rouffa „Życie i pasja Dodina Bouffanta", powstałej w latach 20. ubiegłego wieku, a rozgrywającej się w drugiej połowie XIX wieku. Dodin Bouffant (w tej roli Benoit Magimel) jest znanym na całą Francję smakoszem, wyśmienitym kucharzem i kulinarnym gawędziarzem, który w swej posiadłości wydaje regularne uczty dla przyjaciół, również fascynatów znakomitej kuchni. Bouffant sprawnie przemieszcza się przy tym między sceną a kulisami, równolegle doglądając kuchni, jak i podejmując gości. Jednak w tym kluczowym dla filmu pomieszczeniu ważniejszy jest ktoś inny – Eugenie, w którą wciela się Juliette Binoche. Kucharka, dzieląca z panem domu pasję do kulinariów i, jak najpierw się domyślamy, a później wiemy już na pewno, także łoże. To drugie jednak tylko od czasu do czasu, co Dodina prowadzi w kierunku powracających myśli o małżeństwie. Eugenie jednak nie ma na nie ochoty, pasuje jej trwający latami układ. Nim jednak dojdziemy do warstwy emocjonalnej, czeka nas pół godziny w kuchni, gdzie obserwować będziemy przyrządzanie rozmaitych potraw.

Film będzie nasycony smakiem, obraz kolorem, a wszystko emocją, która zapewne poprowadzi widza ku własnym wspomnieniom kulinarnym i refleksjom nad kondycją dzisiejszej kuchni czasów diet pudełkowych i street foodu. Gotowanie, smażenie, pieczenie stanie się tu celebracją, rytuałem, czymś pełnym emocji i piękna, profanum nabierze cech sacrum. Potem przeniesiemy się do pokoju, gdzie gospodarz wydaje swą ucztę, i stopniowo zaczniemy poznawać nici fabuły. Tych będzie kilka: dziewczynka z sąsiedztwa okaże się samorodnym wielkim talentem, tajemniczy książę Eurazji rozpocznie specyficzny kulinarny pojedynek z Dodinem, a Eugene… ona w pewnym momencie ulegnie namowom, tyle że w tę idealną historię wkradnie się ostatecznie i trochę cienia.

▶ Ważne spotkanie po latach

Wyjątkowe w tym filmie jest nie tylko tak głębokie ukazanie jedzenia, przeganiające każdy program kulinarny (choć właśnie z tą estetyką w wersji skrajnie wysmakowanej się kojarzące), lecz także wydobycie piękna ze wszystkiego, co tylko Trần Anh Hùng postanowi nam pokazać. Nie tylko z potraw i procesu ich tworzenia (słowo „przygotowanie" wydaje się zbyt płytkie, obcujemy ze Sztuką), lecz z każdego fragmentu krajobrazu, każdej smugi słonecznego światła, wreszcie z każdej relacji międzyludzkiej. Piękna jest – przepełniona dojrzałym zrozumieniem i dzieleniem pasji – miłość Dodina i Eugene, piękna jest przyjaźń, piękne jest też pożegnanie i przeżycie późniejsze. Film jest w tym aspekcie dziełem wręcz religijnym, zresztą jedna z myśli św. Augustyna okazuje się życiowym motto głównego bohatera.

Momentami widz spodziewa się, że za chwilę wydarzy się coś niepokojącego, że idylla zostanie zburzona. Że na ekranie zobaczymy obraz wyzysku, wykorzystywania nierówności klasowej, a może jakiś wysoce niestosowny rozwój relacji mistrza i jego uczennicy – i nie dzieje się nic. Ba, nawet wtedy, gdy nasza kochająca się para potrzebuje trochę więcej intymności, kamera dyskretnie opuszcza pokój. Tu warto dodać, że wątek uczucia filmowej pary ma jeszcze jeden, wyjątkowy wymiar. Binoche i Magimel przed laty faktycznie byli parą, mieli też razem dziecko, lecz ich związek nie przetrwał próby czasu. Gra u Hùnga pozwoliła im przepracować po latach dawne rozstanie i nawiązać na nowo jakąś formę znajomości. To zaś okazało się bardzo ważne dla córki, która pierwszy raz zobaczyła swoich rodziców razem, w ciepłej, ludzkiej relacji. Filmowa magia wywarła więc dobry wpływ na prawdziwe życie.

▶ Obraz wręcz kojący

Jak wspomniałem, „Bulion i inne namiętności" spotkał się również z krytyką. Odnotować ją trzeba nie tylko z obowiązku, lecz także dlatego, że argumentacja przeciwników filmu dla naszych czytelników będzie raczej zachętą niż ostrzeżeniem. W czasach niemal obowiązkowej ideologii „woke" w każdej dziedzinie sztuki, wietnamsko-francuski twórca idzie zupełnie w poprzek tej fali. To film społecznie wręcz usypiający, kojący. Jak już pisałem, nie znajdziemy tu śladów przemocy – ani fizycznej, ani ekonomicznej, jest natomiast przenikający społeczne nierówności wzajemny szacunek. Eugene może wyjść z kuchni, lecz jeśli tam zostaje, czyni to z własnego wyboru. Na warstwę kulinarną narzekają z kolei wegetarianie. Faktycznie, kuchnia na ekranie jest bardzo mięsna, mięso zaś ukazane jest w sposób bardzo estetyczny i romantyzujący. Dla niektórych będzie to więc romantyzacja i estetyzacja przemocy, jaka za zdobywaniem mięsa, tu niepokazanym, się kryje. Faktycznie, jeśli ktoś spodziewałby się przebicia stołowej sielanki obrazami rzezi, będzie zawiedziony. Przyroda w tym filmie jedynie oddaje, nie broni się i nie ucieka. Ludzie karmią, jedzą, kochają się i przyjaźnią, słabną i odchodzą, z godnością i w harmonii. To nie jest „Wielkie żarcie", a najpiękniejsza uczta, w której francuska i europejska tradycja spotykają się z azjatycką wrażliwością i dbałością o każdy szczegół. Być może ta atrakcyjność tradycji „uprzywilejowanego białego mężczyzny" dla przybysza z innej części świata, to prawdziwe i udane multi-kulti tak bardzo odrzuca lewicowych krytyków „Bulionu". Dla reszty wszystko to jest tak szalenie wciągające, że pozostaje kupić bilet do kina i życzyć sobie smacznego. ■

eprasa.pl 87cb269c4d

Marek Kalinowski

Gdy wraca radość

Do muzyki Nicka Cave'a i The Bad Seeds po wielu latach powraca radość. Album „Wild God" to poruszająca opowieść o sile miłości i wiary, wbrew najtrudniejszym doświadczeniom.

Wydawnictwem „Wild God" Nick Cave z zespołem świętują czterdziestolecie wydania pierwszej swojej płyty. W skrojonym na miarę garniturze, perfekcyjnie ułożonymi czarnymi włosami i przenikliwym niebieskim spojrzeniu lider The Bad Seeds nie wygląda jednak ani na swój wiek, ani na gwiazdę rocka. Jest muzykiem, filozofem, pisarzem, ostatnio tworzy nawet ceramikę. Uwielbia słuchać pieśni starych mistrzów: Elvisa Presleya, Krissa Kristoffersona czy Jimmy'ego Webba, a sam ze swoim głębokim barytonem mógłby uchodzić za alternatywną wersję jednego z nich. Dawne pieśni „zbierają okruchy potrzaskanego życia i składają je w spójną całość" – wyjaśniał Cave w doskonałej książce „Wiara, nadzieja i krwawa łaźnia", długiej rozmowie, którą przeprowadził z nim Seán O'Hagan. „Ratowanie tego co się da i opowiadanie swojego życia na nowo" jest też chyba najlepszą ścieżką do zrozumienia jego najnowszej twórczości.



Nick Cave & The Bad Seeds, WiLD GOD, PIAS Recordings

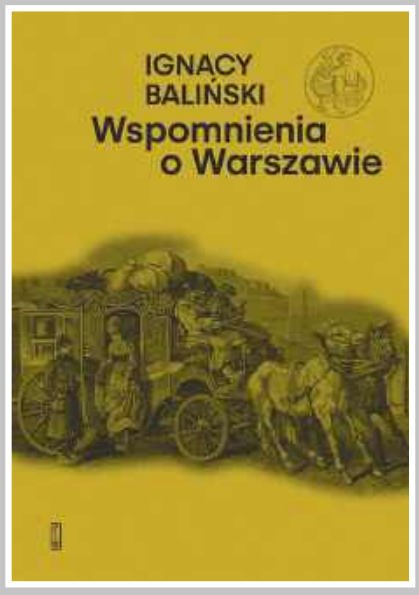
„Wild God" to bowiem kolejna płyta po „Skeleton Tree" oraz „Ghosteen", w której Cave układa swój świat na nowo po śmierci najbliższych osób, a zwłaszcza po tragedii sprzed dziewięciu lat – gdy w wypadku na klifach w Brighton zginął jego nastoletni syn Arthur. Ten tryptyk bardzo różni się od wcześniejszej twórczości australijskiego barda, więcej tu improwizacji, a zdecydowanie mniej gitarowego hałasu i alternatywnego rocka. Poszukiwanie nowego muzycznego języka wiąże się nie tylko z życiowymi doświadczeniami, lecz także ze zmianami w samym zespole, gdy miejsce gitarzysty Micka Harveya zajął multiinstrumentalista i kompozytor Warren Ellis – roztaczający coraz większy wpływ na The Bad Seeds i samego Cave'a.

Album „Wild God" to także, po bardzo mrocznych płytach, wyjście na nowe światło, powrót ku nadziei i radości. Cave dzieli się ze słuchaczami bardzo osobistymi doświadczeniami, zapisanymi w przewrotnej, poetyckiej formule. Piosenka „Frogs" jest przepiękną opowieścią o powrocie do domu, po miesiącach rozpaczy, gdy nieoczekiwanie w deszczowy niedzielny poranek nieśmiało powraca uśmiech. Utwór „Conversion" jest zaś opisem przejścia od żałoby do radości, ekstazy i uwielbienia. „Jesteś piękna!" – śpiewa Cave wraz z chórem do ukochanej, a my możemy z podziwem i zachwytem towarzyszyć w tym wspaniałym procesie przejścia. Radość wraca nie tylko do słów, lecz także do kompozycji. Rytmikę The Bad Seeds przywraca powrót perkusisty Thomasa Wydlera oraz wypożyczony z Radiohead basista Colin Greenwood. Miks Davida Fridmanna sprawia zaś, że emocje powierzonych mu nagrań sięgają zenitu.

Miłość i Bóg – ulubione tematy Cave'a – pojawiają się w zdecydowanie cieplejszych barwach. Wiara i nadzieja nie są jednak dane raz na zawsze, a raczej coś, czego się czasem doświadcza i o co nieustannie należy zabiegać. „Wiara jest silna wątpieniem" – mówi Cave w książce O'Hagana. „Intuicyjne przeczucia boskości, delikatne, niepewne i ulotne poszerzają moje związki ze światem. Zwłaszcza gdy idzie o twórczość". Tak samo krucha jest tu radość, nieśmiało wyglądająca z bezradnego cierpienia. Jak bardzo te biegunowe uczucia kontrastują na „Wild God", poczujemy w miłosnej pieśni „O Wow O Wow (How Wonderful She Is)". Taneczna, beztroska melodia ukrywa wspomnienie dawnej kochanki i bliskiej przyjaciółki Cave'a, a także członkini The Bad Seeds Anity Lane. A gdy z uroczego utworu dobiega niespodziewanie nagrany na telefoniczną sekretarkę głos bohaterki, serce zamiera w smutku. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 87cb269c4d



Ignacy Baliński, „Wspomnienia o Warszawie", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2024

Krzysztof Wołodźko



Opowieść o dawnej Warszawie

Gdy myślimy o Warszawie, nasza uwaga skupia się często na mieście, które dziś znamy. Historycznym punktem odniesienia jest gehenna powstania 1944 roku, niemiecka próba wymazania stolicy Polski z map świata. Tym bardziej powinniśmy troszczyć się o ciągłość pamięci, którą hitleryzm chciał unicestwić, a stalinizm zdeformować. „Wspomnienia o Warszawie" Ignacego Balińskiego przypominają Warszawę końca XIX wieku, jej polski żywioł, który obronił się przed rosyjską despotią.

eprasa.pl 87cb269c4d

Państwowy Instytut Wydawniczy wznowił w tym roku najpiękniejszą XX-wieczną gawędę o stolicy Polski. „Wspomnienia o Warszawie" Ignacego Balińskiego, opatrzone przedmową z wydania z 1946 roku pióra Zygmunta Nowakowskiego, to pierwszy tytuł opublikowany w ramach reaktywowanej Biblioteki Syrenki. Tym cenniejszy, że to edycja bez komunistycznej cenzury. Baliński, prawnik z wykształcenia, dziennikarz, publicysta i pisarz, jeszcze przed 1918 rokiem był wiceprezesem Polskiej Macierzy Szkolnej. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę piastował urząd sędziego Sądu Najwyższego i prezesa rady miejskiej Warszawy. Był także senatorem z ramienia Narodowej Demokracji. Po tragedii wrześniowej 1939 roku zamieszkał w Anglii, do komunistycznej Polski nie wrócił. Dodajmy, że urodził się w 1862 roku w majątku Reginów w Ziemi Nowogródzkiej na dzisiejszej Białorusi, który dawno zamienił się w uroczysko. Tam jako dziecko miał Niemkę i Szwajcarkę za nauczycielki, uczył się polskiego i francuskiego, religii, mitologii, historii powszechnej i polskiej, muzyki i geografii. Zmarł w 1951 roku w miasteczku Sudbury na Wyspach.

Warszawa. Niespełniona wizja

Warszawa nie była rodzinnym miejscem autora „Wspomnień…". Wżył się w nią od lat szkolnych. Nowakowski przypomina: „Gdy Baliński zacznie chodzić do szkoły w Warszawie, jej bruk jeszcze tętni echem dawnym i przejmującym. To gra, strącony z okien pałacu Zamoyskich, fortepian Chopina. Miasto jest barwy szarej i czarnej, grottgerowskie na wskroś". Nad miastem góruje Cytadela, „zbudowana na przestrzeni dwustu pięćdziesięciu hektarów", przygniatając miasto, duszące się „w żelaznym pierścieniu fortyfikacji, poza których pasem nie wolno było ani budować domów, ani nawet sadzić drzew". Dziś to miejsce odczarowuje, przywraca wspólnej pamięci i tożsamości Muzeum Historii Polski, górując nad resztkami rosyjskiego upiora, jak on niegdyś górował nad stolicą pognębionej Rzeczypospolitej. Dodaje Nowakowski rzecz ważną: „Gdy mały Baliński przyjechał do Warszawy, liczyła ona mniej niż pół miliona mieszkańców. Gdy z niej wyjeżdżał na tułaczkę powrześniową, miała mieszkańców milion trzysta tysięcy. Rozpostarta szeroko, wciągnęła w swą orbitę trzydziestokilometrowy pas »regionu stołecznego«. Była stolicą, której Lesseps, twórca Kanału Sueskiego, słusznie prorokował przyszłość wspaniałą, jako miastu leżącemu w centrum, w samym sercu Europy". Niestety, to wciąż niespełniona wizja. Ale nie miejsce po temu, by mówić, dlaczego Warszawa z czasów PRL i III RP nie mogła i nie może dojrzeć do pełni geopolitycznej i cywilizacyjnej wielkości.

Baliński nie opisuje Warszawy ostatnich dekad XIX wieku w martyrologicznej manierze. On chce pokazać nam miasto, przywrócić ciężar skruszałej już materii, tchnąć życie w ulotność, która śmiertelnym zawsze wydaje się tak ważna, dopóki sami w niej uczestniczą. Raz jeszcze skorzystam z pomocy Nowakowskiego, który również nigdy nie wrócił do Polski po wrześniu 1939 roku. Krakowski pisarz i felietonista tak pisze: „Książka Balińskiego to podszewka Prusa, zwłaszcza »Lalki«. To realia tej powieści". Gawędziarz „prowadzi nas za rękę. Koneser niebywały. O, tu dostaniesz chleba! Takiego, że mu żaden chleb w świecie nie dorówna. Jak pachnie ten chleb? Jak trzeszczy jego skórka! Trzeszczy? Włosi mówią o chlebie: »Il pane canta«; chleb, powszedni, chleb za ileś tam groszy, którym nas karmi Baliński, ten chleb naprawdę śpiewa". My jednak wiemy coś więcej – redaktor „Życia Warszawskiego" karmi nas swoimi wspomnieniami, dzieli się hojnie nie okruchami, ale rzetelną, godną podziwu pamięcią o rzeczach byłych i minionych. Z opornej materii wydobywa jak najwięcej szczegółów, mnóstwo wydobytych ze śmiertelnego cienia drobiazgów. Dowiadujemy się, że posiłek studencki w Warszawie końca XIX wieku to 40 kopiejek. Wszystko wraca: dawne kamienice i ulice, meble, dywany, sklepy, serdelki, trzewiczki, fiołki w rękach ulicznego sprzedawcy, a nawet duch zmarłej przed rokiem dziewczyny.

Sen o Warszawie

Dodajmy ważną rzecz – tymi wspomnieniami Baliński leczył swoją duszę. To jego ożywczy sen o Warszawie. Skrupulatność idzie w parze z serdecznością – autor kocha miasto, do którego jeszcze jako dzieciak przybył z Nowogródczyzny. Jego słowa rwą serce także dziś, gdy myśl o wojennych zawieruchach znów przestaje być czystą abstrakcją: „Przez pierwsze lata uchodźczego pobytu w gościnnej Anglii – przekroczyłem granicę państwa polskiego przez Mereczankę pod Oranami dnia 19 września 1939 roku – za ciężko mi było myśleć o przeszłości. Potem to się zmieniło, zagłębianie się w przeszłość zaczęło mi sprawiać ulgę. Zdawało mi się – i teraz mi się zdaje – jak gdybym coś wskrzeszał w świadomości swojej i innych. I zdaje mi się, że gdy wymieniam obok wielu ludzi wybitnych także ludzi zwykłych, lecz tworzących, każdy w swoim zasięgu, wspólną, nieśmiertelną duszę narodu, to jakbym ich ożywiał i z nimi obcował". Nie lubimy dziś patosu, traktujemy go podejrzliwie, nie bez powodów łatwo bierzemy za fałszywą monetę. Ale Baliński miał do niego pełne prawo. Nie tylko dlatego, że wstęp do wspo-

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 87cb269c4d

mnień pisał we wrześniu 1944 roku, gdy wieści płynące w świat z Warszawy pisane były krwią, trupim dymem, rozpaczą i ogniem. Zakorzeniał się w stolicy Polski kilkadziesiąt lat: „W słoneczny dzień sierpniowy 1873 roku w towarzystwie ojca […] wysiadłem po dwunastogodzinnej podróży koleją na Dworcu Terespolskim, zwanym później Brzeskim, na Pradze. Z tego samego dworca rankiem 6 lipca 1939 roku wyjeżdżałem z Warszawy prawdopodobnie po raz ostatni, bo wątpię, czy mi starczy życia na powrót do Kraju".

Jaka jest jego Warszawa? Gdy Baliński do niej zawitał, nie było jeszcze pomnika Adama Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu. A przed Pałacem Namiestnikowskim (dzisiejszym Pałacem Prezydenckim) straszył z cokołu Iwan Paskiewicz, książę warszawski i namiestnik Królestwa Polskiego. Autor, niczym starożytny filozof, wędrując we wspomnieniach przez miasto, nadaje bieg myślom: opisuje kamienice i oficyny, pałacyki i klasztory, a dochodzi do gimnazjum rządowego, pokazuje nam wysypujących się z bramy uczniów w mundurkach. I od ich strojów przechodzi do mody damskiej i męskiej: suknie pań były szerokie i długie, kapelusze z długą woalką kształtu talerza z kwiatami, panowie jesienią i zimą w cylindrach, latem w słomkowych nakryciach głowy: „Żaden szanujący się »gentelmen« nie mógł składać wizyt inaczej niż w zapiętym tużurku i z trzymanym w ręce cylindrem. Gdy podawano herbatę, musiał go stawiać pod krzesłem, ponieważ zaś nie wypadało zdejmować glansowanych rękawiczek, trzymanie filiżanki wymagało istotnej zręczności". Mężczyźni nosili też wąsy i brody: „Zarostu nie nosili tylko księża i aktorzy. Nie wolno go było także nosić służbie podającej do stołu, zwłaszcza garsonom restauracyjnym". Palono fajki na bardzo długich cybuchach, czasem cygara, zanikło już zażywanie tabaki, coraz częściej sięgano po papierosy, zdarzało się to też młodszym paniom, ale rzadko kiedy publicznie: „Panna ćmiąca papierosy uchodziła za emancypantkę".

Warszawa Balińskiego nie jest martwą scenerią. Pisarz pokazuje zmiany, jakie dokonały się w latach 1873–1886: miasto przeistacza się na jego oczach. Wskazuje następne okresy: „pierwszy do śmierci Aleksandra III (1894), uwieńczony rozpoczęciem budowy słynnego soboru i dzwonnicy na placu Saskim, drugi do reform politycznych w Rosji, wywołanych przegraną wojną z Japonią (1905), trzeci do wyjścia Moskali (1915)". Rzecz nie tylko w modzie i obyczajach. Dokonywały się zmiany technologiczne, cywilizacyjne. W latach 70. XIX wieku „dokuczały mieszkańcom rynsztoki, brak dobrej wody oraz kanalizacji ogólnej i domowej". Baliński chwali Sokrata Starynkiewicza, prezydenta Warszawy w latach 1875–1892, nazywając go „jedynym pośród wszystkich Moskali dobroczyńcą" miasta. Przypomina, że z wielkim trudem wywalczył on w Petersburgu zezwolenie „na urządzenie dobrych wodociągów i kanalizacji" i zatrudnił do ich projektu angielskiego inżyniera Williama H. Lindleya, a także zapewnił finansowanie przez wypuszczenie czteroprocentowej pożyczki kanalizacyjnej. Wspominając międzywojenną Warszawę, autor dodaje: „Słusznie w swoim czasie postanowiliśmy zachować w sali posiedzeń magistratu portret Starynkiewicza". Mówię o tym, bo rzecz dobrze pokazuje, że potrafimy jako Polacy docenić rzeczywiste zasługi także ludzi z wrogich nam narodów. Jednak tylko kolaboranci i tchórze wychwalają obcych panów dla samej zasady i z racji swojej służalczej, kompradorskiej mentalności.

▶ Priorytety carskich władz

Z gorzkim sarkazmem autor „Wspomnień o Warszawie" wskazuje na priorytety carskich władz. Pozwolę sobie na dłuższy cytat: „Oświetlenie elektryczne ulic, tramwaje elektryczne, windy, telefony, samochody – wszystko to zjawiło się już […] w wieku XX. Wtedy też dopiero rząd rosyjski, który dotąd budował tylko cerkwie, koszary i więzienia, wzniósł nowy budynek poczty na placu Wareckim, Bank Państwa na Bielańskiej i ogromny gmach Korpusu Kadetów imienia Suworowa przy końcu Alei Ujazdowskich (później nasza Szkoła Podchorążych). Wreszcie pozwolił gminie miejskiej na postawienie wspaniałego mostu u wylotu Alei Jerozolimskich". W tamtym też czasie, w znacznej mierze za sprawą oberpolicmajstra generała Kleigelsa, zaczęły powstawać w coraz tłoczniejszym mieście miejskie szalety „ku istotnej wygodzie publiczności, która dotąd, będąc na mieście, musiała w potrzebie poszukiwać właściwych ubikacji w głębi często zupełnie nieznanych sobie dziedzińców". Oberpolicmajster Kleigels ukrócił także swobodę – jak nazywa je Baliński – „perypatetyczek", czyli panien lekkich obyczajów, i zgromadził rozlane po mieście burdele na ulicy Towarowej koło Żelaznej. Jeśli któraś chciała wyzwolić się z okowów zarobkowania własnym ciałem, miała do pomocy słynne magdalenki, które uczyły dziewczęta „prac zarobkowych stosownych do uzdolnień": „od najpiękniejszych haftów do prania bielizny".

Baliński kreśli także narodową i społeczną panoramę Warszawy. Mówi o mieście pełnym kozaków z nahajkami w setną rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja. Przypomina, że każdego 3 maja młodzież tłumnie chodziła z fiołkami do Ogrodu Botanicznego, gdzie i dziś znajdziemy okazałe szczątki fundamentów Świątyni Opatrzności, której budowę uchwalił Sejm Czteroletni. Jak wyjaśnia, wśród studentów modne były wówczas: pozytywizm filozoficzny, mate-

eprasa.pl 87cb269c4d

rializm przyrodniczy, praca organiczna i szerzenie nauki i oświaty. To już epoka Aleksandra Świętochowskiego: „Stosunek do religii był wówczas obojętny, u niektórych nawet niechętny, ale zawsze broniący wobec prześladowań i zakusów rusyfikacyjnych rządu prawa Kościoła katolickiego, jako stróża odrębności narodowej i mowy polskiej w kazaniach, nauce katechizmu i modlitwach w najdalszych nawet zakątkach dawnej Rzeczpospolitej i wszędzie w Rosji, gdzie przebywali Polacy". Carska cenzura zdecydowanie broniła młodym Polakom dostępu do głośnego wówczas lwowskiego wydania utworów Juliusza Słowackiego, tym większe robiło ono wrażenie; czytano „Historię cywilizacji" Charlesa Seignobosa, autora znanego aforyzmu, że historię tworzy się z pomocą dokumentów. Zdaniem Balińskiego młodzi studenci mało znali „Kapitał" Karola Marksa, czytali za to kompletnie dziś zapomnianą „Kwintesencję socjalizmu" Alberta Schäffnego i rozprawy Ferdynanda Lassala, twórcy pierwszej w historii partii robotniczej.

„Wspomnienia o Warszawie" są piękną lekcją polskości, skrzętną gawędą. Żadna ze stronic tej książki nie nuży, każdy drobiazg, mała sprawka, bezimienne postaci znajdują dopełnienie jako część wielkiej, polskiej opowieści.

Piękna lekcja polskości

Baliński, przybysz z Ziemi Nowogrodzkiej, opisując Warszawę, uległ niewinnej pokusie – na kilkunastu kartach przedstawił życie prowincjusza w drodze do wielkiego miasta. Świetnie to rozumiem, bo my wszyscy, którzy do wielkich miast przyjechaliśmy z wiosek i z miasteczek, dobrze wiemy, że to nieodłączna część polskich biografii. Stąd są u niego koleje żelazne, dworce, gościńce i stacje pocztowe, zajazdy i karczmy. I pamiątki polskości, których nie odzyskamy już w dawnym kształcie, co najlepiej rozumiemy, jeśli nasze rodzinne korzenie sięgają tamtych stron. W podrozdziale „Pożegnanie Świtezi" autor wspomina: „Na miejscu spalonej w roku 1916 tak pamiętnej mi starej karczmy [w folwarku Miratycze – przyp. K.W.] stanął staraniem Towarzystwa Turystycznego i Krajoznawczego dworek, naśladujący historyczny dom w Mereczowszczyźnie, w którym się urodził Tadeusz Kościuszko, z nieźle zaopatrzoną restauracyjką i paru pokojami gościnnymi. Stał się on jakby centralnym punktem »szlaku mickiewiczowskiego«, tym bardziej że oddalony o parę kilometrów Czombrów najwięcej przypominał dwór soplicowski według opisu w »Panu Tadeuszu«".

Jego Rzeczpospolita rozciąga się szeroko, od wschodnich województw, po majątki krewnych w Wielkopolsce, ale myśl wraca ostatecznie „do równie drogiej, jak strony rodzinne, Warszawy". A tam hotele, restauracje i cukiernie. A przy stolikach dziennikarze, adwokaci i literaci; wskrzesiciel Cypriana Norwida Zenon Przesmycki i doktor Stanisław Słonimski, ojciec poety, który miał ponoć służyć Bolesławowi Prusowi jako pierwowzór doktora Szumana z „Lalki". W cukierniach flirtowano i drwiono z bliźnich. I politykowano – wedle obyczajów, które przypominają nieco dzisiejsze social media: w cukierni pod filarami Teatru Wielkiego „zbierali się tzw. politycy od Lourse'a, którzy podawali sobie wzajemnie różne nowości i »tajemnice« wielkiej polityki europejskiej, krytykowali ją bezlitośnie i snuli takie horoskopy, że gdyby przypadkiem doszły do Berlina, ostatnie trzy włosy Bismarcka stanęłyby dęba na łysinie, a sterczące wąsy Wilusia opuściły się na dół. Ale dostawało się tam i bliższym potęgom!". Myśl Balińskiego biegnie zaraz dalej, ku warszawskim księgarniom, kwiatom, zegarom i szwalniom, serowarom, rzeźnikom, nauczycielkom, by znów zahaczyć rodzinne strony i spotkanie Ignacego Domeyki z Antonim Odyńcem w Warszawie, Baranowiczach i Ziemi Nowogródzkiej. Ale i stamtąd – choć przez Amerykę – Baliński wraca nad Wisłę.

„Wspomnienia o Warszawie" są piękną lekcją polskości, skrzętną gawędą. Żadna ze stronic tej książki nie nuży, każdy drobiazg, mała sprawka, bezimienne postaci znajdują dopełnienie jako część wielkiej, polskiej opowieści. To polskość najnormalniejsza, w dobrych proporcjach złożona i z rzeczy prozaicznych, i wzniosłych. Zygmunt Nowakowski powiada, że miasto Balińskiego da się przełożyć na film. Myślę, że dałoby się na podstawie tej książki ułożyć mądrą multimedialną wystawę w Muzeum Historii Polski. Dla dobra naszej pamięci i na pohybel Cytadeli. ■

eprasa.pl 87cb269c4d

Hanna Shen



Przed wyborami. Chińczycy ostrzegają USA przed marksizmem



Urodzeni w Chinach obywatele USA znów, jak przed wyborami prezydenckimi w 2016 roku, przestrzegają Amerykanów przed komunizmem, nową rewolucją kulturalną i politykami, którzy są pod wpływem komunistycznych Chin.

FOT. ANIBAL MARTEL/PAP/EPA

W wyborach prezydenckich w USA w 2016 roku wiele osób z chińskiej społeczności mieszkającej w Ameryce mówiło otwarcie, że głosuje na Trumpa, bo ten zapowiedział unieważnienie zalecenia prezydenta Obamy dla szkół w sprawie zapewnienia transseksualnym uczniom swobody wyboru toalety, która najlepiej odpowiada ich tożsamości płciowej. Chińczycy rozumieli, że wybór Hillary Clinton oznaczał kontynuację marksistowskiej rewolucji obyczajowej oraz doprowadzenie do tego, iż ich dzieci nie będą bezpieczne w szkołach i będą narażone na nękanie, a nawet na napaści na tle seksualnym. Pod rządami duetu Biden–Harris ta rewolucja niestety przyspieszyła.

„Wolność jest krucha"

Xi Van Fleet mówi o sobie, że jest „Chinką z urodzenia, a Amerykanką z wyboru" i że „przeżyła rewolucję kulturalną Mao i dlatego jest obrończynią wolności". W 1986 roku w wieku 26 lat na wizie studenckiej przybyła do USA. Tu ukończyła bibliotekoznawstwo na jednym z katolickich uniwersytetów i przez lata zajęta była prowadzeniem domu i rozwojem swojej kariery. Przyglądając się m.in. temu, co działo się w szkołach, do których uczęszczał jej syn, doszła do wniosku, że coś jest nie tak w kraju, który wybrała jako swój nowy dom, uciekając przed komunizmem w Chinach. Przyznaje, że początkowo podobnie jak wielu Amerykanów traktowała wolność jako coś oczywistego. Z czasem zrozumiała, że było to błędne myślenie, „bo wolność jest krucha i wymaga od nas ciągłego czuwania. Jesteśmy o krok od utraty wolności na rzecz totalitaryzmu, jeśli nie będziemy walczyć w jej obronie" – twierdzi Xi. Rok 2020 był dla niej szczególnym rozgoryczeniem. To wtedy miały miejsce w USA rozruchy organizowane przez Black Lives Matter (BLM) i Antifę. Radykalni postępowcy palący i terroryzujący amerykańskie miasta w imię sprawiedliwości społecznej i rasowej sprawili, że wróciły jej własne okrutne wspomnienia z chińskiej rewolucji kulturalnej i Xi zaczęła mieć wrażenie, że marksistowska rewolucja, która 50 lat wcześniej zniszczyła jej miejsce urodzenia, teraz wprowadza destrukcję w Stanach Zjednoczonych.

Rewolucja kulturalna w USA

Często pytana przez konserwatywne media w USA, jak opisałaby rewolucję kulturalną Mao, Xi Van Fleet mówi, że właściwie wystarczy jedno słowo: chaos. „To był rzeczywiście świat wywrócony do

prasa.pl 67cb269c4d

góry nogami, pełen szaleństwa i przemocy. Rzeczy, które uważaliśmy za oczywiste, zostały potępione jako burżuazyjne i kontrrewolucyjne i należało je anulować lub zniszczyć. Poproszono nas o zakwestionowanie wszystkiego, co tradycyjne. Powiedziano nam, że wśród nas są wrogowie Mao (ciemiężyciele), do których mogą należeć nasi przyjaciele, sąsiedzi, członkowie rodziny, a nawet rodzice, i że musimy ich zdemaskować i donosić na nich" – powiedziała Xi w wypowiedzi dla portalu Hachette Book Group. Przypomina też, że w Chinach Mao obowiązywał tylko jeden zestaw poglądów – tych zgodnych z linią Komunistycznej Partii Chin.

W dzisiejszej Ameryce zarażonej wirusem wokeizmu (ideologii przebudzenia) też są jedynie słuszne poglądy, ale jeśli ma się własne odmienne zdanie, to, jak mówi Xi, otrzymuje się łatkę „rasisty, bigota albo ekstremisty". Tak samo jak za Mao, dziś w USA walczy się z tradycją, pogłębia się podziały w społeczeństwie, ustawia się jednych przeciw drugim, a młodzież poddaje się indoktrynacji. Xi Van Fleet uważa, że rewolucja marksistowska w Chinach i ta dziejąca się teraz w USA stosują te same środki i mają te sam cel: chodzi o władzę absolutną dla nielicznych, tak aby rządzili większością.

▶ Moja historia to ostrzeżenie dla Amerykanów

Ameryka po raz pierwszy usłyszała o Xi Van Fleet w 2021 roku, kiedy ta niepozorna Chinka wystąpiła na zebraniu rady szkolnej hrabstwa Loudoun w stanie Virginia. Jej przemówienie bardzo szybko rozeszło się w internecie. „Jestem bardzo zaniepokojona tym, co dzieje się w naszych szkołach" – mówiła wtedy członkom rady szkolnej. „Teraz uczycie i szkolicie nasze dzieci, aby były wojownikami sprawiedliwości społecznej i nienawidziły nasz kraj i naszą historię. Dorastałam w Chinach i wszystko to brzmi bardzo znajomo. Reżim komunistyczny użył tej samej krytycznej teorii, aby podzielić ludzi. Jedyna różnica polega na tym, że użył klasy zamiast rasy. To rzeczywiście jest amerykańska wersja chińskiej rewolucji kulturalnej".

I Xi ma rację – dziś amerykańska młodzież indoktrynowana jest krytyczną teorią rasy (CRT), według której rzeczywistość to nie walka klas, a starcie pomiędzy poszczególnymi rasami. W USA każdy aspekt ludzkiej aktywności jest oceniany z rasowego punktu widzenia, a to w rzeczywistości tylko utrwala podziały rasowe i wzmacnia nienawiść. „Krytyczna teoria rasy ma swoje korzenie w kulturowym marksizmie. Nie powinno być na nią miejsca w naszych szkołach" – alarmowała Xi Van Fleet w swoim przemówieniu. I kończyła: „Dla mnie i wielu Chińczyków bolesne jest to, że uciekliśmy przed komunizmem, a teraz go tutaj doświadczamy".

Po tym wystąpieniu Xi zaczęła być zapraszana do wielu konserwatywnych programów, m.in. w stacji Fox News. Opowiada tam o swoich przeżyciach w komunistycznych Chinach. O tym, że gdy w Państwie Środka rozpoczęła się rewolucja kulturalna, ona miała 6 lat. Wtedy w szkołach szybko pojawiły się „wielkie plakaty", na których uczniowie mogli pisać krytykę pod adresem każdego, kto był uznany za ideologicznie nieczystego. „Jedną z nauczycielek uznano za element burżuazyjny, ponieważ lubiła nosić ładne ubrania" – powiedziała Van Fleet w wywiadzie dla Fox News. „Więc uczniowie zaatakowali ją i opluli.… i wkrótce doszło do przemocy". Xi opisuje, czym jest myślozbrodnia, za którą można było stracić życie za Mao Zedonga.

Chinka przyznaje, że nie widziała siebie w roli aktywistki ani mówczyni, ale doszła do wniosku, że jej obowiązkiem jest ostrzec Amerykanów przed niebezpieczeństwami marksizmu i komunizmu, dzieląc się z nimi swoimi doświadczeniami życia w czasach chińskiej rewolucji kulturalnej i wskazując na podobieństwa pomiędzy tym, co działo się za czasów Mao i co teraz wprowadza się w USA. Pierwszą rzeczą, jaką zrobili hunwejbini Mao – powiedziała w 2021 roku portalowi Independent Women's Forum – „było zniesienie organów ścigania. Nie było to pozbawianie finansowania policji, ale coś podobnego. Po zlikwidowaniu organów ścigania nikt nie był w stanie powstrzymać hunwejbinów. Oni byli jak dziś BLM i Antifa. Co widzieliśmy na ulicach amerykańskich miast w 2020 roku? Widzieliśmy przemoc, zamieszki, grabieże i pożary – podobnie działali hunwejbini podczas rewolucji kulturalnej".

▶ Kamala Harris jak Mao

Xi Van Fleet ostrzega Amerykanów przed marksizmem i wskazuje też na podobieństwa w hasłach głoszonych przez Mao Zedonga i przez obecnych czołowych polityków USA. To Mao zapoczątkował wielką kampanię cancel culture (kulturę unieważniania). Chciał anulować wszystko to, co nie było komunizmem. Nazwał to „czterema starymi rzeczami", a chodziło tu o tzw. cztery przeżytki burżuazyjnego społeczeństwa: stare idee, starą kulturę, stare zwyczaje i stare nawyki, które należało wykorzenić. Xi ostrzega Amerykanów, że podobnie mówi Kamala Harris, którą Chinka otwarcie nazywa komunistką. Mówi, że kiedy po raz pierwszy usłyszała często powtarzaną przez Harris frazę o tym, „co może być nieobciążone tym, co było", to nie wiedziała, o co chodzi. Jednak z czasem dotarło do niej, że to nic innego

eprasa.pl 87cb269c4d

jak inna wersja idei Mao „czterech starych rzeczy", bo Harris tak naprawdę chodzi, jak mówi Xi, o „unieważnienie naszej przeszłości, abyśmy zapomnieli o naszej historii, naszej tradycji, naszym dziedzictwie i żebyśmy zapomnieli, skąd się wywodzimy".

Zostałem republikaninem dzięki Reaganowi

Solomon Yue tak jak Xi Van Fleet urodził się w Chinach, przeszedł przez horror rewolucji kulturalnej i przybył do USA na wizie studenckiej. Dziś jest wiceszefem organizacji Republikanie za granicą i członkiem Narodowego Komitetu Partii Republikańskiej. Solomon pochodzi z rodziny o głębokich chrześcijańskich korzeniach, posiadającej krawiecki biznes w Szajghaju. Byli to więc chrześcijańscy kapitaliści – czołowi wrogowie Mao Zedonga i jego hunwejbinów. Solomon Yue mówi, że już w wieku 7 lat, gdy zobaczył hunwejbinów wkraczających do jego rodzinnego domu i kradnących, co było pod ręką, wiedział, że nie ma dla niego miejsca w „marksistowskim raju". Jako młodzieniec został zesłany przez KPCh na wieś w celu reedukacji, ponieważ kwestionował wyższość socjalizmu nad kapitalizmem. Dziadek Solomona, który uciekł do Hongkongu, postanowił uratować wnuka i przez wpływowego amerykańskiego znajomego, także chrześcijanina, załatwił mu stypendium do USA. Gdy młody Yue trafił do Ameryki, znał tylko dwa zwroty po angielsku „Thank you" i „Coca-Cola", ale szybko zaczęła go wciągać amerykańska polityka. W USA trwała właśnie kampania prezydencka. Jimmy Carter walczył z Ronaldem Reaganem, a Komunistyczna Partia Chin wyraźnie wspierała kandydata demokratów. Solomon Yue od razu wiedział, że jego wyborem są Reagan i republikanie. „Zostałem republikaninem dzięki Ronaldowi Reaganowi, dzięki jego polityce zagranicznej i szerzeniu przez niego wolności" – powiedział w jednym z wywiadów Yue.

Harris i Walz to komunizm i chińskie wpływy

Dziś Solomon Yue tak jak Xi Van Fleet ostrzega Amerykanów, że pod rządami Kamali Harris Ameryka pogrąży się w komunizmie, i zwraca uwagę na działania dezinformacyjne prowadzone w USA przez chińską agenturę. Jej celem jest m.in. utwierdzanie Amerykanów w przekonaniu, że pod rządami Donalda Trumpa Ameryka stanie się dyktaturą. Taka narracja to oczywiście działania służące dyskredytacji Trumpa, ale jednocześnie mające zastraszyć Amerykanów.

Wierny od lat 80. republikanom Yue jest także bardzo wyczulony na chińskie wpływy na amerykańskich polityków, na przykład na kandydata demokratów na stanowisko wiceprezydenta USA Tima Walza, który już od lat 80. odbywał częste wizyty w ChRL. Te obawy Yue potwierdzają inni eksperci ds. Chin, przypominając m.in., że do 2003 roku przez co najmniej 10 lat Walz zabierał do Chin na wycieczki uczniów z amerykańskich szkół średnich. Wyprawy były w dużym stopniu finansowane przez stronę chińską, a podczas nich Walz miał prosić uczniów, by nie podkreślali tak bardzo swojego przywiązania do Ameryki.

John R. Schindler, były analityk amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (NSA), na łamach „Washington Examiner" zauważył, że „pewne jest, że Walz został dokładnie sprawdzony przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego, potężną tajną policję reżimu, ponieważ tak właśnie działają Chiny. Żaden Amerykanin nie miałby prawa prowadzić wymiany akademickiej przez kilka dekad, na koszt KPCh, bez zgody MSS. To po prostu nie miałoby miejsca". Steven Mosher, sinolog, politolog i autor książki „Azjatycki tyran. Jak »chiński sen« stwarza nowe zagrożenie dla światowego porządku", zauważył, że Walz zamiast wzywać Chiny, by zaprzestały na przykład kradzieży amerykańskiej własności intelektualnej i dumpingu, to naciskał na prezydenta Donald Trumpa, by ten zakończył wojnę handlową z Chinami.

Xi Van Fleet i Solomon Yue to niejedyni dziś mieszkający w USA Chińczycy, którzy odwołując się do swoich doświadczeń z życia w komunizmie, próbują obudzić Amerykanów, by ci oparli się naporowi marksizmu, nowej rewolucji kulturalnej i wpływom KPCh oraz by nie pozwolili na kolejne lata rządów demokratów. Częsty głos w tych kwestiach zabierają m.in. Chen Guangcheng, niewidomy chiński prawnik, który najpierw uciekł z aresztu domowego do Ambasady USA w Pekinie, a potem otrzymał azyl w Ameryce; Cao Changqing wyrzucony z pracy jako dziennikarz w Chinach, dziś konserwatywny publicysta w Ameryce; czy Sasha Gong, dziennikarka od lat mieszkającą w USA, która w ChRL doświadczyła więzienia, a w Stanach ukończyła Harvard i pracowała m.in. w Głosie Ameryki. W 2016 roku, tuż przed wyborem pomiędzy Trumpem a Clinton, to właśnie Gong napisała słowa, które w Ameryce stojącej przed kolejnym wyborem są nadal bardzo aktualne: „Urodziłam się w dyktaturze. […] Spędziłam rok w więzieniu za mówienie »niewłaściwych słów«. Kiedy przyjechałem do Ameryki, od razu się zakochałem w tym wspaniałym kraju i jego wspaniałej demokracji. Ale tu w dzisiejszych czasach ludzie tracą pracę, reputację, a nawet środki do życia, ponieważ mówią »niewłaściwe rzeczy«, nawet jeśli mówią prawdę. Czyż to nie powinno nas niepokoić?". ■

eprasa.pl 87cb269c4d



Jeden telefon od prezydenta Xi Jinpinga rozwiązałby ten kryzys

Alexander Stubb, prezydent Finlandii

Antoni Rybczyński

Oś Zła. Jak azjatyckie mocarstwa pomagają Rosji w wojnie z Ukrainą

eprasa.pl 87cb269c4d



Rosja może prowadzić wyniszczającą wojnę z Ukrainą już przeszło dwa i pół roku tylko dzięki zewnętrznej pomocy. Inwazja nie doprowadziła do międzynarodowej izolacji reżimu putinowskiego. Moskwa ma wpływowych i potężnych przyjaciół, którzy pomagają jej łagodzić skutki zachodnich sankcji, finansować wojnę, a nawet bezpośrednio wzmacniać potencjał zbrojny na polu walki. Symbolami tego zjawiska są irańskie drony-kamikadze, a ostatnio także pociski balistyczne, jak również potężna rzeka rosyjskiej ropy płynąca do Chin. To właśnie Teheran, a przede wszystkim Pekin, są kluczowymi sprzymierzeńcami Rosji.

FOT. YURI KOCHETKOV/PAP/EPA

Wsparcie Iranu i Chin dla Rosji jest wielopłaszczyznowe. To nie tylko dostawy uzbrojenia, elektroniki i produktów podwójnego przeznaczenia. Nie tylko rosnąca wymiana handlowa i „interwencyjny skup" rosyjskich węglowodorów zapewniający dopływ pieniędzy do kasy Kremla. To również wspólne dyplomatyczne i wywiadowcze operacje, poparcie dla Rosji na forum międzynarodowym – bardzo ważne, biorąc pod uwagę wpływy Iranu, a jeszcze bardziej Chin w różnych częściach świata, przede wszystkim na tzw. globalnym Południu. Mimo rosnącej krytyki ze strony Zachodu i gróźb kolejnych sankcji za współpracę z Moskwą, trudno spodziewać się, że Iran czy ChRL zmienią swoją politykę. Wręcz przeciwnie, należy oczekiwać jeszcze większej pomocy dla Rosji – niezależnie od możliwych negatywnych konsekwencji. Widać to choćby po decyzji reżimu ajatollahów, by wesprzeć sojusznika pociskami balistycznymi. Także Pekin coraz mnie kryje się z prorosyjskim *de facto* stanowiskiem i zacieśnianiem współpracy z Moskwą, w tym – co budzi coraz większy niepokój na Dalekim Wschodzie i w USA – w dziedzinie obronnej.

W co gra Xi?

Nie ma powodu, by nie wierzyć byłemu szefowi CIA gen. Davidowi Petraeusowi, gdy mówi, że gdyby nie Xi Jinping, Rosjanie mogli eskalować wojnę z Ukrainą do szokujących wymiarów, używając choćby taktycznej broni atomowej, jeszcze w 2022 roku. Ale czy przywódca Chin robił to z troski o Ukraińców, czy o pokój na świecie? Nie, robił to, bo taki scenariusz nie byłby dla Pekinu korzystny. Zapewne zakończyłby się potężnym uderzeniem Amerykanów (tym Moskwie grozili) na siły konwencjonalne Rosji. I wojna być może skończyłaby się dawno temu. I to przegraną Rosji. Tymczasem Państwo Środka ma dwa strategiczne cele, jeśli chodzi o obecną wojnę w Europie Wschodniej. Po pierwsze, Rosja nie może przegrać. Po drugie, Ukraina nie może przegrać z kretesem. A więc? Im dłużej trwa wojna, tym lepiej dla Chin. Tym bardziej że odwraca ona uwagę Ameryki od Pacyfiku i drenuje zasoby Zachodu. Jednocześnie wymuszając na Rosji coraz większe uzależnienie od ChRL. Dlatego Pekin wspiera Rosję w takim stopniu, aby nie została pokonana. Ale zarazem nie jest to pomoc wystarczająca do pokonania Ukrainy. Chiny wspierają Rosję na wiele sposobów, jednocześnie zaprzeczając tej współpracy. Taka strategia oznacza już nie tylko pomoc gospodarczą dla Moskwy, lecz także wsparcie militarne (choć nieoficjalne). To drugie ma też swój

eprasa.pl 87cb269c4d

inny aspekt. Otóż w zamian za dostawy produktów podwójnego zastosowania czy wręcz wojskowych Chiny dostają od Rosji kluczowe technologie wojskowe pomagające Pekinowi w przygotowaniach do ataku na Tajwan. Jeszcze rok temu Moskwa nie chciała słyszeć o dzieleniu się swymi ostatnimi militarnymi tajemnicami z ChRL.

Sympatia Chin dla Rosji była już jasna dla większości obserwatorów na początku pełnej inwazji na Ukrainę w lutym 2022 roku. Ale sympatia szybko przerodziła się w coraz większe wsparcie także na polu dyplomatycznym. Podczas gdy niektórzy europejscy przywódcy chcą zaangażować Chiny w wysiłki na rzecz zakończenia rosyjskiej inwazji na Ukrainę, ku ich rozczarowaniu Pekin odmówił udziału w czerwcowej konferencji pokojowej w Szwajcarii. Co więcej, Pekin naciskał na inne kraje, by zbojkotowały inicjatywę. Na początku maja chiński wysłannik ds. konfliktu na Ukrainie odwiedził takie kraje, jak Turcja, Egipt, Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Brazylia, Indonezja, RPA i Kazachstan. Oczywiście przesadą byłoby stwierdzenie, że Chiny i Rosja całkowicie zgadzają się w sprawie wojny. Pekin uznaje Ukrainę za suwerenne państwo i nie podpisuje się pod rosyjską narracją o tym, że kraj ten jest „nazistowską marionetką Zachodu". Chiny utrzymują również bezpośredni kontakt z Kijowem, wypowiadały się przeciwko rosyjskim groźbom nuklearnym i publicznie nie poparły inwazji. Na tym jednak rozbieżności się kończą. Na przykład Chiny wielokrotnie wyrażały poparcie dla „uzasadnionych obaw dotyczących bezpieczeństwa", jakie Rosja ma w związku z ekspansją NATO na Wschód. Zdaniem Pekinu winowajcą konfliktu są Stany Zjednoczone, które – jak twierdzą – dążą do sprowokowania konfrontacji w regionie. Pekin skłania się również ku koncepcji „niepodzielnego bezpieczeństwa", która zakłada, że narody nie powinny zwiększać swojego bezpieczeństwa kosztem innych – doktryna promowana przez Moskwę od dziesięcioleci i skierowana przeciwko NATO. Została ona jednak włączona do Global Security Initiative – kamienia węgielnego wizji stosunków międzynarodowych chińskiego prezydenta Xi Jinpinga – co sugeruje, że będzie odgrywać bardziej znaczącą rolę w chińskiej polityce zagranicznej. Chińscy urzędnicy stanowczo sprzeciwiają się amerykańskim „nielegalnym jednostronnym sankcjom" i twierdzą, że nie będą ich przestrzegać. Xi pokazał, że jest gotów ponieść zarówno koszty reputacyjne, jak i ekonomiczne, aby wesprzeć swojego sąsiada. Choć Chiny obawiają się otwartego łamania zachodnich sankcji, wiele chińskich firm zostało ostatnio objętych ograniczeniami za handel z rosyjskimi odpowiednikami.

Początkowo Chiny były ostrożne, ale pogłębiły swoje zaangażowanie na rzecz Rosji w marcu 2023 roku po wizycie Xi w Moskwie. Chińsko-rosyjska wymiana handlowa wzrosła do rekordowego poziomu 200 mld dolarów w 2023 roku, a eksport towarów podwójnego zastosowania się potroił. Pekin przyznaje się do handlu towarami podwójnego zastosowania, twierdząc, że jest to zgodne z prawem międzynarodowym. Chiński eksport ciężarówek do Rosji pozwala rosyjskiej firmie Kamaz przestawić swoją produkcję na potrzeby wojskowe. Po utracie głównego rynku europejskiego Chiny i Indie są największymi importerami rosyjskiej ropy. Tylko w pierwszych ośmiu miesiącach bieżącego roku do skarbca Kremla za ropę dostarczoną Chinom wpłynęły blisko 43 mld dolarów. A przecież jest też gaz: rurociąg Siła Syberii pracuje pełną parą, a rosną wciąż dostawy LNG z rosyjskiej Dalekiej Północy.

▶ Wojskowa współpraca Rosja–ChRL

Od miesięcy amerykańscy urzędnicy oskarżają ChRL o aktywne wspieranie rosyjskich działań wojennych. Waszyngton nałożył sankcje na chińskie firmy dostarczające kluczowe komponenty dla rosyjskiego przemysłu obronnego. Chiny stały się równorzędnym partnerem rosyjskiego kompleksu wojskowo-przemysłowego, zwiększając import rosyjskiej broni i stając się głównym dostawcą towarów podwójnego zastosowania (obrabiarki, mikroelektronika, nitroceluloza) i towarów wojskowych (pojazdy, drony, kamizelki kuloodporne, proch strzelniczy, zdjęcia satelitarne) do Rosji.

Zastępca sekretarza stanu Kurt Campbell powiedział kongresmenom, że Stany Zjednoczone nie są w stanie w pełni zrozumieć „absolutnej intensywności zaangażowania" między prezydentem Rosji Władimirem Putinem a prezydentem Chin Xi Jinpingiem. „Najbardziej niepokojące jest to, że wsparcie Chin dla Rosji pochodzi z samej góry" – powiedział Campbell 18 września, podczas przesłuchania w Komisji spraw zagranicznych Izby Reprezentantów. Dodał, że „chipy, niektóre cechy konstrukcyjne, niektóre zdolności związane z wytwarzaniem materiałów wybuchowych" wzmacniają rosyjskie operacje na polu bitwy. „Widzimy rolę UAV i innych zdolności, które penetrują ukraińską przestrzeń powietrzną. Wiele z tych działań było potajemnie wspieranych przez Chiny, co budzi prawdziwe obawy" – mówił wiceszef amerykańskiej dyplomacji. Niektórzy członkowie Kongresu wezwali administrację prezydenta Joego Bidena do nałożenia sank-

eprasa.pl 87cb269c4d

cji na chińskie banki za wspieranie rosyjskiej wojny na Ukrainie. „Umieściliśmy wiele ich instytucji finansowych pod obserwacją. [...] Musimy mieć Europejczyków przy sobie. Myślę, że zaczynamy robić postępy" – powiedział Campbell.

Drugi rangą dyplomata Departamentu Stanu powiedział, że wyzwania stawiane Stanom Zjednoczonym przez ChRL przekraczają te z czasów zimnej wojny, po wspólnych ćwiczeniach wojskowych na dużą skalę między Chinami a Rosją w połowie września. Wielkie ćwiczenia morskie i powietrzne pod kryptonimem Ocean-2024 obejmowały ogromny obszar oceanu i obejmowały ponad 400 okrętów wojennych, co najmniej 120 samolotów wojskowych i ponad 90 tys. żołnierzy, według rosyjskiego ministerstwa obrony. Nie wymieniając konkretnych krajów, chińscy urzędnicy powiedzieli, że ćwiczenia wojskowe między dwoma sojusznikami miały na celu zajęcie się wspólnymi zagrożeniami. „Pekin udziela Moskwie »bardzo znaczącej« pomocy w celu wzmocnienia jej machiny wojennej, a w zamian Rosja przekazuje Chinom swoje ściśle strzeżone technologie wojskowe dotyczące okrętów podwodnych i pocisków rakietowych" – mówi zastępca sekretarza stanu Campbell. Problem jest już dużo poważniejszy niż tylko dostarczanie przez ChRL Rosji tak zwanych technologii podwójnego zastosowania – które mogą być wykorzystywane do celów wojskowych lub cywilnych. Teraz jest to pomoc stosowana „bezpośrednio w rosyjskiej machinie wojennej".

W zamian za pomoc Pekinu Rosja zaczęła dostarczać Chinom najbardziej tajne i najnowsze technologie wojskowe, którymi dotąd nie chciała dzielić się z faktycznym sojusznikiem. „Ma to związek z operowaniem okrętów podwodnych, działaniami w zakresie projektowania lotniczego, w tym stealth; wiąże się to również z możliwościami w zakresie zdolności rakietowych" – powiedział Campbell. Nowe technologie, które otrzymuje Pekin od Moskwy, będą stanowić zagrożenie nie tylko dla USA, lecz także dla Indii, Australii, Japonii i Korei Południowej, a przede wszystkim Tajwanu, „jeśli Chiny będą w stanie uzyskać większe zaangażowanie ze strony Rosji w doskonalenie pewnych zdolności wojskowych". „Rosja jest gotowa podzielić się ze swoimi partnerami nabytym na Ukrainie unikalnym doświadczeniem w zwalczaniu różnych rodzajów zachodniej broni" – powiedział tymczasem w Pekinie rosyjski wiceminister obrony Aleksandr Fomin. Fomin powiedział również, że rosyjskie i chińskie ministerstwa obrony stale poszerzają obszary współpracy: „Obejmuje to ćwiczenia strategiczne, szkolenie wszystkich oddziałów wojskowych, szkolenie personelu wojskowego, wymianę doświadczeń w zakresie wykorzystania nowoczesnej broni i sprzętu wojskowego".

▶ Broń od ajatollahów

Wymiana doświadczeń wojskowych, dzielenie się technologiami, wreszcie wzajemne transfery różnych typów uzbrojenia to podstawa współpracy Rosji z Iranem. Islamska republika nie jest bowiem w stanie zaoferować tak dużo w innych aspektach (gospodarka, dyplomacja), jak chińskie mocarstwo. Ale bliska współpraca, która zaczęła się w 2015 roku w Syrii, się rozwija. Irańskie drony Shahed od dawna nękają Ukrainę, teraz dojdą pociski balistyczne krótkiego zasięgu Fath-360. W zamian Iran spodziewa się transferu nowoczesnych bojowych samolotów rosyjskich oraz systemów obrony powietrznej S-400. Taki barter jest korzystny dla obu stron. Rosja wzmacnia arsenał do ataków powietrznych na cele ukraińskie. Iran, potęga w dziedzinie broni rakietowej i dronów, będzie mógł wzmocnić najsłabszy punkt, czyli obronę powietrzną i siły lotnicze. Nie ma się więc co dziwić niezwykłej intensywności wzajemnych wizyt ważnych oficjeli obu stron.

Niedawno kilkudniową wizytę w Rosji składał sekretarz irańskiej Najwyższej Rady Bezpieczeństwa Narodowego Ali Akbar Ahmadian (przyjął go nawet sam Putin). Dosłownie chwilę później, w połowie września, do Teheranu zjechało dwóch bliskich współpracowników prezydenta Władimira Putina. Sekretarz Rady Bezpieczeństwa Siergiej Szojgu omawiał kwestie współpracy wojskowej i bezpieczeństwa, zaś doradca prezydenta Igor Lewitin skupił się na współpracy gospodarczej i infrastrukturalnej. Szojgu przybył do Iranu z niezapowiedzianą wizytą, po podróżach do Syrii i Korei Północnej. Spotkał się z prezydentem Iranu Masoudem Pezeszkianem i sekretarzem Najwyższej Rady Bezpieczeństwa Narodowego Alim Akbarem Ahmadianem. Pezeszkian powiedział Szojgu, że Iran będzie dążył do zwiększenia współpracy i pogłębienia stosunków dwustronnych między oboma krajami, aby zmniejszyć wpływ zachodnich sankcji. Igor Lewitin spotkał się z sekretarzem Najwyższej Rady Bezpieczeństwa Narodowego Iranu Alim Akbarem Ahmadianem i trzema ministrami rządowymi. Rozmowy dotyczyły przede wszystkim postępów w realizacji Międzynarodowego Korytarza Transportowego Północ-Południe. Projekt obejmuje sieci morskie, kolejowe i drogowe o łącznej długości 7,2 tys. km, a celem jest ułatwienie przepływu towarów między Indiami, Iranem, Azerbejdżanem, Rosją, Azją Środkową i Europą. Widać, że obu stronom zależy

eprasa.pl 87cb269c4d

na bardziej wszechstronnej współpracy, nie tylko tej w obszarze bezpieczeństwa. Elementem tej strategii są zresztą inwestycje rosyjskie w rozbudowę sektora atomowego Iranu i zapowiedź rozwoju współpracy w obszarze ropy i gazu. Zresztą Teheran dzieli się też z Moskwą swoim *know-how* na temat unikania sankcji zachodnich w obszarze naftowym.

Ale najważniejsze z punktu widzenia Rosji jest oczywiście wsparcie wojskowe Iranu. Do niedawna były to przede wszystkim dostawy dronów-kamikadze Shahed. Pierwszy taki strącono nad Ukrainą 13 września 2022 roku. Od tamtej pory Rosja wykorzystała ich tysiące. Właściwe co noc na cele ukraińskie wysyła po kilkadziesiąt Shahedów. Co więcej, uruchomiła ich produkcję w Tatarstanie, na licencji irańskiej. Drony nękają obronę ukraińską, ale losów wojny nie zmienią. Co innego pociski balistyczne Fath-360 o zasięgu 75–120 kilometrów, których około 200 otrzymała Rosja na początku września. Dwadzieścia pięć kontenerów zawierających maksymalnie do dziewięciu pocisków każdy zostało przetransportowanych do irańskiego portu Amirabad nad Morzem Kaspijskim w sierpniu. Następnie załadowano je na rosyjski statek, który popłynął na północ, wyłączając transponder. Pociski wyładowano w porcie w obwodzie astrachańskim, a następnie wysłano na znany poligon Kapustin Jar w celu przeprowadzenia testów przed wysłaniem na front. Irańskie pociski balistyczne krótkiego zasięgu słyną z celności. Fath-360 wykorzystuje między innymi system nawigacji satelitarnej, a Irańczycy prawdopodobnie wyposażyli go w urządzenie przeciwdziałające systemowi walki elektronicznej. Pod względem zasięgu Fath-360 jest w przybliżeniu odpowiednikiem rosyjskich pocisków przeciwlotniczych S-300, którymi rosyjska armia uderza w ukraińskie miasta blisko linii frontu lub granicy oraz w cele wojskowe.

▶ Jak ukarać Iran?

Wejście do gry irańskich pocisków umożliwi Rosji skupienie się na bombardowaniu ukraińskich linii frontu, przy jednoczesnym zachowaniu zapasów pocisków dalekiego zasięgu do innych celów. Dostawy irańskich pocisków pozwolą Rosji uwolnić swoje najlepsze i najdokładniejsze rakiety Iskander i Kindżał (których zapasy i tempo produkcji są bardzo ograniczone) do ukierunkowanych ataków na ukraiński system energetyczny. Chodzi przede wszystkim o pociski balistyczne Iskander-M. Są one bardziej celne niż S-300 i mają maksymalny zasięg około 500 kilometrów. Uzyskując Fath-360, Rosjanie nie będą już musieli marnować Iskanderów na ataki blisko linii frontu i maksymalnie wykorzystają ich zasięg. Jeśli dostawy irańskich pocisków balistycznych do Rosji będą kontynuowane i rozszerzane, Rosjanie mogą liczyć także na inne typy broni: Fateh-110 ma zasięg do 300 kilometrów, Fateh-313 do 500 kilometrów, a Zolfaghar do 700 kilometrów. Oczywiście irańskie MSZ zaprzeczyło, jakoby dostarczało pociski do Rosji. I będzie konsekwentnie zaprzeczać. Tak jak w przypadku przekazanych Moskwie dronów typu Shahed. Dlaczego Teheran przekazał pociski balistyczne Rosji, choć znał konsekwencje? Prezydent Masoud Pezeszkian chce wznowić negocjacje z Zachodem, tymczasem decyzja Iranu może storpedować nadzieje na powrót do wielonarodowego porozumienia w sprawie ograniczenia wzbogacania uranu w Teheranie w zamian za złagodzenie sankcji (JCPOA). Cóż, to kwestia priorytetów. W tej chwili Iran potrzebuje pieniędzy, broni i wsparcia politycznego od sojuszników. Po pierwsze, ma duży deficyt budżetowy. Po drugie, Islamska Republika nie wyklucza możliwości wojny z Izraelem. Moskwa może zapewnić Teheranowi wsparcie gospodarcze, pieniądze, broń i wsparcie polityczne. Irański reżim w zamian spodziewa się otrzymać najnowsze myśliwce Su-35. Iran prosi również Rosję o wsparcie w modernizacji swoich zdolności cybernetycznych oraz programów rakietowych i kosmicznych w ramach rozszerzonej współpracy wojskowej.

Gdy Iran dostarczył pierwsze Shahedy do Rosji jesienią 2022 roku, Kijów nie ograniczył się do odwołania ambasadora z Teheranu: w maju 2023 roku nałożył drakońskie sankcje na Republikę Islamską. Nie powstrzymały one jednak Iranu przed dostarczeniem Rosji pocisków balistycznych. Kijów musi teraz zdecydować, jak odpowiedzieć Teheranowi. Aby wzmocnić efekt, powinien współpracować z partnerami z Zachodu. Ale czy USA i UE są gotowe na twarde środki przeciwko Islamskiej Republice, biorąc pod uwagę ich zainteresowanie nowym porozumieniem nuklearnym? Na szczęście, Ukraina może zyskać w inny sposób. Jedenastego września, dzień po oficjalnym potwierdzeniu przez Amerykanów dostaw irańskich rakiet do Rosji, sekretarz stanu USA Antony Blinken i brytyjski minister spraw zagranicznych David Lammy spotkali się w Kijowie z Wołodymyrem Zełenskim. Głównym tematem rozmów było zniesienie zakazu uderzania zachodnią bronią dalekiego zasięgu w głąb Rosji. Dotychczas USA zgadzały się na użycie zachodniej broni tylko na terytoriach przygranicznych. Stanowisko USA i Wielkiej Brytanii zmieniło się właśnie po tym, jak Iran wysłał swoje rakiety do Rosji. ■

eprasa.pl 87cb269c4d



FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Tomasz Gromadka

NADZIEJA WŚRÓD RUIN
– Mosul siedem lat po wojnie

Odbudowa Mosulu postępuje. Odtworzono niezbędną infrastrukturę, trwa również odbudowa starego miasta. Przed wojną musiało być wyjątkowo piękne, o czym świadczą resztki zdobień drzwi i fasad, które gdzieniegdzie przetrwały bombardowania i walki. Z gruzów podniesiono już kilka kościołów. Mimo że otaczają mnie ruiny, czuję atmosferę odrodzenia i wiosny. Rozsiewają ją przede wszystkim ludzie, którzy nie tylko nie popadają w rozpacz, ale cieszą się każdą chwilą codzienności.

eprasa.pl 87cb269c4d

Szeroka na półtora metra uliczka została już odgruzowana i można nią swobodnie przejść. Gdzieniegdzie nawet bruk został zniszczony i stopa zapada się w białym piasku. Po obu stronach ciągną się resztki kamienic. Czasem zachowały się tylko pozostałości parteru, czasem jakieś fragmenty wyższych kondygnacji. W jednym z domów wybuch bomby rozerwał część fasady i klatkę schodową. Betonowe schody zostały zniszczone w połowie, ale mocne zbrojenie okazało się silniejsze niż eksplozja – teraz schody swobodnie zwisają nad gruzami, całkowicie pionowo. Każdy metr kwadratowy ściany nosi ślady setek kul, a drewniane lub metalowe drzwi, o ile przetrwały, przypominają durszlaki. Wnętrza domów zdążono już w większości odgruzować i rozminować, o czym świadczą napisy „Safe" namalowane farbą na ścianach. W jednym z domów przed słowem „Safe" ktoś dopisał „No".

Nie jest to opis Warszawy po powstaniu, ale Mosulu w lipcu 2024 roku. Dokładnie 10 lat wcześniej to drugie co do wielkości miasto Iraku zostało zdobyte przez Państwo Islamskie, a kalif Ibrahim obrał je na swoją siedzibę. Rozpoczęło się wtedy prawdziwe piekło.

– Nie mieliśmy telefonów, internetu, telewizji, wszystkiego tego nam zakazali – tłumaczy mi młody chłopak, mieszkaniec Mosulu. Wyjaśnia, że wszystkie te „wynalazki szatana" były używane przez bojowników Państwa Islamskiego. Mogli oni to robić dla większego dobra. Śmiercią karano za cały szereg innych „przestępstw", takich jak posiadanie zwierząt domowych, książek innych niż Koran czy chęć opuszczenia kalifatu. Egzekucji dokonywano publicznie, na głównych placach miasta. Ludzi rozstrzeliwano, ścinano mieczem, kamienowano i zrzucano z wysokości.

Potem nadeszła bitwa o Mosul. Bojownicy ISIS nie oddali łatwo miasta. Potrzeba było ośmiu miesięcy walk, nim ulegli siłom koalicji – irackim żołnierzom, kurdyjskim peszmergom, a także oddziałom chrześcijańskich Asyryjczyków i innych formacji zbrojnych, wspieranych przez amerykańskie lotnictwo. Ośmiomiesięczna bitwa obróciła miasto w perzynę.

Od tamtych wydarzeń minęło siedem lat. Mieszkańcy powoli wracają do Mosulu, który przez ten czas odpoczywa od huku wystrzałów, ale również od uwagi świata.

Misja Jonasza

Około 2500 lat temu prorok Jonasz został wysłany przez Boga do Asyrii, do miasta Niniwa, tak wielkiego, że według Biblii potrzeba było trzech dni, by przejść je pieszo. Jego misja, gdy w końcu przestał opierać się Bogu i ją wypełnił, zakończyła się sukcesem. „I uwierzyli mieszkańcy Niniwy Bogu, ogłosili post i oblekli się w wory od największego do najmniejszego. Doszła ta sprawa do króla Niniwy. Wstał więc z tronu, zdjął z siebie płaszcz, oblókł się w wór i siadł na popiele" (Jon 3, 5-6).

Co wspólnego ma to z Mosulem? Właśnie tam jeszcze do niedawna znajdował się grób Jonasza – nie wiadomo, czy symboliczny, czy rzeczywiście skrywający kości proroka. W istocie Mosul leży na miejscu starożytnej Niniwy, która – zniszczona przez irańskich Medów – odrodziła się pod inną nazwą. Do dziś w języku lokalnych Asyryjczyków Mosul nazywany jest Nainawa lub Ninawa.

Niniwa była starożytna już wtedy, gdy przybył doń Jonasz. Co więcej, mniejsza jest odległość w czasie dzieląca proroka i nas, współczesnych, od tej dzielącej proroka i początki miasta. Badania archeologiczne wykazują, że miasto istnieje co najmniej od VII tysiąclecia przed Chrystusem, ma więc obecnie około 8500 lat. Dla porównania Ateny mogą poszczycić się około 5000 lat historii, Paryż – znany początkowo pod nazwą Lutecji – powstał prawdopodobnie w I tysiącleciu przed Chrystusem, a Warszawa – około 750 lat temu.

Niniwę wymienia już Kodeks Hammurabiego, spisany w XVIII wieku przed Chrystusem, ale szczyt jego świetności przypada na czasy Imperium Nowoasyryjskiego. Stolicą Asyrii ustanowił miasto król Sennacheryb około 700 roku przed Chrystusem, choć już wcześniej znajdowały się tam rezydencje, w których od czasu do czasu przebywali władcy. Sennacheryb wzniósł monumentalny pałac, zwany Ekallu ša Šānina la išu, czyli po akkadyjsku Pałacem bez Rywala, a to z powodu jego wielkości – zajmował 10 hektarów powierzchni.

Upadek Niniwy łączy się z upadkiem Asyrii, zmiażdżonej pod ciosami Medów przybywających zza gór Zagros. Miasto padło po trzech miesiącach oblężenia w 612 roku przed Chrystusem. Choć nie zostało do cna zniszczone, nigdy już nie odzyskało swej świetności. W średniowieczu osadnictwo stopniowo przeniosło się na drugi brzeg Tygrysu, gdzie wcześniej istniała wioska Mosul. Ona też przejęła rolę Niniwy i rozrosła się, wchłaniając resztki starożytnego miasta. Ironią dziejów jest to, że niszczyciele Niniwy, Medowie, są kandydatami (historycy nie mają pewności z powodu braku źródeł) na przodków Kurdów, których oddziały w 2017–2018 roku brały udział w wyzwoleniu Mosulu.

Dziś w Mosulu grobu Jonasza już nie ma. Wahabizm, nurt islamu, domagający się powrotu do pierwotnego radykalizmu, głosi, że oddawanie jakiejkolwiek czci ludziom, w tym pielgrzymki do grobów proroków, są aktem bałwochwalstwa. Nurt ten narodził się w XVIII wieku na Półwyspie Arabskim, ale – w zmodyfikowanej i jeszcze bardziej zradykalizowanej wersji – stanowi ideologiczną podstawę doktryny

eprasa.pl 87cb269c4d

ISIS. Grób Jonasza był w oczach ISIS takim właśnie miejscem bałwochwalstw – czcili go i pielgrzymowali doń zarówno chrześcijanie i żydzi, jak i muzułmanie. Z tego powodu gdy Państwo Islamskie zajęło Mosul, wysadziło grób Jonasza w powietrze.

Gdyby narysować oś czasu historii Mosulu, panowanie kalifa Ibrahima stanowiłoby ledwo widoczną kropkę. Niestety miał on jednak odpowiednio dużo trotylu, by kropka ta odmieniła losy miasta.

Piekło na ziemi

Mosul padł w zaledwie tydzień, praktycznie bez walki[1]*. W 2014 roku – w przeciwieństwie do lat obecnych – armia iracka nie miała prawie żadnego morale, a dezercje były na porządku dziennym. Do dziś mówi się, że ówczesny gubernator prowincji Niniwa sam oddał ją na pastwę dżihadystom. Chrześcijan i jezydów, którzy przeżyli zdobycie miasta, zmuszono do ucieczki. Paradoksalnie gorzej mieli ci, którzy byli muzułmanami i służyli państwu irackiemu. O ile sami nie przyłączyli się do ISIS, uznawani byli za apostatów i czekała ich śmierć. Szacuje się, że po wejściu do miasta dżihadyści wymordowali od kilkuset do kilku tysięcy złapanych tam irackich mundurowych.

Gorszy być może los czekał żony, siostry i córki zamordowanych. Doktryna ISIS pozwala na posiadanie niewolników, a fatwy duchownych, służących kalifowi – na wykorzystywanie seksualne niewolnic. Miał to być chyba przedsmak nieba i czekających tam 72 dziewic. Ciekawe jest to, że niebo dżihadystów stanowi zupełne przeciwieństwo nieba, o którym naucza Kościół, którego Panią jest Królowa Dziewic i Matka Najczystsza. Zły duch lubi przedstawiać się jako anioł światłości.

Pod panowaniem kalifatu zniewalano przede wszystkim kobiety niebędące muzułmankami – chrześcijanki i jezydki. Szacuje się, że taki los spotkał kilka tysięcy jezydek, także małych dziewczynek. Sam kalif Ibrahim wykorzystywał seksualnie m.in. Kaylę Mueller (1988–2015), wziętą do niewoli Amerykankę, pracującą w organizacji humanitarnej w Syrii i później zamordowaną. Zastanawiałem się długo, czy bojownicy ISIS rzeczywiście wierzyli w to, co głosili. Wydaje się, że musiało tak być, co innego popychałoby ich bowiem do dobrowolnego wysadzania się w powietrze?

Co ciekawe, szeregi bojowników ISIS zasilały również kobiety. Szaleństwo ogarniało też ludzi wykształconych – prawą ręką al-Baghdadiego, kalifa Ibrahima, był niejaki Abu Ali al-Anbari (znany też jako Abu Ala al-Afri), wcześniej pracujący jako nauczyciel fizyki. Nie brakło wśród członków Państwa Islamskiego ludzi z wyższym wykształceniem, co przypomina pod wieloma względami hitlerowskie Niemcy, gdzie – jak się okazało – elity intelektualny nie były w większości odporne na wirus nazizmu.

Druga śmierć Niniwy

Dżihad jednak miał również wymiar kulturowy. Barbarzyńcy spod znaku czarnej flagi podejrzliwym okiem patrzyli na wszystko, co wznieśli czy wykonali „niewierni". Po opanowaniu Mosulu rozpoczęli niszczenie tamtejszego muzeum, co dokumentowali na filmach publikowanych w internecie. Jeden z islamistów tłumaczył: „Te, które są za mną, to bożki i posągi, które ludzie w przeszłości czcili zamiast Allaha. Tak zwani Asyryjczycy, Akadyjczycy i inni patrzyli na bogów wojny, rolnictwa i deszczu, którym składali ofiary… Prorok Mahomet gołymi rękami burzył idole, gdy wchodził do Mekki. Nasz prorok nakazał nam powalać bożki i je niszczyć".

W rzeczywistości gorliwość bojowników nie była tak szczera. Setki eksponatów, rzekomo zniszczonych, w rzeczywistości trafiało na czarny rynek, a pieniądze ze sprzedaży zasilały kiesy Państwa Islamskiego. Islamiści nie wiedzieli też, że po upadku Saddama Hussajna, gdy siły amerykańskie rządzące Irakiem były zbyt nieliczne, aby skutecznie kontrolować sytuację w kraju, znaczną część zabytków przewieziono z muzeum w Mosulu do muzeum w Bagdadzie, gdzie było znacznie bezpieczniej. Na miejscu postawiono wier-

Dziś w Mosulu grobu Jonasza już nie ma. Wahabizm, nurt islamu, domagający się powrotu do pierwotnego radykalizmu, głosi, że oddawanie jakiejkolwiek czci ludziom, w tym pielgrzymki do grobów proroków, są aktem bałwochwalstwa.

[1] O genezie Państwa Islamskiego i przyczynach jego zdumiewających sukcesów piszą M. Weiss i H. Hassan w książce „ISIS. Wewnątrz armii terroru", Warszawa 2015.

eprasa.pl 87cb269c4d

ne, współczesne kopie, które potem bojownicy kalifatu – nieświadomi, że nie są to oryginały – rozwalali młotami.

Niestety, nie każdy zabytek miał tyle szczęścia. Szczególnie bolesne okazało się zniszczenie starożytnej bramy, zbudowanej przez Sennacheryba, tego samego króla, który ustanowił Niniwę stolicą Asyrii. Islamiści rozbili też zbiór zabytków ze starożytnego miasta Hatra. „Straty dla badań nad rzymskim i partyjskim Bliskim Wschodem są absolutnie druzgocące" – pisał w 2015 roku amerykański archeolog prof. Christopher Jones.

Herbata i karabin

Gdy przyjechałem do Mosulu, nie byłem pewien, czy muzeum jest już otwarte – w internecie znalazłem sprzeczne informacje. Postanowiłem więc sam się o tym przekonać. Hotel, w którym mieszkałem, znajdował się około pół kilometra od muzeum. Mimo to droga tam zajęła jakieś 40 minut, objawiła się bowiem niewiarygodna gościnność ludów Wschodu. Wyszedłem zaledwie na ulicę i od razu usłyszałem „As-salamu alejkum" – arabskie pozdrowienie, oznaczające „Pokój niech będzie z tobą". Przy stoliku przy ulicy siedzieli czterej Arabowie w dżalabijach – długich białych sukniach. Grzechem było odmówić napicia się z nimi herbaty. Iracki czaj podobny jest do tureckiego, bardzo mocny i słodki, jednak o wiele bardziej aromatyczny. Dwieście metrów dalej kolejny przystanek. Tym razem małą szklaneczkę gorącego napoju podał mi pewien krawiec. Nie była to herbata, ale wywar z suszonych cytryn, bardzo słodki i kwaśny zarazem. Arabowie nazywają go „numi Basra szaj".

Gdy w końcu dotarłem do muzeum, zastałem zamkniętą bramę. Pilnował jej oddział 10 policjantów. Trzeba tu wyjaśnić, że irakijscy policjanci są uzbrojeni po zęby i na pierwszy rzut oka łatwo ich pomylić z żołnierzami. Mundurowi zaprosili mnie do swojej stróżówki, gdzie… zostałem ugoszczony herbatą – nie wiem już którą w ciągu tego poranka. Usiedliśmy razem przy plastikowym stoliku, na którym – oprócz szklanek – jeden z policjantów odłożył karabin maszynowy. Dowódca poinformował mnie, że otwarcie muzeum planowane jest na 2026 rok. Obecnie w środku pracuje grupa uczonych z Niemiec i Francji, którzy zajmują się renowacją zabytków.

Abun dbasz majo, net kadasz szymok

Chodząc wraz z przewodnikiem po starym mieście, odwiedziłem jeden z kościołów – katolicki, obrządku chaldejskiego. Konstrukcja jest tylko nieco naruszona, a ołtarze – główny i boczny – wciąż stoją, choć w mensach nie ma relikwii. Kościół przetrwał, bo ISIS urządziło w nim szpital wojskowy, a w czasie oblężenia bomby szczęśliwie go omijały. Szpital służył tylko bojownikom kalifatu – zwykli mosulczycy nie mieli tam wstępu. Mój przewodnik, Jaser, choć sam jest muzułmaninem, chodzi co niedzielę do kościoła na mszę w obrządku chaldejskim. Kocha śpiewy liturgiczne. Piękno tego rytu – choć tak egzotyczne dla ludzi Europy – przypomina piękno mszy trydenckiej. Gdy weszliśmy do opuszczonego kościoła, Jaser zaczął śpiewać „Ojcze nasz" po aramejsku – w języku, któ-

Ciepłe światło, które rozświetla wypalone ruiny, to odrobina piękna dającego siłę ich mieszkańcom. „To małe codzienne czyny zwykłych ludzi powstrzymują ciemność" – napisał mądry człowiek.

rym mówił sam Chrystus. „Abun dbasz majo, net kadasz szymok…" – święte słowa w świętym języku rozbrzmiały w smutnych murach kościoła, w których od dawna nikt się nie modli.

W przedwojennym Mosulu działało co najmniej kilkanaście kościołów różnych wyznań. Lokalne tradycje mówią, że chrześcijaństwo na równinę Niniwy miał przynieść św. Tomasz Apostoł, z pewnością zaś dotarli tu jego uczniowie. W Mosulu znajduje się kościół stojący w miejscu, gdzie apostoł miał mieszkać. Czczono tam jego relikwie, które – nim nadeszły oddziały ISIS – prawosławny biskup szczęśliwie wywiózł do jednego z pobliskich klasztorów, gdzie przetrwały burzę. Mosulscy chrześcijanie sami siebie nazywają Asyryjczykami i posługują się językiem aramejskim (znanym też jako syriacki lub syryjski), obecnie wymierającym, a dawniej prawdziwą lingua franca Bliskiego Wschodu. Kres jej dominacji przyniósł dopiero podbój muzułmański. Kościoły asyryjskie w V wieku zerwały komunię z Rzymem, wybierając herezję nestorianizmu. Dziejom tych wschodnich chrześcijan poświęcony będzie osobny artykuł jednym z kolejnych numerów „Nowego Państwa". Tu nadmieńmy tylko, że w czasach średniowiecznych

eprasa.pl 87cb269c4d

i nowożytnych część nestorian powróciła do unii z Rzymem. W Mosulu funkcjonowały zarówno świątynie unitów, jak i te, które wciąż odrzucają jedność ze Stolicą Piotrową. Panowanie ISIS było potężnym ciosem dla chrześcijan – doprowadziło do ich wielkiego exodusu z równin Niniwy. Migrowali na Zachód, do Turcji i do irackiego Kurdystanu.

Ostatni z rodu

Na południu starego miasta wśród ruin kwitnie bazar. Odżył wnet po wyzwoleniu miasta, gdy tylko udało się usunąć gruz. Bliskowschodnie bazary są ogromne, dużo większe od polskich i zajmują niekiedy całe dzielnice, jak w Erbilu, stolicy Kurdystanu. Znaleźć tam można nie tylko stoły handlarzy, lecz także zakłady rzemieślników. Odwiedzamy warsztat pana Nura al-Dina Abbasa Yasina Al-Safaara Al-Mawsiliego, wyrabiającego przedmioty z miedzi – czajniki do herbaty, lampy oliwne, arabskie samowary, wszelkiego rodzaju ozdoby. Podobnych zakładów było dawniej w Mosulu wiele – do dziś przetrwał tylko ten jeden. Nur al-Din nauczył się zawodu od ojca, a ten z kolei od swego ojca. Wedle przekazów rodzina para się tym zajęciem od przełomu XVII i XVIII wieku, pracując przez wszystkie te stulecia w tym właśnie warsztacie. Przetrwał on upadek Imperium Osmańskiego, potem upadek monarchii irackiej, wreszcie upadek Husseina. Przetrwał ISIS, ale wszystko wskazuje na to, że zabije go zalew tandety z Chin, przez którą nie opłaca się kupować tego, co wyrabia Nur al-Din.

– Czy ma pan następcę? – pytam Nura al-Dina

– Nie – mówi Arab z rezygnacją na twarzy. – Mój syn nie chce przejąć warsztatu. Mówi, że nie będzie miał z tego pieniędzy.

W Erbilu, stolicy Kurdystanu, rozmawiam z młodym chłopakiem, który pracuje w centrum handlowym w sklepie z elektroniką. Urodził się i dorastał w Mosulu. Jest jednym z Szabaków, ludu żyjącego głównie na wschód od Niniwy, posługującego się własnym językiem (szabaki), należącym – podobnie jak kurdyjski czy perski – do grupy irańskiej.

– W Mosulu nie pozostał żaden z moich bliskich – wyznaje sprzedawca. – Nie mam tu nikogo. Mój najlepszy przyjaciel ze szkolnej ławki wyjechał do Australii.

Szabak stwierdza, że on sam marzy o życiu w Mosulu, ale jest to niemożliwe – w mieście ruin bardzo trudno się utrzymać. Kurdystan mu się nie podoba. Kurdowie – mówiąc eufemistycznie – nie pałają sympatią do przybyszy z Mosulu (z wyjątkiem chrześcijan). Dlatego teraz najchętniej wyjechałby gdzieś daleko – do Europy, Ameryki albo Australii.

Sznur żarówek

A jednak ci, którzy zostali w Mosulu – choć jest im bardzo trudno – nie poddali się rozpaczy. Odbudowa Mosulu postępuje. Odtworzono niezbędną infrastrukturę – odbudowano pięć mostów i – co więcej – zbudowano kolejny jeden. Z gruzów podniesiono także stację kolejową, choć na razie nie można jej wykorzystać – kolej nie dociera do Mosulu. Jedyna czynna obecnie iracka linia kolejowa łączy Bagdad z Basrą. W planach jest odbudowa torów z Bagdadu do Turcji.

Trwa również odbudowa starego miasta. Przed wojną musiało być wyjątkowo piękne, o czym świadczą resztki zdobień drzwi i fasad, które gdzieniegdzie przetrwały bombardowania i walki. Odrestaurowano już znaczną część starówki, w tym dom, gdzie przez kilka miesięcy mieszkała Agatha Christie. „Podobało mi się w Mosulu" – napisała lakonicznie angielska pisarka w swej autobiografii.

Z gruzów podniesiono już kilka kościołów, do których wrócili kapłani, m.in. dominikański Kościół Zegara, nazywany tak od zegarów umieszczonych na dzwonnicy, będących darem cesarzowej Eugenii, żony Napoleona III. Kościoła nie zniszczyły bombardowania – został zaminowany i wysadzony w powietrze przez dżihadystów.

Wieczór w Mosulu to latem najprzyjemniejsza pora doby. Temperatura spada do 30–35 stopni, co jest miłym wytchnieniem od skwaru dnia, gdy upał wynosi około 45 stopni (to i tak mało, w Bagdadzie po południu w cieniu jest 48–49 stopni). Ludzie spacerują, spotykają się na herbatę i na pikniki w parkach. Mimo że otaczają mnie ruiny, czuję atmosferę odrodzenia i wiosny. Rozsiewają ją przede wszystkim ludzie, którzy nie tyle nie popadają w rozpacz, ile cieszą się każdą chwilą codzienności. Być może łatwiej im to przychodzi, bo doświadczyli utraty wszystkiego co piękne i dobre. Są jak ryba, którą kiedyś wyjęto z wody i która dzięki temu jako jedyna domyśla się jej istnienia.

Jem owocowy sorbet w lokalu, którego wnętrze nie odbiega wyglądem od małych kawiarenek, jakie można znaleźć w Europie. Nieco dalej grupa wolontariuszy rozwiesza sznury z żarówkami w poprzek wąskich uliczek mosulskiej starówki. Ciepłe światło, które rozświetla wypalone ruiny, to odrobina piękna dającego siłę ich mieszkańcom. „To małe codzienne czyny zwykłych ludzi powstrzymują ciemność" – napisał mądry człowiek i miał na myśli bynajmniej nie ciemność nocy.

***

Dziękuję p. Sakerowi al-Zakarii i p. Jaserowi z Mosulu za gościnność i pomoc w poznaniu miasta oraz p. Bresli Bahnan z Ankawy za informacje dotyczące współczesnych Asyryjczyków.

eprasa.pl 87cb269c4d

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny

Władze Chin ogłosiły, że w ciągu najbliższych 15 lat wiek emerytalny w Państwie Środka będzie stopniowo podnoszony, ponieważ kraj po czetrech dekadach polityki jednego dziecka zmaga się z problemem starzejącego się społeczeństwa i kurczącej się siły roboczej (mimo że w 2021 roku władze zezwoliły rodzinom na posiadanie trójki dzieci). Jest to pierwsza od 70 lat tak poważna korekta systemu emerytalnego i została zatwierdzona 13 września przez chiński parlament, tj. Ogólnochińskie Zgromadzenie Przedstawicieli Ludowych (OZPL). Według agencji Xinhua wiek emerytalny mężczyzn zostanie podniesiony z 60 do 63 lat, wiek emerytalny kobiet-pracowników umysłowych z 55 do 58 lat, a kobiet-pracowników fizycznych z 50 do 55 lat. Zmiany te będą stopniowo wprowadzane w ciągu najbliższych 15 lat, począwszy od 1 stycznia 2025 roku.

Wang Xiaoping, szefowa chińskiego Ministerstwa Zasobów Ludzkich i Ubezpieczenia Społecznego, powiedziała, że zmiana wieku emerytalnego może „złagodzić tendencję spadkową wśród ludności w wieku produkcyjnym" i „utrzymać dynamikę i witalność rozwoju gospodarczego i społecznego". Dodała też, że „wraz ze wzrostem średniej długości życia do obecnych 78,6 lat z około 40 lat w latach 50. XX wieku, podniesienie wieku emerytalnego pozwala na optymalne wykorzystanie zasobów ludzkich".

W 2023 roku około 297 mln ludzi, czyli 21 proc. obecnej populacji Chin, miało ponad 60 lat. Według szacunków Światowej Organizacji Zdrowia odsetek ten ma wzrosnąć do 28 proc. (około 402 mln ludzi) do 2040 roku. Zgodnie z prognozami Chińskiej Akademii Nauk Społecznych w ciągu najbliższej dekady publicznemu systemowi emerytalnemu ChRL może zabraknąć funduszy. Pomimo dotacji państwowych, malejący stosunek pracowników do emerytów skutkuje deficytem systemu, który do 2028 roku wyniesie 118 mld juanów (około 63,3 mld zł).

Wiadomość o podniesieniu wieku emerytalnego wywołała szeroką dyskusję na chińskiej platformie społecznościowej Weibo. Osoby zatrudnione w państwowych przedsiębiorstwach lub służbie cywilnej wyrażały niezadowolenie, że będą musiały dłużej pracować. Wielu internautów uważa, że wiek emerytalny zostanie podniesiony w jeszcze większym stopniu niż teraz deklarują władze.

Korea Północna

W połowie września północnokoreańska agencja KCNA opublikowała zdjęcia z wizyty Kim Dzong Una w ośrodku wzbogacania uranu, który posłużyć może do produkcji głowic nuklearnych. Dzień wcześniej Pjongjang wystrzelił kilka rakiet balistycznych krótkiego zasięgu w kierunku Morza Japońskiego. W przemówieniu podczas wizyty w ośrodku Kim Dzong Un wyraził „ogromną satysfakcję z cudownej siły technicznej w dziedzinie energetyki jądrowej" i wezwał do podjęcia większych wysiłków w celu zwiększenia liczby broni jądrowej. Podkreślił też, że bezpieczeństwo jego kraju wymaga stałego reagowania na zagrożenia oraz powstrzymywanie USA, a do tego konieczne jest stałe zwiększanie możliwości obronnych oraz zdolności do wykonania ataku prewencyjnego, ponieważ „groźby nuklearne wobec Korei Północnej ze strony wasalnych sił dowodzonych przez imperialistów amerykańskich stały się mniej ukryte i przekroczyły czerwoną linię", podała KCNA.

Wywiady Korei Południowej i USA uważają, że Korea Północna jest w posiadaniu uranu, który wystarczy do produkcji co najmniej 50 głowic nuklearnych i że

eprasa.pl 87cb269c4d

ma ośrodki wzbogacania uranu w dwóch miejscach – w Kangsong koło Pjongjangu oraz ośrodku nuklearnym w Jongbyon. Do tej pory komunistyczna Północ przeprowadziła sześć prób jądrowych. Po raz pierwszy w 2006 roku, a po raz ostatni w 2017 roku.

Nie jest jasne, który obiekt wizytował Kim Dzong Un, ale było to pierwsze ujawnienie przez Pjongjang zakładu wzbogacania uranu od czasu pokazania ośrodka Jongbion amerykańskim naukowcom w 2010 roku. Według południowokoreańskiej agencji Yonhap relacja KCNA z wizyty Kima w ośrodku wzbogacenia uranu to „pokaz siły przed wyborami prezydenckimi w USA i próba podniesienia stawki w kolejnej rundzie negocjacji z Waszyngtonem". Hong Min, starszy analityk w Koreańskim Instytucie Zjednoczenia Narodowego, powiedział agencji prasowej AFP, że może to być „wiadomość" dla następnej administracji amerykańskiej, iż „niemożliwe będzie denuklearyzowanie Korei Północnej". Ten pokaz siły Pjongjangu odbywa się także w momencie rosnącej współpracy Korei Płn. z Rosją. Kyryło Budanow, szef ukraińskiego wywiadu wojskowego (HUR), stwierdził, że reżim Kim Dzong Una to największy sojusznik Putina, który dostarcza rosyjskiej armii kluczową amunicję pozwalającą na działania w Ukrainie. Budanow uważa, że wsparcie z Korei Płn. jest nieporównywalne z żadnym z pozostałych krajów opowiadających się po stronie Rosji i współpracujących z nią.

▶ Tajwan

Tajwan jest gigantem półprzewodnikowym. To z wyspy pochodzi ponad 60 proc. światowej produkcji wszystkich chipów i około 90 proc. tych najbardziej wyrafinowanych. Gadżety, które są podstawowymi narzędziami w naszym współczesnym życiu, od telefonów, po samochody i maszyny przemysłowe, są napędzane tajwańskimi chipami.

Na konferencji Forum Ketagalan, jaka miała miejsce pod koniec sierpnia w Tajpej i była organizowana przez tajwański MSZ i think tank Prospect Foundation, Wu Jieh-min, badacz z Instytu Socjiologii Academia Sinica, przedstawił referat na temat tego, „czy wiodąca pozycja Tajwanu w branży półprzewodników, często określana mianem „tarczy krzemowej", rzeczywiście chroni wyspę, czy też zwiększa ryzyko. Jak zauważył tajwański naukowiec, w czasach wzmożonej rywalizacji między Stanami Zjednoczonymi a Chinami półprzewodniki to nie tylko ważny element wyścigu technologicznego, lecz także walki o strategiczną dominację.

„W centrum tej rywalizacji znajduje się Tajwan, który odgrywa kluczową rolę w produkcji najbardziej zaawansowanych chipów na świecie. […] Teoria »tarczy silikonowej« sugeruje, że czołowa rola Tajwanu w globalnym łańcuchu dostaw półprzewodników działa odstraszająco na Chiny. Gdyby produkcja chipów na wyspie została zakłócona, światowa gospodarka stanęłaby w obliczu katastrofy. Aby do tego nie dopuścić Stany Zjednoczone i ich sojusznicy będą zmuszeni do interwencji w celu ochrony tego kluczowego elementu łańcucha dostaw.

Pojawiają się też opinie, że na tajwańską „tarczę krzemową" należy spojrzeć jako na miecz obosieczny, bo wysokie zdolności technologiczne wyspy w produkcji chipów wcale nie zmniejszają ryzyka dla wyspy. Z jednej strony te zdolności chce posiąść Pekin, a z drugiej Waszyngton może naciskać na Tajwan, by je dywersyfikować i przenosić tajwańską produkcję w inne miejsca.

Stany Zjednoczone prowadzą w tej chwili politykę reshoringu i friend-shoringu, czyli strategii mających na celu odbudowę zdolności produkcyjnych USA w zakresie chipów, by zmniejszyć ryzyko nadmiernego polegania na jednym państwie. Jednak wprowadzenie w życie reshoringu wymaga ogromnych kosztów i czasu. „Odtworzenie ekosystemu półprzewodników Tajwanu gdzie indziej jest trudne i kosztowne. Ta branża korzysta z dziesięcioleci inwestycji w infrastrukturę, badania i wyspecjalizowaną siłę roboczą – korzyści, których nie da się łatwo odtworzyć" – stwierdza Wu Jieh-min. Tajwański badacz postuluje, by zamiast reshoringu stworzyć „tarczę silikonową" w wersji 2.0, czyli by „zwiększyć rolę Tajwanu w globalnym bezpieczeństwie gospodarczym poprzez pełniejszą integrację z międzynarodowymi sieciami produkcyjnymi, zarówno pod względem łańcucha dostaw, jak i geografii". Dywersyfikacja oznaczałaby tu, że tajwańska produkcja w USA, Japonii czy Unii Europejskiej byłaby traktowana jako rozszerzanie wpływów Tajwanu i głębszą współzależność wyspy z Zachodem, co zwiększyłoby odporność łańcucha dostaw. „Do tej pory Stany Zjednoczone skupiały się na reshoringu jako »polisie ubezpieczeniowej«, jednocześnie zabezpieczając Cieśninę Tajwańską. Istnieje jednak inna ścieżka, która jest równie istotna: zwiększenie udziału Tajwanu w międzynarodowych mechanizmach bezpieczeństwa. »Tarcza silikonowa« 2.0 wpisuje się w tę strategię, pozwalając Tajwanowi odgrywać bardziej aktywną rolę w globalnym bezpieczeństwie" – stwierdził Wu.

W kwestii tajwańskich inwestycji półprzewodnikowych w Europie Tajwan widzi Polskę jako jednego z ważniejszych partnerów. We wrześniu na targach branży półprzewodników SEMICON w Tajpej powtorzono deklarację, która padła po raz pierwszy za rządów Zjednoczonej Prawicy w Polsce, że nasz kraj wraz z Niemcami i Czechami będzie częścią „trójkąta chipowego" w UE. Pod koniec sierpnia br. tajwański gigant TSMC w Dreźnie rozpoczął budowę swojej pierwszej fabryki półprzewodników na kontynencie. ■

eprasa.pl 87cb269c4d



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Bezcenna lekcja od indiańskiego górala

Nie lubię krajów pozbawionych gór. Nie rozumiem, jak można żyć, gdy wokoło jest równo. To wręcz szkodliwe dla oczu! Tym, czym dla płuc tytoń, tym dla oczu brak gór w krajobrazie – tłumaczy siedząc przy ognisku, a ja szybciutko notuję w podręcznym kajeciku to porównanie – No dobrze, ale w górach to wy pewnie nie mieszkacie, co? – pyta, w ogóle na nas nie patrząc. A mnie po ludzku zaczyna się robić miękko pod nogami.

eprasa.pl 82cb269c4d



eprasa.pl a7cb269c4d



Dla wielu to naturalna sceneria codzienności. Każdego kolejnego dnia.

Dokąd? – młody kierowca peruwiańskiego collectivo wychyla się przez szybę drzwi kierowcy.

– Do Coshapampy. Zawiezie nas pan? – odpowiadam, robiąc błagalną minę. Doskonale zdaję sobie sprawę z naszego położenia. Tutaj w peruwiańskich Andach trudno o regularny transport. Miejscowi radzą sobie, jak umieją. Zwykle jeden-dwóch ludzi z samochodem kursuje między wioskami, podwożąc chętnych. To ich zajęcie. Raz na kilka tygodni trafi się jakiś turysta. Zajmując zwykle więcej miejsca niż miejscowi, wszak trzeba zmieścić jeszcze jego plecak. A w bagażniku siedzą już trzy osoby.

– Jak się upchacie do środka, to mogę was wziąć – odpowiada, sam chyba nie do końca zadowolony ze swej decyzji. Ale zdaje sobie sprawę, że następny podobny transport może tędy jechać dopiero pod wieczór. A może jutro…

Wchodzimy. W środku siedzi już przynajmniej osiem osób. Trudno mi nawet policzyć. Bo i głową nie bardzo jest jak ruszyć. Dwóch panów trzyma na kolanach po jednej pani. Jakaś babuleńka siedzi w bagażniku, podpierając kolanem plecy dwójki wnuków. Z przodu na miejscu pasażera też są już dwie nastolatki. Widząc mój wzrost, kierowca prosi dziewczyny, by przesiadły się do tyłu. Ja mam usiąść obok niego.

Samochód wreszcie może ruszyć. Ledwo, bo ledwo, ale posuwamy się do przodu. Najtrudniej jest na podjazdach, gdy kierowca musi zredukować bieg do jedynki. Bo w przeciwnym wypadku auto ugrzęźnie w błocie. I trzeba będzie pchać. A na to przy obecnej aurze nikt nie ma ochoty. Za oknem bowiem nadal mżawka. Jest chłodno. I z każdym metrem pokonywanej wysokości robi się jeszcze chłodniej.

Siedząc blisko kierowcy, mam okazję przyjrzeć się dokładniej prowadzonemu przez niego wehikułowi. To, że to auto nie przeszłoby w Europie żadnego przeglądu technicznego, to mało. Ono najprawdopodobniej zatrzymałoby się na pierwszym lepszym skrzyżowaniu. Za każdym razem przy przyspieszeniu z rury wydechowej wydziela się potężna czarna chmura dymu. Wszystkie kontrolki na dece rozdzielczej wskazują zero. Jedziemy na dużej dozie zaufania. My wobec kierowcy. A on względem kogo? Nie mam pojęcia.

Po wjechaniu na przełęcz deszcz się wzmaga. Kierujący pojazdem nastolatek pochyla sugestywnie głowę, aby lepiej widzieć drogę. O wytarciu szyby z zalewających ją strug deszczu nie ma nawet co myśleć. Z dwóch wycieraczek została jedna. Niedziałająca. Gdy tylko wjeżdżamy w kałużę, kropelki rozbryzgującej się wody dostają się do środka auta. Tak, okna od drzwi pasażerów także się nie zamykają.

Separacja i opuszczenie

Dojechaliśmy. Wreszcie. Oto maleńka górska mieścina Coshapampa. Wrota do peruwiańskiej Cordillera Blanca. Jutro z rana będziemy mieli już bardzo blisko do początku naszego śródgórskiego trekkingu. A konkretnie do ujścia doliny Santa Cruz, do którego z Coshapampy jest może jakieś pół kilometra. To jednak dopiero jutro. Teraz trzeba znaleźć nocleg.

Nie będzie o to trudno, pomimo że w Coshapampie jest tylko kilka domków, w których można się przespać. Pytamy o dostępne miejsca. Znajdą się. Jesteśmy uratowani. Jeszcze tylko prysznic pod zimną wodą i można pójść coś zjeść, w jednej z dwóch knajpek pro-

eprasa.pl 87cb269c4d



„Bo bogom nie wolno zakochiwać się w człowieku" – powiada góral, cedząc słowa przez zęby.

wadzonych we wsi, serwujących tradycyjnego w Peru świniaka z ziemniakami i odrobiną warzyw. Wystarczy.

Podczas kolacji patrzymy na okoliczne szczyty. Z tej odległości wszystkie wydają się być bardzo do siebie podobne. Za dnia śniadopomarańczowe, teraz o zmierzchu ciemnobrązowe. Jeszcze kilka chwil, a słońce schowa się za horyzont i wówczas będą się nam przyglądać ciemne kontury, zarysy andyjskiego pogórza. Z udekorowanym gwiazdami niebem, przez które raz na jakiś czas przefrunie jakiś wielki ptak. Charakterystycznie pogwizdując i kołysząc do snu.

Nazajutrz rano jesteśmy już przed wąskim kanionem. Dwie pionowe ściany zdają się być oddalone od siebie nie więcej niż 500 metrów. Wielka pionowa szczelina. Wyglądająca niczym wejście do gigantycznej jaskini. Zdejmuję plecak i staję jak wryty. Z jednej strony chciałoby się wejść do środka tej szczeliny jak najszybciej. Zaspokoić ciekawość, co też takiego może kryć. Zarazem jednak ten widok jest tak majestatyczny, tak hipnotyzujący, że wcale nie chce się człowiekowi nigdzie ruszać. Mógłby tak stać i patrzeć. Właśnie to w górach jest chyba najcudowniejsze. Ta długość chwili. W zapatrzeniu. W zachwycie. Gdy nic ani nikt nas nie pogania.

W odludnych i bezkresnych Andach Peruwiańskich byłoby zresztą trudno o jakiekolwiek poganianie przez kogokolwiek. Z prostego powodu: tutaj nikogo nie ma. Najbliższe kilka dni spędzimy w separacji od świata. W smakowaniu krainy nie tylko piękna, lecz także samotności. Póki co wiem o tym jedynie z opinii innych wędrowców, którzy postawili nogę na tym skrawku ziemi. Za kilka dni będę już wiedział sam, że przez najbliższe cztery dni spotkamy w tych górach zaledwie kilkanaście osób. Kilka góralskich rodzin, z których większość będzie prosiła o jakieś lekarstwo na głowę. To będzie cała komunikacja, jakiej będę w najbliższych dniach poddany. Poza tym cisza. Tak piękna. Ale i tak złowroga zarazem.

▶ Twarzą w twarz z gringo

Pora zarzucić plecak i ruszyć w drogę. W tego typu dolinach na początku zawsze jest najtrudniej. Trzeba wszak nabrać wysokości. A ta w Cordillera Blanca rośnie akurat bardzo gwałtownie. Z 2900 m n.p.m. przy wspomnianym kanionie ujścia doliny Santa Cruz do 6259 m n.p.m. w przypadku najbliższej kulminacji (szczytu o tej samej nazwie – Santa Cruz). A zatem na odległości niespełna 10 km teren będzie się wznosić o niemal 3,5 km (!). To doprawdy niewiarygodne przewyższenie.

Trasa zaczyna docierać do wąskiego kanionu. Ciekawość może być wreszcie zaspokojona. Wyobraźnię mogą zastąpić rzeczywiste widoki. Po drugiej stronie skalnej bramy pejzaże niczym z rajskiego Edenu. Rozłożyste łąki między spadającymi do głównego nurtu strumykami. Gdzieniegdzie stoki porastają mchy. Niewiele tu drzew. Jest wciąż zbyt stromo.

Widoki stają się coraz częstszym argumentem na kolejny odpoczynek. Choćby na moment. Wszak i nogę ruszyć coraz trudniej. Pociągam jedną stopę za drugą. I jeszcze raz. I jeszcze wyżej. Każde podciągnięcie na kolanie, każde wyprostowanie stawu na wyższy schodek to kolejne odczuwane kilogramy dźwiganego ciężaru na plecach. I znów litania w myślach o tym, po co było brać aż tyle sprzętu. Teraz każdy kilogram mniej wydaje się być wart królestwa.

eprasa.pl 87cb269c4d



Wspinaczka pod uznawany za najpiękniejszy szczyt świata Alpamayo w peruwiańskiej Cordillera Blanca to bez wątpienia wyzwanie i hartowanie ducha.

Idziemy południową ścianą kanionu. Pod nami szumi potężny potok. Co jakiś czas widać na dole sielankową zieloną wysepkę umocowaną na środku głośnego potoku. Z tej perspektywy miejsce na biwak wydaje się wręcz wymarzone. Ale to wciąż przecież nie jest nasz cel. Trzeba iść dalej. Wśród pustki skał, wśród rażącego coraz mocniej południowego słońca.

I, co ciekawe, bez ludzi. Zamiast nich są zwierzęta. Tych w Dolinie Santa Cruz Cordillera Blanca jest w bród. Głównie bydła. Wychudzone krowy skubiące trawę. Nie miałem dotąd pojęcia, na jak trudne techniczne półki skalne potrafią wejść te zwierzęta. Największe wrażenie jest wówczas, gdy po dłuższej wspinaczce po wąskim i skalistym żlebie docieramy na trudno dostępną przełęcz. I gdy wreszcie jesteśmy już na miejscu, spostrzegamy, że okolicznym kawałku trawy stoi krowa, wolno trawę przeżuwając i wpatrując się w pełną niedowierzania i zadziwienia twarz gringo. Poza krowami pełno tu dzikich koni, górskich osłów. Czasem nad głowami zapiszczy jakiś orzeł.

Lekarstwo jako narkotyk

Dolina rozszerza się coraz bardziej. Po obu stronach pojawiają się spływające ze ścian kaskady. Razem z górującymi nad doliną szczytami współtworzą harmonijne piękno Cordillera Blanca. Choćby z mijanym w tej chwili po naszej lewej stronie masywem Quitaraju. Ośnieżonym szczytem, którego wiszące okapy południowej ściany komponują się w pionowe, na przemian wypukłe i wklęsłe strugi. Całość przypomina jak gdyby gigantyczny śnieżny wachlarz. A pod tym wachlarzem szum również białej, spienionej wody. Wodospad z pewnością zasilają wody z topniejących śniegów szczytowej partii Quitaraju. Człowiekowi, przed którym Stwórca rozpościera takie pejzaże, nie potrzeba naprawdę nic więcej. Mógłby tak siedzieć i patrzeć. Zapomina o jedzeniu, o zmęczeniu. Jest wówczas w jakimś innym wymiarze. Szczęśliwy i spełniony. Myślę sobie, że może nawet ciut bliżej nieba. I dosłownie, i w przenośni.

Dolina jest już na tyle szeroka, że mieści się w niej całkiem spore jezioro. To Lago Jatuncocha. Ciemne, szmaragdowe, spokojne. Morskie Oko Cordillera Blanca. Jesteśmy na wysokości około 3500 m n.p.m. I, co ważne, pojawiają się wreszcie pierwsze ludzkie osady. Czyli jednak ktoś tu żyje.

Mijamy kamienny domek z okalającym go niewielkim poletkiem uprawnym. Cała rodzina – osiem, może dziewięć osób – stoi w tej chwili na orce i ciężko pracuje. Mężczyźni idą za koniem ciągnącym prymi-

eprasa.pl 87cb269c4d



Huascaran, czyli peruwiański Wielki Grabarz.

tywny pług. Kobiety coś sadzą. Widząc nas, na moment przerywają.

– Buenos dias! A co wy tu robicie? – pyta stojąca najbliżej murku pani.

– W góry idziemy! – odkrzykujemy.

– Ale przecież deszcze idą. Uwijajcie się!

– Nie zabawimy tutaj długo. Tylko kilka dni… – odpowiadam.

– Słuchajcie… – zmienia nagle temat kobieta. – A nie mielibyście czasem czegoś na głowę? Proszka jakiegoś?

W ten sposób nasza apteczka zostaje uszczuplona o aspirynę. I to nie pierwszy raz. Podobnie rzecz będzie wyglądała także przy kolejnej chacie. Dziś i jutro, i pojutrze.

– Sama nie wiem, czy dawać im te leki… – snuje rozważania Ula. – Odnoszę wrażenie, że oni wcale nie potrzebują tego na ból głowy. Chyba chodzi o zwykłe odurzanie się. Używają lekarstwa jako swego rodzaju używki.

Legenda przy ognisku

Dni w Cordillera Blanca mijają powoli. Podobnie jak powoli z każdym dniem niebo zasnuwane jest kolejną, coraz grubszą warstwą chmur. Nie wygląda to za ciekawie. Ile można żyć nadzieją, że nas nie zmoczy? W końcu mamy przecież porę deszczową. I ta wreszcie nas dopada. Zaczyna padać. Początkowo subtelnie. Po chwili szybciej. I jeszcze szybciej. Szum jest tak wielki, że nie słyszymy wzajemnych pokrzykiwań. Cordillera Blanca już nie jest „blanca". Staje się szara. I smutna.

Tak zmoczeni docieramy do pewnej pojedynczo stojącej chaty, w której, jak się później dowiemy, mieszka samotny starzec. Pozwala nam przespać się w jednej z izb jego gospodarstwa. Nie będę ukrywał, że przyjmuję tę zgodę z wielką ulgą. Po dzisiejszym dniu nie mam ochoty na rozbijanie namiotu. Robi się coraz zimniej. I ta męcząca perspektywa porannego zwijania. A tak szykuje się całkiem przyzwoity nocleg pod sienną strzechą, przy zgliszczach niewielkiego paleniska, którym właśnie zajmuje się nasz dobrodziej. A poza tym to zawsze raźniej. No i będzie okazja do rozmowy. Jednej z takich, jakie lubię najbardziej. Pod rozgwieżdżonym niebem, przy akompaniamencie trzaskających iskier, w amfiteatrze górskiego pejzażu Blanca.

– Bo widzicie… – szepcze starzec, wolno przeżuwając liście koki. – Boskim potomkom nie wolno zakochiwać się w ludziach…

Mężczyzna na moment wstaje, aby dorzucić chrustu do ognia. Zatem zerkam na niebo. Ciemne chmury,

eprasa.pl 87cb269c4d

z których cały dzień lał rzęsisty deszcz, jakby ktoś przegnał. Teraz są tylko gwiazdy. A te na półkuli południowej to dla mieszkańców Starego Kontynentu obszar do nieskończonych obserwacji. Nie znajdziemy na tutejszym nieboskłonie popularnego u nas Wielkiego Wozu. Nie ma Kasjopei. Jest nowe. Niezbadane. Mrowie białych kropek na palecie nocnego nieba. A poniżej biała, porwana linia wyznaczona przez grań otaczających nas w tej chwili szczytów Cordillera Blanca. – Nie wolno im... – kontynuuje pasterz, dokładając do ognia.

Samotny pasterz Cordillera Blanca. Uwielbiam takich ludzi. Są niezwykle prawdziwi. Surowi, często opryskliwi dla obcych i niedostępni. Ale właśnie – i tu się powtórzę – prawdziwi. Bez masek. Gdy mężczyzna tylko kończy dokładać chrust, ponownie zasiada obok nas. Kolejny łyk gorzkiej ciepłej herbaty. I znów wraca niczym mantra. – Boskim potomkom nie wolno zakochiwać się w ludziach...

Z płomieni słychać trzask iskier przeszywający zapadłą pośród nas ciszę. Ciszę górskiej nocy. Starzec długo wpatruje się w ogień. W jego czarnych źrenicach dostrzegam odbicie płomieni. Nie, nie wyjmę teraz aparatu. To zbyt intymna chwila. I zbyt ulotna. Pozostaje ją tylko przeżywać.

– Huascaran nie zawsze był potężną górą... – mówi dalej, powolnie dobierając słowa. – Kiedyś był księciem Inków. Dobrym władcą. Cenionym. Troszczącym się o lud. Wszystko zmieniła kobieta – ponownie zawiesza głos.

Słuchamy w milczeniu, nie chcąc spłoszyć naszego mówcy. Indiańscy górale wcale nie są tacy wylewni i skłonni do opowieści.

– Huandoy, tak miała na imię. Poznał ją tutaj, w górach. To była miłość od pierwszego wejrzenia. – Mam wrażenie, że starzec snuje tę opowieść, jakby wspominał swoją pierwszą miłość. – Wszędzie razem. Wpatrzeni w siebie jak w obrazek. Ale obyczaj zakazywał. Ona była z ludu. On był wybrany. Związek nie miał szans.

– I co się stało? – Zosia nie wytrzymuje napięcia.

– Rozdzielili ich. Jednak bogowie zlitowali się nad nieszczęśnikami i zamienili ich w góry. Samotne, ale jednak położone blisko siebie. Stąd ich nie zobaczycie. Przysłaniają je ściany dolin. Ale jutro, jak pójdziecie wyżej i pogoda dopisze, obróćcie się na wschód. Tam je ujrzycie. Dostojne. Zwrócone w swoją stronę. To wielki książę i jego wybranka. Huascaran i Huandoy. Na zawsze obok siebie – kończy, topiąc usta w osmolonym metalowym kubku.

„Wielki Grabarz"

Zasypiam, rozmyślając na temat najwyższej góry Peru. Ale nie w kontekście sympatycznego mitu o zastygłym inkaskim księciu, lecz jako o górze mającej jedną z najstraszliwszych renom na świecie. Górze nazywanej „Wielkim Grabarzem". Przykładający wielką wagę do nazw Indianie nie nadaliby najwyższemu szczytowi takiej nazwy z byle powodu. Co gorsza, tym razem rzecz nie dotyczy legendy ani gawędziarskiej opowieści. „Grabarz" wziął się z pewnego wydarzenia, które miało miejsce jakiś czas temu.

Był rok 1970. Ostatni dzień maja. Godzina 15:23. Zarazem ostatnia godzina dla 22 tys. mieszkańców osady Yungay. Trzy przeraźliwe minuty. Najpierw tragiczne w skutkach trzęsienie ziemi. Tąpnięcie płyt tektonicznych skutkuje waleniem się prowizorycznych dachówek wprost na głowy ludzi. Ściany domostw nie wytrzymują napięć, grzebiąc przebywających w nich gospodarzy. Tragedia trwa 45 sekund. Szczęśliwcy uciekają na ulice. Zaczyna się akcja ratunkowa wydobywania przysypanych pod gruzami bliskich. W tym momencie słychać gwałtowny huk. Oberwanie. Śmiertelny oddech potężnego masywu znajdującego się dokładnie nad Yungay. Część ze znajdujących się w miasteczku zdąży jeszcze spojrzeć w górę, ponad siebie. Część nie będzie mieć czasu nawet na to. 400 milionów metrów sześciennych lodu i śniegu pędzące wprost na wioskę. Z północno-zachodniej ściany Huascaran z prędkością 280 kilometrów na godzinę sunie gigantyczna fala gęstego błota. Pokrywa wszystko, co spotka na swej drodze. Po kilkunastu sekundach dociera do Yungay. Z 22 tys. ludzi ocaleje 400 osób. Około 300 to dzieci, które akurat tego dnia zostały zaproszone na występy objazdowego cyrku, dającego pokaz na nieodległym wzgórzu. I 92 dorosłych, przebywających akurat na położonym na wzniesieniu cmentarzu.

Tamtego dnia w Meksyku rozpoczynały się mistrzostwa świata w piłce nożnej. Zapewne wielu mieszkańców Yungay siedziało przy radioodbiornikach, czekając na pierwszy gwizdek sędziego... Współczesny armagedon. Dziś już tamtego Yungay już nie ma. Władze uznały zalane błotem i zasypane gruzem miasto za zbiorową mogiłę. Za cmentarz narodowy. Samą miejscowość odbudowały. Ale już kilometr dalej.

Na zbiorowej mogile pogrzebanych przez błotną lawinę ludzi stoi do dziś marmurowa statua Chrystusa Odkupiciela. Patrzy w stronę gniewnej góry pokrytej przez cały rok białym puchem. Patrzy, otwierając ramiona. Ten pomnik stanął tu cztery lata przed kataklizmem. I pomimo lawiny ostał się. Dziś świadczy o zdarzeniu. I kruchości ludzkiego życia. Huascaran zresztą też stoi nadal. Z tą samą, srogą północno-zachodnią ścianą skierowaną ku tysiącom niemych grobów. „Wielki Grabarz" nadal patrzy.

eprasa.pl 87cb269c4d



Peruwiańska rodzina górali zamieszkująca stoki Doliny Santa Cruz. Kobieta prosi o proszki na ból głowy. Kolejne napotkane rodziny czynią podobnie.

Bezcenna nauka

– Dobrze już. Wystarczy ględzenia starego. Teraz wy coś powiedzcie – pasterz przerywa chwilę milczenia. – Skąd wy?

– A, z bardzo daleka – ośmiela się Ula, znająca z nas wszystkich hiszpański najlepiej. – Z Europy.

– Europa – powtarza starannie Indianin – Macie tam u siebie jakieś góry?

– Pewnie – podchwytuję. – Wprawdzie troszkę mniejsze niż te wasze, ale równie piękne.

– To dobrze. Dbajcie o nie. Góry nie muszą być olbrzymie. Grunt, że są. Nie lubię krajów pozbawionych gór. Nie rozumiem, jak można żyć, gdy wokoło jest równo. To wręcz szkodliwe dla oczu! Tym, czym dla płuc tytoń, tym dla oczu brak gór w krajobrazie – tłumaczy, a ja szybciutko notuję jakże oryginalne porównanie. – No dobrze, ale w górach to wy pewnie nie mieszkacie, co? – pyta, w ogóle na nas nie patrząc.

– Niestety – odpowiadam jakby zawstydzony.

– Widać… – kontynuuje bez cienia zażenowania. Jak to Indianin. Surowy, poważny, niebawiący się w owijanie w bawełnę.

– Po czym? – próbuję wniknąć w temat.

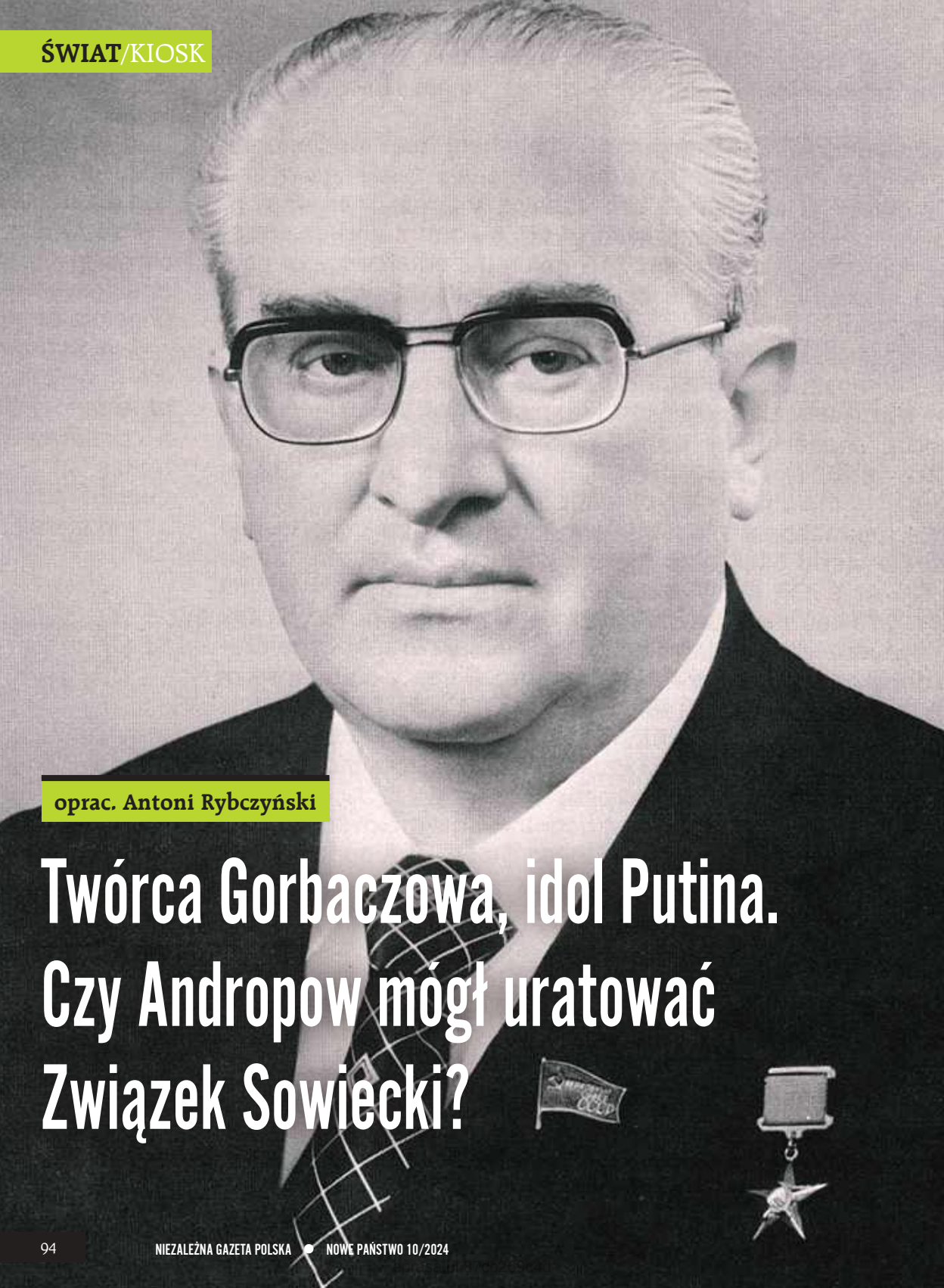
– Jak to po czym? – oburza się zdziwiony, cały czas wpatrzony w palenisko. – Po wszystkim! Po waszym oddechu. Zapachu. Sposobie patrzenia. Ale i po waszych zachwytach. Co które wyjdzie na chwilę na zewnątrz, zaraz wraca z ekscytacją w oczach. Biedni ludzie z was. Wiele tracicie. Nie warto – dodaje tajemniczo.

– Czego nie warto? – próbuję pociągnąć za język.

– No właśnie. Wam wszystko trzeba tak jasno, konkretnie… – zamyśla się, by po dłuższej chwili wpatrywania się w ogień kontynuować. – Nie warto tak żyć. Zamykać się w jakieś kajdany obowiązków. Doczesności życia codziennego. Zastanówcie się chwilę: ile z czynności, które wykonujecie każdego dnia, jest na was wymuszonych? Czy to jest wolność? Czy to jest to, czego naprawdę oczekujecie? Wy nawet na postawienie sobie takiego pytania nie macie czasu. Wiem, co mówię. Bywam czasem na dole, w mieście. Nikt nie słucha. Nie ma ciszy. Nie ma ciszy… – powtarza.

Za to ta, która nastaje teraz, jest bardzo długa. Potrwa już do świtu. Stary pasterz siedzi z nami jeszcze kilka chwil, by wreszcie wstać i bez pożegnania wejść do swej izdebki. Zostajemy sami. W milczeniu. Może o to mu chodziło? By każdy miał wreszcie ten czas. Chyba my też pójdziemy spać. ■

eprasa.pl 87cb269c4d



oprac. Antoni Rybczyński

Twórca Gorbaczowa, idol Putina. Czy Andropow mógł uratować Związek Sowiecki?

Spośród ośmiu sowieckich przywódców, którzy następowali po sobie w ciągu 74 lat, Andropow jest najbardziej enigmatyczny. Historia dała mu niewiele czasu. Osiągnął najwyższą władzę w wieku 68 lat, śmiertelnie chory, i pozostał na stanowisku przez około 15 miesięcy, z czego faktycznie służył państwu mniej niż dziesięć. Niektórzy Rosjanie są przekonani, że Andropow byłby sowieckim Deng Xiaopingiem, inni że byłby nowym Stalinem. Historycy, opierając się na wspomnieniach osób bliskich Andropowowi oraz analizach faktów i dokumentów, skłaniają się ku przekonaniu, że nie był ani jednym, ani drugim – pisze Artiom Kreczetnikow (A. Kreczetnikow, „Jurij Andropow: nowy Stalin czy radziecki Deng Xiaoping?", BBC Russian, 13 listopada 2012).

Rankiem 10 listopada 1982 r. około godziny 8:30 ochroniarz znalazł Leonida Breżniewa martwego w łóżku. Przybyli na miejsce lekarze bezskutecznie próbowali go reanimować. Zaledwie 20 minut później do daczy przybył Jurij Andropow. Najwyraźniej strażnicy już zdali sobie sprawę, kto został spadkobiercą Breżniewa. Andropow polecił zwołać Biuro Polityczne do wieczora i wprowadzić wzmocniony reżim bezpieczeństwa w Moskwie. Śmierć Breżniewa została ogłoszona dopiero następnego dnia. Andropow miał większość w Biurze Politycznym. Propozycja Dmitrija Ustinowa, aby wybrać Andropowa na nowego sekretarza generalnego, została zatwierdzona przez wszystkich. Sekretarzem Centralnego Komitetu Ideologii został Konstantin Czernienko. Na czele komisji ds. pogrzebu Breżniewa stanął Andropow. Przed plenum Komitetu Centralnego był to jasny sygnał dla kraju, kto będzie pierwszą osobą" (Michaił Michajłow, „Kurs Andropowa. Czy szef KGB był ostatnią szansą dla ZSRR?", Radio Swoboda, 31 maja 2024). „12 listopada 1982 r. plenum Komitetu Centralnego KPZR, zwołane w trybie pilnym w związku ze śmiercią Leonida Breżniewa, wybrało Jurija Andropowa na sekretarza generalnego Komitetu Centralnego. Układ sił był z góry ustalony, wybory szybkie i jednomyślne. W dniu 16 czerwca 1983 r. Andropow został w pełni zrównany ze swoim poprzednikiem, dodając do najwyższego stanowiska państwowego partii przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej" (A. Kreczetnikow, „Jurij Andropow: nowy Stalin czy radziecki Deng Xiaoping?", BBC Russian, 13 listopada 2012). „Objęcie przez Andropowa stanowiska sekretarza generalnego, a zatem »prezydenta« kraju, było triumfem bezpieczeństwa państwowego w Związku Radzieckim. Po raz pierwszy od 1917 roku szef czekistów [Andropow kierował KGB w latach 1967–1982 – przyp. red.] został głową państwa. Nie udało się to żadnemu z jego poprzedników: ani Dzierżyńskiemu, który brał udział w spisku na życie Lenina, a następnie przewodził konduktowi pogrzebowemu, ani Berii, który kierował spiskiem mającym na celu usunięcie Stalina" (Jurij Felsztinski, Władimir Popow, „Od Dzierżyńskiego do Putina. Służby specjalne Rosji w walce o dominację nad światem 1917–2036", Poznań 2022, s. 243).

Sanacja państwa na licencji KGB

„Po jednogłośnym wyborze Andropow rytualnie zapewnił swoich towarzyszy, że będzie kontynuował wdrażanie »całej leninowskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej prowadzonej pod rządami Leonida Breżniewa«. Kontynuacja tej polityki nie nastąpiła.

FOT. WIKIMEDIA-COMMONS

eprasa.pl 87cb269c4d

Nowy przywódca musiał zademonstrować nowy kurs. Na spotkaniu z okazji 60. rocznicy powstania ZSRR Andropow oświadczył: Partia powinna być zorientowana na czyny, a nie na głośne hasła. Zostało to odebrane jako krytyka poprzedniej polityki. […] Czy Andropow miał szczegółowy plan transformacji do czasu objęcia stanowiska sekretarza generalnego? Były to raczej pewne szkice. Na pierwszym etapie nie ukrywał, że postanowił zacząć od rzeczy prostych. W przemówieniu wygłoszonym 31 grudnia 1982 r. Andropow powiedział: Chociaż wszystkiego nie można sprowadzić do dyscypliny, towarzysze, to właśnie od dyscypliny musimy zacząć... Bez odpowiedniej dyscypliny – pracy, planowania, dyscypliny państwowej – nie będziemy w stanie szybko iść naprzód... Nie zmieniając organizacji pracy i życia codziennego, nowe kierownictwo postanowiło leczyć zaległe problemy za pomocą strachu" (Michaił Michajłow, „Kurs Andropowa. Czy szef KGB był ostatnią szansą dla ZSRR?", Radio Swoboda, 31 maja 2024).

Nie brakuje opinii, że Andropow miał szansę zreformować państwo i zapobiec jego upadkowi. Głównym atutem miało być… KGB. Ale nie tylko w sensie narzędzia represji. „Andropow doskonale rozumiał słabości sowieckiego systemu, zarówno dzięki informacjom, którymi dysponował, gdy kierował KGB, jak i dzięki swojemu doświadczeniu w samym KGB. Co ciekawe, KGB i radziecki kompleks wojskowo-przemysłowy były jedynymi dwoma radzieckimi podmiotami, które funkcjonowały z powodzeniem – właśnie dlatego, że podobnie jak radzieccy sportowcy olimpijscy, musiały stale konkurować z najlepszymi odpowiednikami, jakie miał do zaoferowania świat zewnętrzny" – pisze Victor Yasmann. „Autor i dziennikarz Maksym Kałasznikow (prawdziwe nazwisko: Władimir Kuczerenko) w 2003 roku napisał książkę zatytułowaną »Naprzód do ZSRR-2«, w której przedstawił to, co uważał za plan reform Andropowa. Jego istotą było połączenie sił kompleksu wojskowo-przemysłowego i KGB poprzez przeprowadzenie autorytarnego planu modernizacji, który doprowadziłby do powstania nowoczesnego państwa korporacyjnego. Kałasznikow współpracował przy innych książkach z bankierem Siergiejem Kuguszewem, który w 1983 roku był młodym ekonomistą pracującym w grupie analitycznej badającej propozycje modernizacyjne Andropowa. Twierdzi, że osobiście pomagał w przygotowaniu tej wersji, którą nazywa »Korporacją Czerwonej Gwiazdy«. Kluczową rolę w rzekomym planie Andropowa miał odegrać Szósty Zarząd KGB, który zajmował się gromadzeniem informacji gospodarczych. Komórka ta zgromadziła masę tajnych technologii przejętych od radzieckich innowatorów i skradzionych z Zachodu przez agentów KGB. Informacje te miały zostać wykorzystane do wywołania rewolucji naukowo-technicznej, która napędziłaby modernizację kraju. Plan przewidywał również kultywowanie „najlepszych i najzdolniejszych" w Związku Radzieckim, którzy mieliby zostać zwerbowani do KGB. Wielu oficerów KGB posiadało dogłębną wiedzę na temat mocnych i słabych stron gospodarek rynkowych i otwartych, wielopartyjnych systemów politycznych. Co ciekawe, głównym rezerwuarem kadr dla KGB była radziecka organizacja młodzieżowa Komsomoł, z której wywodziło się wielu postsowieckich rosyjskich oligarchów" (Victor Yasmann, „Rosja: Od władzy siłowików do państwa korporacyjnego", Radio Free Europe/Radio Liberty, 25 września 2007). „Do lat 1982–1983 KGB przeniknął poprzez oficerów czynnej rezerwy do wszystkich sfer życia i działalności państwa radzieckiego, oplótł społeczeństwo swoimi agentami i nie rozwiązał tylko jednego formalnego zadania służb bezpieczeństwa: nie zlikwidował monopolu partii komunistycznej na władzę i nie pozbawił jej politycznej kontroli nad KGB. Gdyby Andropow żył trochę dłużej, to z pewnością zadanie to zostałoby potajemnie wykonane przez bezpiekę" (J. Felsztinski, W. Popow, „Od Dzierżyńskiego do Putina. Służby specjalne Rosji w walce o dominację nad światem 1917–2036", Poznań 2022, s. 243–244).

Reformator czy stalinista?

„Ci, którzy chcieli postrzegać Andropowa jako liberała, podkreślali jego znajomość języka angielskiego, zamiłowanie do muzyki Glenna Millera i jazzu, a zwłaszcza fakt, że był pierwszym sowieckim przywódcą, który przyciągnął błyskotliwych intelektualistów do swojego biura. Ale w sprawach praktycznych Andropow trzymał się konserwatywnego kursu i polegał na innej grupie pomocników – ludziach z prowincjonalnych komitetów okręgowych. Na pierwszy rzut oka Andropow rzeczywiście przewyższał intelektualnie większość starszych członków Biura Politycznego i myślał nie tylko o tym, jak umrzeć na stanowisku, a po nas choćby potop, ale także o przyszłości kraju. Jednak jego pomysły reformatorskie ograniczały się do wzmocnienia pracy kontrolnej i edukacyjnej oraz walki z najbardziej rażącymi przejawami korupcji, co nie wystarczało do rozwiązania kardynalnych problemów" (A. Kreczetnikow, „Jurij Andropow: nowy Stalin czy radziecki Deng Xiaoping?", BBC Russian, 13 listopada 2012). Nie brakuje opinii, że Andropow już od lat 60. XX wieku planował porzucić radziecką ideologię i przenieść kraj do gospodarki rynkowej pod ścisłą dyktaturą. Wersja ta wygląda fascynująco, ale nie wzbudza

eprasa.pl 87cb269c4d

zbytniego zaufania – pisze Kreczetnikow. „Andropow wyraził swój stosunek do rynku w 1978 r. w notatce do Breżniewa, w której sprzeciwił się studiowaniu zachodnich doświadczeń w zarządzaniu i doradził mianowanie »profesjonalnych przywódców politycznych«, a nie specjalistów »którzy rozpoczynają każdą rozmowę od nabazgrania liczb na papierze«. – Andropow wyobrażał sobie reformy w formie sanitarnego czyszczenia zatrzymanej, duszącej się lokomotywy parowej – napisał w swoich wspomnieniach Aleksandr Jakowlew. – Znałem go osobiście i spotykałem się z nim regularnie przez sześć lub siedem lat. Dobrze wiem, że nie był on ani demokratą, ani reformatorem – przekonywał Wadim Pieczeniew, były szef grupy konsultantów w wydziale propagandy Komitetu Centralnego" (A. Kreczetnikow, „Jurij Andropow: nowy Stalin czy radziecki Deng Xiaoping?", BBC Russian, 13 listopada 2012).

„W gospodarce podjęto decyzję o rozpoczęciu kilku eksperymentów na dużą skalę w celu zwiększenia możliwości przedsiębiorstw, w pewnym sensie powracając do »reformy Kosygina« i »samofinansowania«. Statystyki z 1983 r. mogły zadowolić władze: odnotowano niewielki wzrost (rok do roku) o 4 procent w przemyśle i 5 procent w zwykle pozostającym w stagnacji rolnictwie. Nie zmieniło to ogólnego obrazu późnej stagnacji, ale dało władzom nadzieję na przezwyciężenie procesów kryzysowych bez radykalnych środków i zwiększenie produkcji towarów na rynek konsumencki. Andropow powołał komisję ds. reform gospodarczych. Ale za rządów Andropowa koncepcja reform nigdy się nie pojawiła. To pokazuje, że Andropow nie miał własnego programu gospodarczego, a chińskie doświadczenie nie było pożądane" (M. Michajłow, „Kurs Andropowa. Czy szef KGB był ostatnią szansą dla ZSRR?", Radio Swoboda, 31 maja 2024). Badacze zwracają uwagę, że niezależnie od jego stanu zdrowia i subiektywnych pragnień, „radziecki Deng Xiaoping" stanąłby przed znacznie trudniejszymi i prawdopodobnie nierozwiązywalnymi problemami. „Chiny przed śmiercią Mao Zedonga, podobnie jak Związek Radziecki w okresie NEP-u, były w przeważającej mierze krajem chłopskim. Zezwolenie na dzierżawę ziemi i wolny handel produktami – tak na początku wyglądała cała reforma. W Związku Sowieckim na początku lat 80. dobra połowa populacji była zatrudniona w przemyśle ciężkim i wojskowym, który ze swej natury z trudem mieścił się na rynku. W Chinach socjalizm trwał nie 70, ale tylko 40 lat, więzy czasu nie zostały zerwane, a ludzie zachowali doświadczenie i pragnienie prywatnego zarządzania ziemią, małym biznesem i handlem" (A. Kreczetnikow, „Jurij Andropow: nowy Stalin czy radziecki Deng Xiaoping?", BBC Russian, 13 listopada 2012).

▶ Wyścig zbrojeń i kadry

Dziury w budżecie i niedobory podatkowe musiały zostać wypełnione, a od czasu dojścia Andropowa do władzy nie dokonano żadnych znaczących cięć w wydatkach kapitałowych lub wojskowych. Trwała wojna w Afganistanie, potrzebne było wsparcie finansowe z krajów socjalistycznych, trwał wyścig zbrojeń – pisze Michajłow. Po tym jak został sekretarzem generalnym, Andropow wysunął tezę, że Związek Sowiecki powinien mieć parytet militarny nie tylko ze Stanami Zjednoczonymi, lecz także z „każdą możliwą koalicją potencjalnych przeciwników" – innymi słowy: z resztą świata łącznie. „Kiedy usłyszeliśmy, jak wypowiada tę formułę, będę szczery, zabrakło nam słów" – wspomina Nikołaj Leonow, były szef wydziału analitycznego KGB (A. Kreczetnikow, „Jurij Andropow: nowy Stalin czy radziecki Deng Xiaoping?", BBC Russian, 13 listopada 2012). „Nowy etap konfrontacji z Zachodem wymagał dodatkowych środków dla kompleksu wojskowo-przemysłowego ZSRR. Wywołała go decyzja ZSRR o zastąpieniu 600 radzieckich rakiet zmodernizowanymi pociskami SS-20 z trzema głowicami. Kraje NATO odpowiedziały rozmieszczeniem pocisków Pershing-2 w Europie. Wywołało to nową rundę kosztownego i niebezpiecznego wyścigu zbrojeń. Na polecenie Andropowa ZSRR wycofał się z negocjacji i anulował moratorium na rozmieszczenie rakiet w europejskiej części kraju. Zapowiedziano przyspieszenie negocjacji z NRD i Czechosłowacją w sprawie instalacji na ich terytoriach rakiet operacyjno-taktycznych o zwiększonym zasięgu" (M. Michajłow, „Kurs Andropowa. Czy szef KGB był ostatnią szansą dla ZSRR?", Radio Swoboda, 31 maja 2024).

Być może najważniejszą rzeczą, jaką udało się zrobić Andropowowi, było odnowienie najwyższego szczebla władzy. Osobiście awansował dużą grupę funkcjonariuszy partyjnych następnego pokolenia do aparatu Komitetu Centralnego: Gorbaczowa, Ligaczowa, Ryżkowa i innych. Ci sowieccy politycy musieli wybrać, w jaki sposób i w jakim tempie rozwiązać problemy wyprowadzenia kraju z kryzysu polityczno-gospodarczego po śmierci Jurija Andropowa, a rok później Konstantina Czernienki. Na pierwszym etapie „przyspieszenia" prezentowali się jako wierni kontynuatorzy sprawy Andropowa, ale wkrótce, pod wieloma względami, zostali zmuszeni do obrania innej drogi „pierestrojki" (M. Michajłow, „Kurs Andropowa. Czy szef KGB był ostatnią szansą dla ZSRR?", Radio Swoboda, 31 maja 2024).

eprasa.pl 87cb269c4d

Gorbaczow nigdy nie ukrywał, że był nominatem Andropowa, a krytykując „stagnację", wypowiadał się o swoim byłym patronie wyłącznie w superlatywach. „Andropow zapoznał się z młodym energicznym przywódcą Stawropola, regularnie wypoczywającym w Kisłowodzku. Wieczorem 19 września 1978 r. pociąg specjalny, w którym Leonid Breżniew podróżował na południe w towarzystwie Konstantina Czernienki, zatrzymał się w Mineralnych Wodach. Andropow, który w tym czasie przebywał na wakacjach w sanatorium Krasnyje Kamienie, przywiózł tam Gorbaczowa. W ten sposób czterech sekretarzy generalnych Komitetu Centralnego KPZR spotkało się na peronie jednocześnie. To właśnie wtedy kwestia przeniesienia Gorbaczowa do stolicy została zasadniczo rozstrzygnięta" (A. Kreczetnikow, „Jurij Andropow: nowy Stalin czy radziecki Deng Xiaoping?", BBC Russian, 13 listopada 2012). Nawiasem mówiąc, Andropow faworyzował również Borysa Jelcyna. „W 1983 r. pierwszy sekretarz Swierdłowskiego Komitetu Regionalnego Borys Jelcyn został dwukrotnie wezwany do Moskwy na spotkanie z Andropowem w celu rozwiązania problemów gospodarczych regionu. Jegor Ligaczow pisze, że otrzymał od Andropowa zadanie »przyjrzenia się Jelcynowi w Swierdłowsku«. Wrażenia Ligaczowa z podróży w styczniu 1984 r. były pozytywne. Aktywny działacz partyjny znalazł się na liście osób »do nominacji« przygotowanej przez Gorbaczowa. Jego kandydatura została zatwierdzona przez Andropowa już w szpitalu" (M. Michajłow, „Kurs Andropowa. Czy szef KGB był ostatnią szansą dla ZSRR?", Radio Swoboda, 31 maja 2024).

Andropow–Gorbaczow–Putin

„Od jesieni 1983 r. Andropow musiał pozostać na stałe w szpitalu i stamtąd telefonicznie i za pomocą uchwał kierować krajem. Tam przyjmował swoich współpracowników i członków Biura Politycznego. Pod koniec stycznia 1984 r. stan zdrowia Jurija Andropowa gwałtownie się pogorszył. W dniu 9 lutego 1984 r. o godzinie 16:50 sekretarz generalny KPZR i głowa państwa zmarł. Biuro Polityczne jednogłośnie podjęło decyzję o wyborze na sekretarza generalnego Konstantina Czernienki, który prowadził posiedzenia organu podczas choroby Andropowa" (M. Michajłow, „Kurs Andropowa. Czy szef KGB był ostatnią szansą dla ZSRR?", Radio Swoboda, 31 maja 2024). „Krążyły pogłoski o istnieniu »testamentu« Andropowa, w którym wyznaczył Gorbaczowa na swojego następcę, ale nie znaleziono żadnego śladu tego dokumentu. W każdym razie, jeśli szefowie partii nie liczyli się z wolą Lenina w swoim czasie, nie było powodu, by sądzić, że spełnią pośmiertną wolę Andropowa. Gorbaczow nie mógł jeszcze konkurować ze starą gwardią, ale w zamian za poparcie w wyborach na sekretarza generalnego" sam zaproponował, by posiedzenia Sekretariatu Komitetu Centralnego prowadził Michaił Gorbaczow, który tym samym zajął drugie miejsce w przywództwie ZSRR (A. Kreczetnikow, „Jurij Andropow: nowy Stalin czy radziecki Deng Xiaoping?", BBC Russian, 13 listopada 2012).

„Andropow został ogłoszony, wraz z Ronaldem Reaganem, Człowiekiem Roku 1983 przez magazyn »Time«. Czy oznacza to, że mógłby on, jeśli pozwoliłby mu na to stan zdrowia, zmienić świat tak znacząco, jak zrobił to Reagan? Takie przypuszczenia nie wydają się przekonujące" – uważa Michajłow. „W sferze międzynarodowej Andropow był zakładnikiem decyzji o zaangażowaniu wojsk w Afganistanie, co było powrotem do praktyk zimnowojennych. Napięcia z Zachodem rosły. Wiele możliwości współpracy zostało zaprzepaszczonych. Obiecana normalizacja stosunków międzypaństwowych z ChRL nie miała miejsca. Radzieccy doradcy wojskowi i jednostki nadal uczestniczyły w lokalnych konfliktach w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Wydatki na pomoc wojskową i gospodarczą dla sojuszników nie zostały zmniejszone. W ciągu 15 miesięcy rządów Jurija Andropowa nie podjęto żadnych decyzji, które wyprowadziłyby gospodarkę ZSRR ze stagnacji do wyraźnego wzrostu, ożywiłyby radzieckie rolnictwo, które nadal potrzebowało importu zbóż paszowych na dużą skalę. Reżim Andropowa był alternatywą dla reżimu Breżniewa tylko z pozoru: poprawiono odpowiedzialność za wdrażanie decyzji, a niektóre praktyki korupcyjne w handlu zostały tymczasowo stłumione lub stały się mniej widoczne" (M. Michajłow, „Kurs Andropowa. Czy szef KGB był ostatnią szansą dla ZSRR?", Radio Swoboda, 31 maja 2024).

Dla współczesnej postsowieckiej nomenklatury Rosji marka „Jurij Andropow" pozostała symbolem skutecznego aparatczyka, twórcy potężnych tajnych służb zdolnych do utrzymania kraju pod kontrolą i zapewnienia jego przerażających wpływów na świecie. Władimir Putin przedstawia się jako kontynuator dzieła Andropowa. Jednym z pierwszych symbolicznych aktów ery Putina było odsłonięcie tablicy pamiątkowej Jurija Andropowa na głównym budynku Łubianki 20 grudnia 1999 roku przez ówczesnego premiera Federacji Rosyjskiej. „Działanie Władimira Putina zasygnalizowało klasie służebnej, kto był przykładem dla przywódcy kraju i jaki kurs faktycznie będzie realizowany" – podkreśla autor artykułu na stronie Radia Swoboda. ■

eprasa.pl 87cb269c4d

Tomasz Sakiewicz

Polacy znowu wybiorą prezydenta USA

Polscy wyborcy w Stanach Zjednoczonych przynajmniej trzykrotnie zdecydowali o wyborze prezydenta USA.



FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Po raz pierwszy w historii w czasie kampanii wyborczej dotyczącej prezydenta Stanów Zjednoczonych aż tak mocno pojawia się wątek polski. Istniał on już wcześniej, od wybuchu I wojny światowej, ale nie zdarzyło się, by walczący kandydaci dosłownie wydzierali sobie polski elektorat. Polscy wyborcy przynajmniej trzykrotnie zdecydowali o wyborze prezydenta USA. Pierwszy raz w czasach Ronalda Reagana, kiedy demokratyczny stan Pensylwania poparł republikanina. W Pensylwanii mieszka prawie milion Polaków i poruszeni walką „Solidarności", wsparli antysowieckiego kandydata. Drugi raz, w czasach pierwszej kadencji Donalda Trumpa. To Polacy z Pensylwanii i kilku okolicznych stanów przeszli na stronę republikanów, dając nieoczekiwaną przez sondaże prezydenturę. I trzeci raz, w czasie, kiedy Trump przegrał wybory (również w Pensylwanii), o ile nie zostały sfałszowane. Ten trzeci raz wyglądał na czarną niewdzięczność, bo w końcu to Trump zniósł wizy dla Polaków i wysłał masowo wojska USA do Polski. Jednak Trump mimo wielu oczywistych zasług popełnił błąd, z którego do dzisiaj nie zdaje sobie sprawy. Było nim wysłanie do Polski pani ambasador Georgetty Mosbacher. Pani ambasador wściekle promowała TVN, który zwalcza Trumpa i miał pewien wpływ na Polonię. Jawiła się też jako zwolenniczka idei radykalnie lewicowych, a także dominacji Niemiec w Europie. Jak ktoś wspiera swoich wrogów, a zwalcza przyjaciół, to raczej defilady zwycięstwa nie powinien oczekiwać. Sztaby republikańskie i demokratyczne wyciągnęły wnioski z ostatnich wyborów i wiedzą, że kto zyska polskie głosy, szczególnie w Pensylwanii, zdobędzie władzę w USA. Ważne, by to zrobił mądrze i by Polacy z tego potem mądrze skorzystali. ■

eprasa.pl 87cb269c4d

plus

polsat box

Światłowód + Telewizja

od **19** zł /mies.

przez rok po rabatach

Od 13. mies. 70 zł/mies. z rabatami,
od 25. mies. 99 zł/mies. z rabatem.
Światłowód S – do 300 Mb/s,
Telewizja Pakiet S – 57 kanałów.



Pobierz ulotkę

Umowa na min. 24 mies.

Dotyczy prezentowanych ofert łączonych dla nowych Klientów na min. 24 mies. **Światłowód Plusa S** z rabatami (e-faktura, smartDOM i specjalny) 19 zł/mies. przez 12 mies., od 13. mies. 40 zł/mies. z rabatami (e-faktura i smartDOM), od 25. mies. 59 zł/mies. z rabatem (e-faktura). Rabaty mies.: e-faktura 10 zł, specjalny 21 zł, smartDOM 9 zł. Szczegóły w Regulaminie „Plus Internet Stacjonarny – oferta łączona" na plus.pl. Na obszarach o podwyższonych kosztach instalacji możliwa jest wyższa opłata abonamentowa. **Telewizja Polsat Box Pakiet S** przez pierwszy rok bez opłat, w drugim roku 30 zł/mies., potem 40 zł/mies. „Bez opłat" nie obejmuje innych pakietów dodatkowych, usług technicznych i opłaty jednorazowej za aktywację dekodera. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl. **Aby skorzystać z rabatu** smartDOM, należy dotrzymać warunków tego programu i wyrazić zgodę na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl

eprasa.pl 87cb269c4d